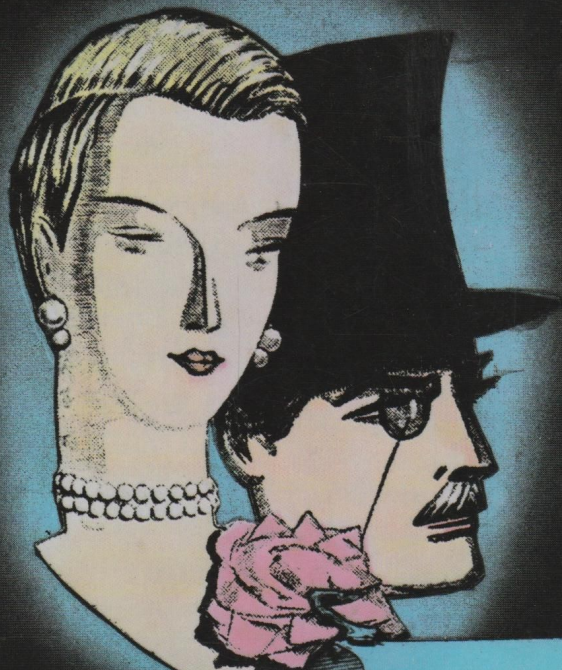


MAURICE
LEBLANC

TRZY ZBRODNI
ARSENA LUPIN



**MAURICE
LEBLANC**

**TRZY ZBRODNI
ARSENA LUPIN**

Tłumaczył Franciszek Gawicz

**WYDAWNICTWA „ALFA”
WARSZAWA 1990**

ROZDZIAŁ I PARBURY-RIBEIRA-ALTENHEIM

I

Dzieci bawiły się w ogródku pod opieką Karoliny, przyjaciółki i współpracownicy Genowefy, a pani Evnemont, dawszy im podwieczorek, wróciła do saloniku i porządkowała coś na biurku. Nagle obróciła się niespokojnie, gdyż wydało jej się, że ktoś za nią stoi.

- Ach, to ty! - wykrzyknęła. - Skąd się tu wzięłeś? Jak wszedłeś?

- Cicho - szepnął książę Sernin. - Posłuchaj mnie, nie traćmy czasu... Gdzie Genowefa?

- Poszła odwiedzić panią Kesselbach; nie wróci, aż za godzinę.

- To dobrze. Przyjdą bracia Dondeville. Mam się tu z nimi spotkać. Jakżeż się miewa Genowefa? Czy od tych dziesięciu dni, od mojego wyjazdu, widziała Piotra Leduc?

- Widziała go ze trzy razy i znowu go dziś zobaczy u pani Kesselbach, bo (wedle twego rozkazu) przedstawiła go tej pani.

- Jakże, czy interesuje się nim?

- Owszem, interesuje się nim, bo powiedziała jej, że to człowiek nieszczęśliwy. Ale to nie jest żadne żywsze uczucie...

- Zostaw to mnie, to już moja rzecz...

- Daruj, mój drogi, ale i mnie to obchodzi... Dla Genowefy dobrze by było, gdyby znalazła jakiego poczciwego chłopca ze swojej sfery... na przykład ten nauczyciel, pan Landat... Ale słyszysz? Ktoś gwizdnął...

-To bracia Dondeville... Przyprowadź ich i zostaw nas samych.

Zaledwie weszli bracia Dondeville książę Sernin jął ich wypytywać ze zwykłą sobie zwięzłością:

- Wiem, co mówią dzienniki o zniknięciu pana Lenormand i Gourela. A wy, czy wiecie o tym coś więcej?

- Nie. Zastępca szefa, pan Weber, wziął sprawę w swoje ręce. Od tygodnia przetrząsamy ogród „Zacisza”, ale niepodobna dojść, jakim oni sposobem zniknęli. Cała policja jest w rozsypce. Nigdy tego jeszcze nie bywało... szef bezpieczeństwa ginie bez śladu!

- A co się tyczy Gertrudy?

- Gertruda była współniczką, to jest niewątpliwe. Pan Weber i pan Formerie badali także jej siostrę Zuzannę, ale nie obciążającego ją znaleźć nie mogli. Gdyśmy jej dziś rano powiedzieli o zamordowaniu siostry wpadła w straszną rozpacz, zupełnie szczerą. Odtąd tylko płacze i płacze w swoim pokoju.

- Czy to tylko macie mi do powiedzenia?

- O nie, są inne rzeczy jeszcze, których nie powtarzaliśmy dziennikarzom.

Tu opowiedzieli księciu Sernin dzieje ostatnich dwóch dni pana Lenormand, a więc o nocnych odwiedzinach dwóch bandytów w domu Piotra Leduc, o próbie wykradzenia Genowefy przez Ribeirę, o podejrzeniach, przez chwilę skierowanych na nauczyciela, o przybyciu starego Steinwega i o jego przesłuchaniu w obecności pani Kesselbach, i o jego zniknięciu z pałacu. W końcu zdali sprawę z ostatniego wieczora, z pogoni za Gertrudą i jej współnikiem, jako też wspomnieli o smutnym końcu Gertrudy i o tych dwóch sylabach „wil-la - wil-la” - które ta wyszeptwała konając.

- I nikt, oprócz was dwóch, tych szczegółów nie zna?

- Nikt, ponieważ pan Lenormand i Gourel zginęli. W zeznaniach naszych mówiliśmy o tym tylko, o czym zeznali już inni, pani Kesselbach albo Hartog.

- A czy też zawsze tym samym zaufaniem obdarzają was w prefekturze?

- Pan Weber nam tylko ufa.

- No, nie wszystko przepadło - rzekł książę po chwili. - Jeżeli pan Lenormand popełnił jaką nieostrożność i życiem ją przyplącił, jak sądzę - to bądź co bądź, przyznać trzeba, że

dzielnie rzecz prowadził; należy tylko iść dalej jego śladem. Jeżeli nas wróg wyprzedził my go dogonimy. Trzeba zaś przede wszystkim wyszukać starego Steinwega, gdyż on to trzyma całą tajemnicę.

- A że Ribeira zabrał go do siebie, więc trzeba by się wypowiedzieć, gdzie Ribeira mieszka.

- W tym właśnie rzecz!

Pożegnawszy braci Dondeville ksiązę udał się do „Zacisza”. Automobile stały przed bramą i dwóch ludzi przechadzało się tam i z powrotem, jak gdyby utrzymując straż.

W ogrodzie obok pawilonu pani Kesselbach ksiązę spostrzegł siedzących na ławce Genowefę, Piotra Leduc i jakiegoś grubego pana w monoklu. Wszyscy troje rozmawiali, żadne go nie zauważyło.

Tymczasem kilka osób wyszło z pawilonu. Był to pan Formerie, pan Weber, pisarz i dwóch inspektorów. Genowefa weszła do pokoju, pan w monoklu zaś przywitał sędziego i zastępcę szefa policji, i z wolna oddalił się wraz z nimi.

Sernin zbliżył się do ławki, na której siedział Piotr Leduc.

- Nie ruszaj się, Piotrze, to ja... - szepnął cicho.

- Pan!... pan!...

Po raz trzeci od owej okropnej nocy w Versailles młodzieniec spotykał się z Serninem, a każde takie spotkanie wzruszało go do głębi.

- Powiedz mi, kto to jest ten mężczyzna w monoklu?

- To baron Altenheim.

- Cóż to za jeden? Skąd się wziął?

- To przyjaciel pana Kesselbacha. Przyjechał z Austrii sześć dni temu i przyszedł ofiarować usługi swoje pani Kesselbach.

Tymczasem urzędnicy i baron Altenheim wyszli z ogrodu. Słychać było odjazd automobilów.

- Czy on cię wypytywał? - ciągnął ksiązę dalej.

- Drobiazgowo nawet. Interesuje się moim losem. Chciałby mi dopomóc w odszukaniu rodziny. Pyta mnie o moje wspomnienia z dzieciństwa.

- A cóż ty mu odpowiadasz?

- Nic, ponieważ nic nie wiem. Czyż to ja mam jakie

wspomnienia? Pan mnie postawiłeś w miejscu innego, a ja nawet nie wiem, kim ten inny jest!

- Ani ja nie wiem! - roześmiał się książę cynicznie - I w tym jest cała oryginalność...

- Ach, pan się śmieje... pan się zawsze śmieje... Ale ja już zaczynam mieć dosyć wszystkiego... Zamieszany jestem w moc nieczystych spraw... już nawet nie mówiąc o niebezpieczeństwie mej roli.

W tej samej chwili na progu ukazała się Genowefa, pełna wdzięku, uśmiechnięta.

- Pan tu! - zwróciła się do księcia. - A więc pan wrócił? O, jakże się cieszę, że pana widzę! A przy tym mam rzeczy ważne, bardzo ważne... Panie Piotrze, niechże pan pójdzie dotrzymać towarzystwa pani Kesselbach, my zaraz także przyjdziemy!

- Widział go pan? - szepnęła żywo, zbliżając się do Sernina.

- Kogo, proszę pani?

- Barona Altenheima... on się tak nie nazywa... a przynajmniej ma on jeszcze inne imię... Poznałam go... ale on się tego nie domyśla...

- Uspokój się pani...

- To ten sam, który mnie chciał wykraść... Gdyby nie ten biedny pan Lenormand byłabym zgubiona... Ależ pan musi wiedzieć, pan przecież wszystko wie...

- Więc jakież jest jego prawdziwe nazwisko?

- Ribeira. Chociaż zmienił twarz, akcent, maniery, poznałam go od razu; ostrzegł mnie wstręt, jaki mam do niego. Ale nie zdradziłam się. Czekałam, aż pan powróci.

- Nawet pani Kesselbach nie powiedziała pani?

- Nie. Ona taka była uradowana odnajdując przyjaciela męża. Ale pan jej o tym powie, nieprawdaż? Pan ją obroni? Ja nie wiem, co ten człowiek gotuje przeciw niej i przeciw mnie... Teraz, gdy nie ma pana Lenormand, nie boi się już nikogo. Rządzi się jak pan... Któż by go mógł zdemaskować?

- Ja, panno Genowefo. Już ja za to odpowiadam. Ale ani słowa o tym do nikogo...

Wchodząc do pokoju pani Kesselbach książę przeraził się. Dolores była jeszcze bledsza, jeszcze szczuplejsza niż za

ostatnim widzeniem. Leżąc na kanapie, otulona w jakąś białą draperię, wyglądała jak ci chorzy, którzy już porzucają daremną walkę. Ona już walczyć przestała z życiem, z tym losem, który ją ciosami nawiedzał...

Sernin przyglądał jej się z litością głęboką i z nieukrywanym wzruszeniem. Podziękowała mu za współczucie.

Wspomniała przyjaźnie o baronie Altenheim. Głos jej był złamany, ruchy zdradzały znużenie. Czulo się, że niegodziwość i zgon Gertrudy przybiły ją ostatecznie. Zresztą przyjdzie jej wkrótce opuścić „Zacisze”, gdzie już trudno było pozostawać dłużej po tylu przykrych przejściach...

- A więc pani zna barona Altenheima? - zapytał Sernin po krótkim wahaniu.

- Znam go przez mojego męża, z którym niegdyś w bliskich był stosunkach.

- Poznałem Altenheima, który mieszka, zdaje mi się, na ulicy Rivoli... Czyby to mógł być ten sam?

- O nie, ten mieszka... Co prawda nie wiem, gdzie; dał mi swój adres, ale zapomniałam...

Sernin zadrżał i spuścił głowę. O trzy kroki od niego, pod stołem, leżał pasek żółtego papieru, przedarta opaska z dziennika, a że miał zwyczaj przyglądać się bacznie wszystkiemu dokoła oczy jego uczepiły się wyrazu, wydrukowanego na tej opasce, wyrazu „Willa”. Były za nim dalsze słowa, których nie mógł dojrzeć.

Wstał i pożegnał się z panią Kesselbach, następnie z Genowefą, manewrując w ten sposób, by przejść obok leżącego na ziemi papierka.

W tej chwili weszła Zuzanna, zabrała ze stołu tackę z pustymi filiżankami i schyliwszy się podjęła papieraek i wrzuciła go niedbale w jedną z pustych filiżanek.

Sernin, nachyliwszy się ku Genowefie, szepnął po cichu:

- Niech pani natychmiast zawoła Zuzannę - pod jakimkolwiek pozorem.

Zadzwoniła. Zuzanna ukazała się na progu. Sernin miał wrażenie, że służąca sobą zastawia mu przejście. Musiał ją trochę odsunąć, a schodząc ze schodów usłyszał jeszcze słowa

Genowefy:

- O, bardzo przepraszam, Zuzanno. Nacisnęłam dzwonek przez nieuwagę. Nie wiem, skąd u mnie takie roztargnienie!

Tacka stała na stoliku w przedpokoju. Sernin spojrzął na papierek i wyczytał:

Baron Altenheim - Paryż, Willa Dupont 20.

-Nareszcie - pomyślał - nareszcie mam uchwytnego przeciwnika. Teraz pójdzie gra na ostre!

II

Odbываły się wielkie wyścigi w Auteuil. Tłum był przy wadze, tłum przy barierach wzdłuż toru, tłum przy trybunach, tłum wszędzie. Ludzie tłoczyli się i potracali.

Pałace letnie słońce lało żarem.

Księżę Sernin w świetnie skrojonym popielatym tuzurku, z lornetką przewieszoną przez ramię, typ wybitnie słowiański, krążył pośród rozlicznych grup wymieniając uściski dłoni, kłaniając się damom, odpowiadając z uśmiechem na zaczepki znajomych.

- Jak to Sernin, księżę tu? Więc już zabrakło na świecie panter i białych niedźwiedzi?

Zatrzymywał się na chwilę, rozmawiał i szedł dalej.

Od czasu do czasu mijał to jednego młodzieńca, to znowu drugiego i rzucał im kilka słów po kryjomu, przechodząc mimo, jak gdyby ich nie znał.

I w ten sposób już od godziny spacerował we wszystkich kierunkach po terenie.

I od godziny, czym bądź był zajęty, nie spuszczał oczu z osobistości, która także tam i na powrót krążyła wśród tłumu.

Tą osobistością był baron Altenheim.

A trzy dni już trwał ten pościg. Przez te trzy dni, jeżeli baron wyszedł krokiem poza dom, jeżeli słowo przemówił do kogo, od razu wiedziano o tym i daną osobę śledzono. Księżę, dwaj bracia Dondeville i dziesięciu ludzi z bandy, wszyscy zajęci byli tą robotą. Trzeba było odnaleźć koniecznie starego Steinwega.

Ale nie udawało się go odnaleźć. Nie pochwycono żadnej wskazówki.

Jeden z braci Dondeville przeszedł mimo.

- Nie spuszczasz go z oka, co?

- O, nie ma obawy! Nazbyt ciekawe widowisko mamy!

- A! Więc ty zauważyłeś?

- Naturalnie! Ci, co go zaczepiają, to wszyscy z jednej beczki.

- Znasz ich?

- Znam większość; zapisani są w prefekturze policji. A co do reszty, to dosyć spojrzeć na ich twarze.

W tej chwili jakiś człowiek zbliżył się do Altenheima, pokazał mu coś, co ukrywał w pochwie swojej lornetki i poszedł dalej.

- Idź za nim - nakazał ksiązę.

W dziesięć minut potem Dondeville powrócił z bratem.

- Ten jegomość podszedł do grubej damy, która jest tam, przy końcu trybun, i oddał jej pokrowiec lornetki. Oddała mu go, wpiery otworzywszy i opróżniwszy.

- I ja taki sam manewr zauważyłem. Mamy do czynienia z bandą złodziei kieszonkowych, a ta dama, to ich paserka.

- Tak, a baron jest ich hersztem - dorzucił Sernin.

- No co, mistrzu, a gdyby ich wskazać inspektorowi, który jest na służbie?

- Zwariowałeś? Chcesz mieszać policję do naszych spraw!

Odezwał się dzwonek. Ksiązę poszedł do jednej z zarezerwowanych trybun, w tym samym rzędzie, gdzie siedział Altenheim. Dzieliło ich tylko czterech panów. Stało się tak jednak, że ci czterej panowie wyszli, a ksiązę ujrzał się w bezpośrednim sąsiedztwie barona.

Wielki bieg był wielce ciekawy. Walka współzawodników wzbudziła ogólny entuzjazm, okrzyki i oklaski tłumu; ksiązę sam roznamiętnił się pięknym widokiem. Obok niego Altenheim, podniecony, krzyczał i wywoływał zwycięzcę.

Po skończonym biegu rzucano się ku wyjściu tak, że opróżniła się połowa trybun. Pozostali wysuwali się już wolniej, gdyż sportowcy tamowali drogę. W kilka minut później - gdy już Sernin, idący tuż za Altenheimem, miał wychodzić - powstało przed nim jakieś zamieszanie i gniewne głosy zaczęły

się podnosić.

Jakiś pan, gestykulując, krzyczał:

- Twierdzą, że wchodząc na trybunę miałem jeszcze przy sobie mój portfel... a jeszcze nawet na początku biegu. To w czasie biegu mi go ukradziono...

Kontroler pytał:

- Czy mógłby pan bliżej określić okoliczności?

- I owszem. Pamiętam doskonale, że była chwila ścisku i że poczułem, że mnie ktoś dotyka. A mianowicie ktoś z osób po mojej lewej stronie.

- Te osoby znajdują się tu jeszcze, ponieważ pan idziesz przed nimi.

Nastąpiło milczenie. Wszyscy stali w miejscu. Z dwunastu panów czekało, pomiędzy nimi Altenheim i książę Sernin.

Dokoła wyjścia gromadził się tłum. Nadszedł komisarz wraz z inspektorami i poprosił tych dwunastu panów, żeby z nim poszli do komisariatu.

Sernin cieszył się bardzo na myśl, że baron został złapany w sieć, gdyż ani nie wątpił, że to on ukradł portfel. Lecz nagle, przyglądając się okradzionemu, ze zdziwieniem poznał, że był to jeden z tych, z którymi Altenheim kilka razy rozmawiał przy wadze, jeden z tych, których uważał za współników barona. Co miał znaczyć ten zbieg okoliczności, jakiego to figla spletał jeden druh drugiemu?

Co do siebie, był najzupełniej spokojny. Książę Sernin ze swoją opinią, ze swymi stosunkami w ambasadzie rosyjskiej, książę Sernin był przecież ponad wszelkie podejrzenia.

W biurze policji kazał sobie komisarz sprawę przedstawić szczegółowo. Ów pan podał swoje imię, imię bardzo znane w świecie sportów końskich, Karol Roze. Portfel, który mu ukradziono, zawierał osiem banknotów po sto franków.

- Czy pan wie na pewno, że ten portfel miał pan jeszcze podczas ostatniego biegu?

- Ależ jak najpewniej.

- Zatem kradzież popełnił ktoś, kto zaraz opuścił trybunę.

- A jednak - przeczył pan Roze - kontroler twierdzi, że nikt nie wyszedł podczas biegu.

- Dobrze. Ale może ktoś wyszedł przed panem. W każdym razie, panowie, prosiłbym o wasze bilety wizytowe.

Był to grzeczny sposób rozpoczęcia poszczególnych przesłuchań, ale badanie nie dało rezultatu.

Komisarz był mocno zakłopotany. Zwrócił się znów do skarżącego:

- Czy jednak nie mógłby pan dokładniej wyjaśnić...

Altenheim mu przerwał:

- Proszę pana, sytuacja staje się nieznośną. Rozumie się nieprawdą, że pan na nikogo z nas nie rzuca podejrzania? A więc skończmy z tym. Ponieważ ten pan zdaje się mieć wątpliwości, niechże wetknie swój nos w nasze kieszenie i niech nam da święty spokój. Nie przynosi ujmy honorowemu człowiekowi pokazać głupcowi, że się myli.

Zdjął żakiet i kamizelkę, i położył je na stole.

- Otóż ja daję początek... a oto pokrowiec od mojej lornetki... to może być znakomita skrytka. Więc cóż, panowie inspektorowie, dlaczego się namyślacie?... Ależ naturalnie, prze-szukajcie dobrze... ja tego żądam... Bynajmniej nie mam ochoty uchodzić za kieszonkowego złodzieja. Dalejże, bierzcie się do dzieła!

Wystąpienie było zabawne. Drugi z tych panów zrobił to samo, a potem wszyscy inni, śmiejąc się z tej przygody.

Sernin stał bez ruchu, lekki zimny pot wystąpił mu na skronie. Teraz zrozumiał.

Zrozumiał! Złodziejem, tym którego miano schwytać na gorącym uczynku, był on sam.

Jego to miał na celu baron Altenheim symulując zamach złodziejski z pomocą swoich współników. I u niego to miano znaleźć portfel, rzekomo ukradziony.

Ale gdzie! W którym miejscu? Czyż podobna, ażeby baron Altenheim, choćby był najzręczniejszy, zdołał mu wsunąć portfel do którejś kieszeni? Spuścił wzrok i zadrżał... Rzemyk, który zamykał pokrowiec jego torebki nie był przeciągnięty przez klamerkę. A on przecież lornetki nie używał wcale. Rzecz jasna, portfel był tam, w pokrowcu...

- Ba! Jestem zgubiony! - pomyślał.

Obecni tymczasem przyglądali mu się zdziwieni, że nie rozbiera się, tak jak drudzy. Czemu się waha? To jest znaczące.

Oczy jego spotkały się z oczami barona. Altenheim uśmiechał się ironicznie.

- I cóż, proszę pana - przemówił komisarz - czy przykład tych panów nie przekonuje pana?

- Wyznaję - rzekł, chcąc zyskać na czasie - że uważam ten sposób za trochę niesmaczny. Jestem księżę Sernin i mniemam, że słowu memu można ufać.

- Oczywiście, ale pan widzi, że ci panowie sami, chcąc skończyć z drażliwą sytuacją...

- Ci panowie postąpili, jak im się podobało.

- To znaczy, że pan odmawia?

- Odmawiam.

Zbliżył się szybko ku drzwiom. Dwóch inspektorów zastąpiło mu drogę i równocześnie poczuł, że zdejmują mu z ramienia rzemień od jego lornetki. Chwycił ten rzemień i odwrócił się wściekły.

Nagle jednak puścił rzemień i zaczął się śmiać.

- Ach, jakie to głupie! - zawołał. - Ostatecznie, jeżeli panów bawi oglądać podszewkę mojego ubrania, nie chciałbym wam odmawiać tej uciechy!

Zdjął tużurek i kamizelkę, rzucił je na stół i zbliżywszy się do pana Roze spoliczkował go gwałtownie.

- To tego warte, co? Co pan na to?

Zrobił się wielki hałas i zamieszanie. Rozdzielono obu przeciwników. Podczas tego ajenci przetrząsali kieszenie tużurka i kamizelki, a dwaj inspektorowie, którym Sernin tak ulegle powierzył swoją lornetkę, oglądali pokrowiec na wszystkie strony.

Ci dwaj inspektorowie byli to bracia Dondeville.

Oddali pokrowiec komisarzowi.

- Nie ma nic wewnątrz.

Kieszenie również były puste.

Komisarz tłumaczył się uprzejmie.

- Jak pan widzi, ta mała ceremonia była bez znaczenia i mam nadzieję, że pan daruje...

- Ach, już o tym zapomniałem - odpowiedział, śmiejąc się, książę - i sprawa ta nie będzie miała innych konsekwencji prócz tych, jakie ten pan zechce z niej wyciągnąć...

Począł na odpowiedź pana Karola Roze. Ten jednak odszedł, mrużąc coś pod nosem i nie odpowiadając na gotowość Sernina.

Reszta panów już się zdążyła ubrać i wychodzili, inspektorowie również; Sernin poszedł za drugimi. W przejściu podziękował braciom Dondeville nieznacznym za to, że go tak zręcznie wyciągnęli z biedy i oddalił się.

-Dobrze odegrane, panie Lupin!

Drgnął. Altenheim stał przed nim, uśmiechnięty, filuterny.

Sernin potrzebował kilku sekund czasu, żeby odzyskać zimną krew. Że baron odnalazł w nim nieprzyjaciela, który go ścigał, to było jasne od chwili manewru z portfelem... ale nie przypuszczał, że tamten odkrył tajemnicę jego osoby.

Dwaj mężczyźni mierzyli się wrogim spojrzeniem.

- Więc cóż? Czego pan chcesz? - zapytał książę.

- Czego chcę? Czy nie sądzisz pan, że powinniśmy się rozmówić?

- A to dlaczego?

- Wypowiedziałeś mi pan wojnę dziś rano.

Baron wyciągnął z kieszeni numer *Grand Journal* i wskazał palcem artykuł tak brzmiący:

„Komunikują nam:

Zniknięcie pana Lenormand głęboko obeszło Arsena Lupin. Po rozejrzeniu się ogólnym w sprawie, w myśl zresztą podjętego przez siebie zamiaru rozjaśnienia sprawy Kesselbacha, Arsen Lupin postanowił odnaleźć pana Lenormand żywym czy umarłym i oddać w ręce sprawiedliwości sprawcę, czy też sprawców całego szeregu tych ohydnych zbrodni”.

- To naturalnie pan, kochany książę, podałeś ten komunikat?

- Tak jest, to ja.

- Więc się nie mylę, wojnę mi wypowiadasz!

- Tak jest.

Tak mówiąc weszli w aleję. Nie zajęta ławka stała pod drzewem.

- Siądźmy na tej ławeczce - zaproponował Altenheim - trzeba nam koniecznie pomówić ze sobą.

Sernin zgodził się. Usiedli obaj, nieco opodal od przechodzących tłumów.

- Otóż nie, ja nie mogę zgodzić się na to - zaczął Altenheim tonem pojednawczym. - To niepodobna, ażeby dwaj ludzie, tacy jak my, zwalczali się nawzajem i szkodzili sobie. Powinniśmy się porozumieć.

- A ja sędzę przeciwnie, że dwaj ludzie, tacy jak my, nie mogą się porozumieć.

Altenheim powstrzymał gest niecierpliwości i ciągnął dalej:

- Słuchaj, Lupin... A propos, czy pozwolisz, żebym cię nazywał Lupin?

- A jakże ja mam nazywać ciebie? Altenheim, Ribeira czy Parbury?

- O! Widzę, że wiesz więcej, niż nawet przypuszczałem! Oj, do licha, silny jesteś. Tym więcej trzeba nam się porozumieć...

Pochylił się ku niemu:

- Słuchaj Lupin, zastanów się nad moimi słowami, ja każde z nich dobrze rozważyłem. Otóż silni jesteśmy obaj. Uśmiechasz się? To niesłusznie. Może być, że ty masz zasoby, których ja nie posiadam, ale i ja mam takie, o których ty nie wiesz. Przy tym, jak ci wiadomo, mało mam skrupułów, ale za to wiele zręczności i dar zmieniania osobowości, który majster taki, jakim ty jesteś powinien umieć ocenić. Krótko mówiąc, dwaj przeciwnicy warci są siebie. A teraz pytanie: dlaczego my jesteśmy przeciwnikami? Powiesz, że zmierzamy do jednego celu? Cóż stąd? Co wyniknie z naszego współzawodnictwa? Otóż to, że jeden będzie paraliżował wysiłki i niszczył dzieło drugiego, i że obaj chybimy celu! I na czyją korzyść? Jakiegoś tam Lenormand, trzeciego złodzieja. To nazbyt głupio!

- To istotnie nazbyt głupio. Ale jest na to sposób.

- Jaki?

- Ty się usuń!

- Nie żartuj. Ja serio mówię. Takiej propozycji, jaką ci czynię, nie odrzuca się, nie zbadawszy jej wpierw. Krótko mówiąc, w dwóch słowach: pracujmy na spółkę!

- No proszę!

- Naturalnie pozostaniemy wolni, każdy ze swej strony, we wszystkim, co nas dotyczy. Ale odnośnie wiadomej sprawy złączymy nasze wysiłki. Pójdziemy ręka w rękę, a zyski do podziału.

- Cóż ty przynosisz?

- Ja?

- Tak. Co ja jestem wart, ty wiesz. Złożyłem egzamin. Ty wiesz, co ja wnoszę do spółki, którą mi proponujesz. Ale ty?

- Steinwega.

- To mało.

- To ogromnie wiele. Przez Steinwega dowiemy się prawdy o Piotrze Leduc. Przez Steinwega dowiemy się, czym jest sławny projekt Kesselbacha.

Sernin wybuchnął śmiechem.

- I ja tobie do tego jestem potrzebny?

- Jak to?

- Słuchaj, mój miły, twoja propozycja jest dziecinna. Z chwilą gdy Steinwega masz w rękę, a pragniesz mego współ-pracownictwa, to dowód, że nie udało ci się rozwiązać mu ust - w przeciwnym razie obszedłbyś się bez moich usług.

- Cóż stąd?

- To, że ja odmawiam.

Obaj znów spojrzeli na siebie wrogo, nienawistnie.

- Odmawiam - powtórzył Sernin. - Do działania nie potrzeba mi nikogo.

Jestem z tych, co chodzą w pojedynkę. Gdybyś był mnie równym nie przyszłaby ci do głowy myśl jakowejś spółki. Gdy się wyrosło na miarę wodza rozkazuje się. Łączyć się, to znaczy słuchać. Ja nie słucham nikogo.

- Odmawiasz? Odmawiasz? - powtarzał Altenheim, pobladył z urazy. - Idąc z osobna jeden z nas tylko dojdzie...

- To nie wystarczy?

- Ale dojdzie po trupie drugiego... Czy przyjmujesz ten rodzaj

pojedyнку, Lupin? To pojedynek na śmierć, rozumiesz? Cios sztyletem... ty nim gardzisz, ale gdyby ci go wymierzono prosto w szyję?

- Ach, tak! Ostatecznie ty mi proponujesz?

- Nie, ja osobiście nie bardzo lubię krew... Przypatrz się moim pięściom... ja biję, a ludzie padają... mam swoje uderzenia... mała ranka na szyi... Ach, tamten, Lupin, tamtego się strzeż... On jest straszny i nieubłagany... i nic go wstrzymać nie zdoła...

Wymówił te słowa głosem przyciszonym i z takim wzruszeniem, że Sernin zdrzął na samo wspomnienie wstrętnego nieznajomego.

-Baronie! - roześmiał się szyderczo. - Myślałby kto, że boisz się swego współnika!

Od tego czasu widywali się. Spotykali się w kawiarniach, w restauracjach, w lasku Bulońskim, w operze. Bawili się wesoło w wesołych towarzystwach, jedli i pili często razem. Można by myśleć, że obejść się bez siebie nie mogli, że wielka przyjaźń ich łączy, płynąca z zaufania, szacunku i sympatii. W gruncie rzeczy szpiegowali się zawzięcie. Śmiertelni wrogowie, których różniła dzika nienawiść, z których każdy pragnął i pewny był zwycięstwa, czekali tylko sposobnej chwili - Altenheim, by zgładzić Sernina, Sernin, by zepchnąć Altenheima w tę przepaść, którą u stóp jego grzebał. Obaj wiedzieli, że rozwiązanie musi być niedalekie. Wiedzieli, że jeden z nich zapłaci za to drogo i że to tylko kwestia godzin... dni najdalej.

Wzruszająca gra, rozkosz, której Sernin używał w całej pełni. Znać swego przeciwnika, przestawać z nim i wiedzieć, że za lada fałszywy krok, za lada roztargnienie śmiercią zapłacić można... lubował się tym ryzykiem i napięciem wszystkich władz swoich.

Pewnego dnia w ogrodzie klubu, do którego obaj należeli, byli ze sobą sam na sam o tej godzinie, gdy zmierzch czerwcowy zapada, a gracze wieczorni jeszcze się nie zeszli.

Spacerowali dokoła trawnika pod murem, podszytym

gęstwiną klombów, w którym były małe drzewczki. I nagle, podczas gdy Altenheim mówił, Sernin odniósł wrażenie, że głos jego staje się mniej pewnym, że prawie drży. Zaczął go obserwować spod oka. Ręka Altenheima spoczywała w kieszeni zakietu i Sernin, jeśli nie widział, to przeczuł, że ściska ona rękojęść sztyletu, wahająca się, niezdecydowana, bezsilna.

Rozkoszna chwila! Czy też uderzy? Co zwycięży: czy instynkt strachu, który nie śmie, czy też wola świadoma, uporczywa wola zadania śmierci!

Z piersią podaną naprzód, z rękoma za plecami Sernin czekał, co się stanie. Baron umilkł i milcząc szli obok siebie.

-Ależ uderz nareszcie! - zawołał książę niecierpliwie.

Zatrzymał się i odwrócił ku towarzyszowi.

-Uderz! To chwila jedyna, teraz albo nigdy! Nikt nie zobaczy i umkniesz przez te drzewczki, od których klucz przypadkiem wisi na gwoździu na murze! Ależ, jak widzę, wszystko to było z góry obmyślane... tyś sam mnie tu przyprowadził... A teraz się wahasz?

Patrzył mu prosto w oczy. Tamten, sinoblady, drżał z bezsilnej wściekłości.

-Tchórze! - roześmiał się drwiąco Sernin. - Mam ci powiedzieć prawdę? Ty się mnie boisz! Tak, tak, mój pocziwce, ty nigdy nie wiesz, co się stać może, gdy wobec mnie stoisz. Ty chcesz działać, ale to moje czyny rządzą sytuacją. Nie, już to pewna, że nie przez ciebie zblednie moja gwiazda!

Jeszcze ostatniego słowa nie dokończył, gdy uczył, że ktoś chwycił go za szyję i że go pociąga w tył. Ktoś, kto ukrywał się w klombie w pobliżu drzewczek, złapał go za głowę. Ujrzał wzniesioną w górę rękę, uzbrojoną w nóż błyszczący. Ręka opadła, ostrze noża razilo go prosto w szyję.

W tej samej chwili Altenheim rzucił się na niego, chcąc go dobić, i obaj runęli na trawnik. Trwało to nie dłużej jak ze dwadzieścia sekund. Choć tak silny, tak wytresowany w sportach i w umiejętności bicia się, Altenheim prawie natychmiast uległ, wydając okrzyk bólu. Sernin podniósł się i pobiegł ku drzewczkom, które zatrzasnęły się za ciemną

sylwetką uciekającego. Za późno jednak. Usłyszał chrzęst klucza w zamku. Nie mógł otworzyć.

- Ach, bandyto! - zaklął - Dzień, w którym ciebie pochwycę będzie dniem mej pierwszej zbrodni!

Wrócił, nachylił się i zebrał szczątki sztyletu, który rażąc go rozprysł się w drobne kawałki.

Altenheim zaczął się ruszać.

- No cóż, baronie, przychodzisz do siebie, co? - zwrócił się Sernin do niego. - Nie znałeś tego ciosu pięści, prawda? Dobry jest i skuteczny, ścina od razu z nóg! A cios sztyletem to co? Ba! Wystarczy nosić naszyjniczek ze stalowej siatki pod kołnierzykiem i koszulą, a można się śmiać z twego towarzysza, bo ten głupi potwór zawsze w szyję bije! Patrz, co zostało z jego ulubionej zabawki... same okruchy!

Wyciągnął do niego rękę.

- No, wstańże baronie! Zapraszam cię na obiad!

Wrócił do salonów klubu i zadysponował obiad. Czekaając siadł na kanapie, a gdy zauważył, że Altenheim przeszedł zapalił papierosa, pociągnął trzy razy i rzucił go. Musiał to być umówiony sygnał, gdyż dwaj młodzi ludzie przyszedli i usiedli przy nim; zdawało się, że ich nie zna, ale szeptem nieznacznie rozmawiał z nimi.

Byli to dwaj bracia Dondeville, tym razem w przebraniu eleganckich światowców.

- Czy wszystko gotowe? - zapytał. - Zgromadziliście wszystkich naszych ludzi?

- Czekają tylko na rozkazy, mistrzu.

Sernin zastanowił się dłuższą chwilę, a potem zaczął mówić półgłosem, jak gdyby kończył swe rozmyślenia:

- Tak, w tym wszystkim interesujące jest tylko odkrycie starego Steinwega. Jeżeli się czepiam barona, który też pocziwca skonfiskował, to tylko dlatego, że mam nadzieję zdobyć jakiś ślad. Ale jak dotąd, nie ma nic. A jednak niewątpliwie musi się codziennie komunikować z tym starym. Musi robić wszystko, co można, by z niego wyciągnąć tajemnicę. Ale gdzie on go widuje? Gdzie go zamknął? Czyby u znajomych? Nie. Steinweg musi być u niego, w willi Dupont...

- A więc co każesz, mistrzu?
- Nie ma co, bierzcie wszystkich waszych ludzi i wejdźcie tam.

- Ba! Ale jak?

- W imieniu prawa. Czyż nie jesteście inspektorami w służbie policji?

- Ależ my nie mamy prawa.

- Przywłaszczcie je sobie.

- Ale jeżeli Altenheim wróci?

- Nie wróci przed północą. Już ja się o to postaram. Macie przed sobą trzy i pół godziny - czasu dość, by przetrząsnąć cały dom i porwać starego. Weźcie automobil. Ty zaś, Jakubie, wracaj tu co godzina i przynoś mi wieści.

Baron nadchodził, poszedł mu więc naprzeciw.

-Zjemy obiad, nieprawdaż? Ten mały wypadek w ogrodzie przyspieszył u mnie trawienie, głodny jestem. Co do tego, baronie, chciałbym dać panu kilka rad...

Siedli do stołu. Przez cały czas Sernin uprawiał wesołe kpiny, był zaczepny. Wyglądało to, jakby chciał ukłuć barona językiem. Tamten bronił się czasami, dotknięty do żywego. Ale książę nie ustawał.

-Może zagramy teraz partyjkę bilardu? Masz pan ochotę? Garson, cygara! Jakub Dondeville ukazał się i podczas gdy baron zapalał cygaro szepnął do księcia:

- Już. Czterech drabów służby związaliśmy.

- A Steinweg?

- Szukają go.

- Uciekaj!

Przy partii bilardu Sernin był zadziwiająco zręczny, a przy tym ironiczny, uszczypliwy.

- Pójdę już - rzekł baron - mam coś zrobić...

- Ależ po co, zostań pan!... Przejdźmy do sali gry! Zagrajmy partyjkę bakarata!

Sernin trzymał bank. Zażądał nowych kart, stasował, rozdał.

Altenheim stawiał wysoko, zapalał się, przegrywał.

- Teraz go trzymam - pomyślał Sernin - nie ruszy się przed północą.

Gra trwała długo, zrazu ze zmiennym szczęściem, potem karta zaczęła iść Serninowi wytrwale, bez przerwy.

Altenheim wpadł w zaciekłość, nie tyle, żeby się odegrać, ale z chorobliwej miłości własnej, z gniewu, z nienawiści do Sernina. Pienił się, grał nierozsądnie, dublował stawki i wciąż przegrywał.

Do jedenastej przegrał sto tysięcy franków.

Ktoś zbliżył się do Sernina i szepnął mu na ucho:

- To ja, Dondeville. Przetrząśnięto dom, ale Steinwega znaleźć nie można.

- Przeszukajcie jeszcze raz i wracaj o północy. Czekam cię.

Altenheim powstał.

- Jak to, baronie? Pan przecież jeszcze nie odchodzisz?

- Owszem. Potrzeba mi pieniędzy, ażeby móc panu zapłacić.

- Co tam! To załatwimy jutro. A zresztą może się karta odwróci.

- Dobrze. Ale pod warunkiem, że ja obejmę bank.

- Od ilu pan zaczyna?

- Od pięciuset luidorów.

- Trzymam.

Po chwili Altenheim odkrył swoją kartę.

- Dziewiątka.

O szelma! Oszukuje! - pomyślał książę, zasiadając do stołu - Drogo mnie to kosztować będzie!

Ze względu na galerię, przyglądającą się temu nieubłaganemu pojedynekowi dwóch graczy, nie mógł on, książę Sernin, którego wygranej wszyscy byli świadkami, grać małymi stawkami. Wpadało stawiać wysoko.

O kwadrans po jedenastej już przegrał pięćdziesiąt tysięcy; o wpół do dwunastej stracił całą swą dotychczasową wygraną.

Łotrze, gałganie - powtarzał w duchu Sernin - rabujesz mnie jak zbój na rozstajnej drodze. Dość mam tego przemykania oczu. Znowu dziewiątka! O łotr! A gdybym tak dał pokój i poszedł? Ale cóż! I on sobie pójdzie, i wpadnie tam, zanim moi zdążą skończyć!

O trzy kwadransy na dwunastą Sernin był przegrany na dwadzieścia pięć tysięcy franków.

Altenheim, wciąż uśmiechnięty, trzy razy zapytywał księcia:

- Chce pan grać dalej?

- Owszem... owszem... gram!

I znów przegrywał, jak pierwej.

I spojrzął na zegarek. Dwunasta. Raz jeszcze postawił i przegrał. Ujrzał wreszcie z daleka Jakuba Dondeville i powstał.

- Jutro zapłacę baronie, jutro rano.

- I cóż, znaleźliście go? - zapytał w przedpokoju Jakuba Dondeville.

- Nie. Na próżno szukaliśmy!

- Do diabła! A ja tu wpadłem na trzydzieści pięć tysięcy franków!

- Co będzie, mistrzu?

- Jadę tam sam.

- A jeżeli baron nadejdzie?

- W każdym razie mamy z dziesięć minut czasu przed nim. To mi powinno wystarczyć.

III

Zawrotnym pędem automobil jego podążył ku willi Dupont.

Jan Dondeville z towarzyszami czekali w progu powrotu Jakuba.

- Gdzie są czterej lokaje? - zapytał Sernin wchodząc.

- Tam w kredensie, powiązani, a razem z nimi kucharka.

- To dobrze. Wolę, żeby mnie nie widziano. Wy wszyscy możecie wracać do domu. Janie, ty zostań na dole i czuwaj. Jakubie, przeprowadź mnie galopem przez cały dom tak, żebym sobie zdał sprawę z całego rozkładu. Gaś za nami elektryczność.

Spiesznie przebiegł sutereny, parter, pierwsze i drugie piętro, i strych. Nie przeszukiwał, bo wiedział, że ludzie jego już to zrobili, ale pilnie notował w pamięci wszystkie szczegóły rozkładu domu.

Skończywszy wrócił do sypialnego pokoju Altenheima i bacznie się w nim rozejrzał.

- To właśnie to, czego mi potrzeba - rzekł usuwając firanę, poza którą kryła się ciemna alkowa zawieszona ubraniami. - Stąd widzieć będę cały pokój.

- Ale jakże pan stąd wyjdzie?

- Sam nie wiem, ale jakoś to będzie. Idź, Dondeville, zamknij drzwi. A jutro rano pošlij ode mnie trzydzieści pięć tysięcy franków temu łotrowi baronowi.

- Trzydzieści pięć tysięcy franków?

- Ani grosza mniej. To dług karciany, rzecz święta. Pamiętaj o honorze książęcego rodu Serninów!

Siadł na kufereczku poza poczwórnym rzędem zawieszonych ubrań. Był tu oczywiście bezpiecznie schowany, chyba gdyby przyjść miało do poszukiwań...

Upłynęło dziesięć minut może. Rozległ się turkot przed domem. Trzasnęły drzwi i zaraz też zabrzmiały głosy, okrzyki...

- Teraz sobie opowiadają - pomyślał Sernin. - Baron musi być wściekły... Rozumie teraz powody mego postępowania w klubie i rozumie, że go nabrałem. I pierwsze, o czym teraz pomyśli, będzie: czy mu też zabrano Steinwega? Ażeby się przekonać pobiegnie najpierw do jego skrytki. Jeżeli pójdzie po schodach skrytka jest na górze, jeżeli na dół zejdzie jest w suterrenach.

Nasłuchiwał. Gwar głosów trwał dalej, ale nikt się nie ruszał; oczywiście Altenheim przesłuchiwał swoich współpracowników. Po upływie jakiej pół godziny dopiero usłyszał Sernin kroki wchodzące po schodach.

-Idźcie wszyscy spać - odezwał się głos Altenheima.

Baron wszedł do swego pokoju z jednym ze swych ludzi i zamknął drzwi za sobą.

- I ja też się położę, Dominiku. Gdybyśmy całą noc przegadali nie zajdziemy jednak dalej.

- Moim zdaniem on tu przyszedł, szukając Steinwega.

- I ja tak myślę i dlatego śmieję się z tego, ponieważ Steinwega tu nie ma.

- Ale gdzież on jest nareszcie? Gdzie pan mógł go podziąć?

- To już moja tajemnica, a ty wiesz, że ja swoje tajemnice chowam dla siebie. Tyle ci mogę powiedzieć, że schowany jest dobrze i że stamtąd, gdzie jest, nie wyjdzie, nie przemówi.

- Ale tamtego księcia warto by się pozbyć!

- Bądź spokojny, mój stary, wkrótce ci ofiaruję portfel z jego skóry!... A teraz idę spać - upadam ze znużenia.

Dobiegł odgłos zamykanych drzwi. Następnie Sernin usłyszał, że baron zasuwa drzwi na rygiel, wypróżnia kieszenie, nakręca zegarek i rozbiera się.

Wesół był, pogwizdywał, nucił, mruczał nawet półgłosem do siebie:

-Tak, z jego skóry... i to prędko, prędko!... Inaczej on nas weźmie, ten rzezimieszek!... To nic... spudłował dziś wieczór! A dobrze kombinował jednak... Steinweg tu być może. Tylko gdzie? W tym sęk!...

Położył się do łóżka i zaraz też zgasił elektryczne światło.

Sernin przybliżył się do firanki, odchylił ją z lekka i patrzył. Niepewne światło wpływało przez okno, łóżko stało w zupełnej ciemności.

Najoczywiściej osiadłem na lodzie - myślał. - Skoro tylko chrapnie ja się wynoszę...

Ale jakiś stłumiony odgłos go zadziwił; odgłos, którego sobie nie umiał wytłumaczyć, a który płynął od strony łóżka. Było to coś, jakby lekki chrzęst, zaledwie dosłyszalny.

-No i cóż, panie Steinweg, na czymże stoimy?

To baron mówił! To niewątpliwie on mówił! Ale jakimże sposobem mógł mówić do Steinwega, skoro Steinwega nie było w pokoju?

Altenheim mówił znowu:

- Więc nie chcesz gadać?... Nie?... Głupcze! Trzeba jednak, żebyś wyśpiewał to, co wiesz... Nie chcesz? A więc dobranoc! Do jutra!

Ja chyba śnię! Ja chyba śnię! - powtarzał w duchu Sernin. - Albo też może to on mówi przez sen... Bo przecież jakże to? Steinwega nie ma przy nim, nie ma go w sąsiednim pokoju, nie ma go nawet w domu... Sam Altenheim to powiedział. A więc cóż to wszystko znaczy?...

Wahał się. Czyżby może rzucić się na barona, chwycić go za gardło i siłą i groźbą wymusić to, co podstępem zdobyć się nie dało? Nonsens! Nigdy w świecie! Altenheim nie da się

zastraszyć!

-Pójde sobie - pomyślał. - Straciłem wieczór...

Nie poszedł jednak. Czuł, że nie może, że musi czekać, czy mu przypadek nie przyjdzie na pomoc.

Z wszelką ostrożnością zdjął z wieszadeł parę ubrań, jakiś paltot, rozłożył je na ziemi, oparł się plecami o ścianę i usnął najspokojniej w świecie.

Baron nie był rannym ptaszkiem. Zegar gdzieś bił dziewiątą, gdy wyskoczył z łóżka i zadzwonił na służącego.

Przejrzał pocztę, którą mu przyniósł służący, ubrał się w milczeniu i zaczął pisać listy, podczas gdy służący starannie rozwieszał zdjęte rzeczy w garderobie za firanką. Sernin z gotowymi piściami czekał, czy służący go nie zauważy.

O dziesiątej baron rzucił rozkaz:

-Idź teraz... Idź zaraz teraz i nie wracaj, dopóki cię nie zawołam.

Sam drzwi zamknął za służącym, poczekał chwilę nieufnie, a potem przystąpił do telefonu i ujął słuchawkę.

-Proszę mnie połączyć z Garches, numer 38!

W kilka sekund później cicho, ale bardzo wyraziście mówił:

-Halo!... Tak, to ja... nie traćmy słów niepotrzebnie... Wczoraj? Tak, nie udało ci się w ogrodzie... Na drugi raz, naturalnie... Ale czas nagli... Kazał przetrząsnąć dom wczoraj wieczór... opowiem ci... Nie znalazł naturalnie... Co? Halo!... Nie, stary nie chce mówić... jeszcze raz spróbuję dziś w nocy, ale się boję... Masz słuszność... trzeba by się zobaczyć... na razie to niebezpiecznie. Kiedy chcesz?... We wtorek? Dobrze. Przyjdę około drugiej. Zresztą możemy się przez telefon porozumiewać co rano.

Zawiesił słuchawkę, zabrał listy i wyszedł. Sernin słyszał, jak wydawał rozkazy:

- Uważajcie tym razem i nie dajcie się złapać, tak jak wczoraj. Nie wróć przed nocą.

Trzasnęły drzwi przedpokoju, trzasnęły drzwi furtki i oddalił się turkot kół.

W kilka minut później weszło dwóch służących, otworzyli okno i sprzątnęli pokój.

Po ich odejściu Sernin wysunął się ze swojej skrytki i zaczął oglądać łóżko i ścianę, pod którą stało.

-To dziwne! To dziwne! Nic nie ma nadzwyczajnego. Łóżko nie ma podwójnego dna, pod łóżkiem nie ma klapy. Zajrzyjmy do przyległego pokoju.

Poszedł tam na palcach. Pokój był pusty, bez mebli.

-To nie tam mieszka ten stary... W ścianie? Nie może być! To taki cienki mur... Do licha! Nic nie rozumiem!

Cał za całem badał podłogę, ścianę, łóżko, tracąc czas daremnie.

Z obawy, żeby go nie przyłapano wrócił do swojej kryjówki i już się stamtąd nie ruszył to dumając, to drzemiąc, trapiiony gwałtownym głodem. Ale postanowił czekać.

Ściemniło się. Nadszedł wieczór.

Altenheim wrócił już po północy. Wszedł do swego pokoju, sam tym razem, rozebrał się, położył i zaraz znowu zgasił elektryczne światło.

To samo wytężone oczekiwanie. Ten sam cichy niewytłumaczony zgrzyt. I tym samym kpinkującym głosem Altenheim zaczął mówić:

- No i jakże tam, przyjacielu? Wymyślasz? Nie, nie mój stary, nie tego od ciebie żądamy! Złą drogę obierasz. Chcę, byś mi się dobrze wypowiedział, zupełnie szczerze, zupełnie szczegółowo ze wszystkiego tego, co zwierzyłeś Kesselbachowi... żebyś opowiedział wszystko, co wiesz o Piotrze Leduc etc. etc...

Sernin słuchał ze zdumieniem. Tym razem trudno się było mylić: baron nie majaczył sennie, baron rzeczywiście przemawiał do starego Steinwega. Zadziwiająca rozmowa! Zdawało mu się, że podsłuchuje tajemniczą rozmowę pomiędzy żywym a umarłym, niewidzialnym, niedotykalnym, nieistniejącym...

Ironiczny i okrutny baron mówił dalej:

-Głodny jesteś? To jedźże, mój stary! Tylko pamiętaj, że za jednym zamachem dałem ci cały twój zapas chleba i że jeżeli schrupiesz na dobę po parę okruszyn starczy ci tego na jaki tydzień, na dziesięć dni najdalej... A potem... bywaj zdrow... Chyba, że tymczasem zdecydujesz się otworzyć buzię... Nie?

No, to zobaczymy jutro... Dobranoc, stary...

Nazajutrz o pierwszej, nie doświadczwszy żadnej przygody, książę Sernin wyszedł spokojnie z willi Dupont. Trochę mu się w głowie kręciło, trochę mu się nogi chwiały, a idąc ku najbliższej restauracji tak w myśli oceniał położenie:

-Zatem w przyszły wtorek Altenheim z mordercą z Palace-Hotel mają schadzkę w Garches, w domu, który ma numer telefonu 38. Zatem tego dnia ja tych obu bandytów wydam w ręce sprawiedliwości i uwolnię pana Lenormand, tak jak to obiecałem. Tegoż dnia wieczorem przyjdzie kolej na Steinwega i dowiem się nareszcie, czy Piotr Leduc jest czy nie jest synem rzeźnika i czy go mogę wyswatać z Genowefą. Amen.

We wtorek rano około jedenastej Valenglay, prezydent gabinetu, wezwawszy do siebie prefekta policji i pana Webera, pomocnika szefa bezpieczeństwa, pokazał im odebrany przed chwilą bilet od księcia Sernina:

Panie Prezydencie gabinetu!

Wiedząc, jak się pan interesuje losem p. Lenormand chcę Pana powiadomić o faktach, które przypadkiem odkryłem.

P. Lenormand jest uwięziony w piwnicach willi „Pod Glicyniami” w Garches, obok „Zacisza”.

Bandyci z Palace-Hotelu postanowili zgładzić go dziś, o godzinie drugiej.

Jeżeli policja potrzebuje mojej pomocy znajdować się będę o godzinie wpół do drugiej w ogrodzie „Zacisza”, albo u pani Kesselbach, której mam zaszczyt być przyjacielem.

Proszę przyjąć, Panie Prezydencie, wyrazy mego najgłębszego poważania.

książę Paweł Sernin

- To niezmiernie poważna wiadomość, kochany panie Weber - oświadczył Valenglay. - Dodam, że mamy wszelkie prawo ufać

twierdzeniom księcia Semina. Byłem z nim kilka razy na obiedzie. To człowiek poważny i inteligentny.

- Czy mi pan pozwoli, panie prezydencie - odezwał się pan Weber - przedłożyć sobie i ten list także, który ja również otrzymałem dzisiaj rano?

- List odnoszący się do tej samej sprawy?

- Tak jest.

Valenglay wziął list do ręki i czytał:

Ostrzegam Pana, że książkę Paweł Sernin, który się mieni przyjacielem pani Kesselbach, jest Arsenem Lupin we własnej osobie.

Wystarczy na to ten jeden dowód: Paul Sernin to anagram Arsena Łupin. Zachodzą tu i tam te same litery. Ani jedna mniej, ani jedna więcej.

L.M.

I pan Weber dorzucił, podczas gdy Valenglay zmieszany milczał:

- Tym razem nasz Lupin znalazł godnego siebie przeciwnika. Podczas gdy on go denuncjuje tamten nam jego wydaje. I tak lis wpada w sieć.

- Co z tego wyniknie? - zapytał Valenglay.

- To, panie prezydencie, że postaramy się ująć w sieć ich obu. I dlatego wezmę ze sobą dwustu moich ludzi.

ROZDZIAŁ II OLIWKOWY SURDUT

I

Kwadrans na pierwszą. Restauracja na bulwarach. Księżę je śniadanie. Przy sąsiednim stole siada dwóch młodych ludzi. Księżę im się kłania i zaczyna do nich mówić, jak do przypadkiem spotkanych znajomych.

- Należycie do wyprawy, co?

- Należymy.

- Ilu będzie wszystkich ludzi?

- Zdaje się, że sześciu. Każdy przychodzi z osobna. Spotkanie z panem Weberem o trzy kwadranse na drugą obok „Zacisza”.

- Dobrze. I ja tam będę.

- Jak to?

- Czyż to nie ja dowodzę wyprawą? I czyż to nie ja mam odnaleźć pana Lenormand, skoro to publicznie zapowiedziałem?

- Więc pan sądzi, mistrzu, że pan Lenormand nie zginął?

- Jestem przekonany, że nie.

- Może pan co wie?

- Tak, od wczoraj wiem na pewno, że Altenheim i jego wspólnicy zaprowadzili pana Lenormand i Gourela na most w Bougival i zrzucili ich do rzeki. Gourel utonął, pan Lenormand jakoś wypłynął. We właściwej porze dostarczę wszystkich potrzebnych dowodów.

- Ależ czemu on się nie pokazuje, skoro żyje?

- Ponieważ jest uwięziony. Jest uwięziony w piwnicach willi „Pod Glicyniami”.

- Ależ skąd pan to wie? Gdzie dowody na to?

- To moja tajemnica. Mogę wam tylko powiedzieć, że efekt będzie... bajeczny! Jeżeliście skończyli, to w drogę! Mój automobil stoi za kościołem św. Magdaleny. Przyjdźcie tam za

mną.

W Garches Sernin odesłał automobil i pieszo poszli aż do ścieżki prowadzącej do szkoły Genowefy. Tu Sernin przystanął.

- Słuchajcie dobrze, chłopcy. Teraz rzecz najważniejsza. Zadzwońcie do bramy „Zacisza”. Jako inspektorowie policji macie tam wolny wstęp, wszak tak? Pójdziecie do pawilonu „Hortensji”, tego niezamieszkałego. Tam zejdzicie do suterenu i zobaczycie starą okiennicę, zawieszoną na ścianie, i podniósłszy tę okiennicę odkryjecie ujście podziemnego tunelu, który ja w tych dniach odnalazłem, a który prowadzi do willi „Pod Glicyniami”. Tamtędy chodzili do siebie Gertruda i baron Altenheim. Tamtędy też przeszedł pan Lenormand, zanim ostatecznie wpadł w ręce swych wrogów.

- Tak pan sądzi, mistrzu?

- Takie jest moje przekonanie. A teraz słuchajcie, o co mi chodzi. Przekonacie się, czy ten tunel znajduje się dokładnie w tym stanie, w jakim był owej nocy, czy jedne i drugie drzwi, które go przecinają, są otwarte i czy w dziurze obok drugich drzwi znajduje się pakiet, zawinięty w czarną chustkę, który ja sam tam złożyłem.

- Czy mamy rozwinąć ten pakiet?

- Nie potrzeba. To jest ubranie na zmianę. Idźcie i starajcie się działać niepostrzeżenie. Czekam na was.

W dziesięć minut później byli już z powrotem.

- Jedne i drugie drzwi są otwarte, a pakiet leży na swoim miejscu - oznajmił Jan Dondeville.

- To doskonale! Jest teraz w pół do drugiej, Webera tylko patrzeć i jego ludzi. Będą pilnowali willi. Otoczą ją, skoro tylko Altenheim tam wejdzie. Ja w porozumieniu z Weberem zadzwonię, otworzą mi i będę na miejscu. Tam... już ja mam swój plan. No, mam nadzieję, że nie będziemy się nudzić.

I Sernin, pożegnawszy ich, poszedł ku szkole, mówiąc sam do siebie:

-Wszystko układa się pomyślnie. Bitwa rozegra się na wybranym przeze mnie terenie. Muszę ją wygrać. Pozbędę się obu moich przeciwników i zostanę sam przy sprawie Kesselbacha... sam, mając w ręku dwa atuty, Steinwega i Piotra

Leduc. Tylko jedno zastanawia mnie. Co może zrobić Altenheim? Oczywiście i on mieć musi swój plan kampanii. Którędy on mnie ugodzi? I dlaczego nie zaczął mnie dotąd? Niepokoi mnie to... Czyżby mnie zadenuncjował policji?

Przeszedł wzdłuż łączki przed szkołą (dziewczynki właśnie uczyły się w klasie) i zapukał do drzwi wejściowych.

- To ty? Co to znaczy? - wykrzyknęła, otwierając, pani Evnemont. - A więc zostawiłeś Genowefę w Paryżu?

- Jak to? Nic nie rozumiem! - odpowiedział zdziwiony.

- Przecież wezwałeś ją do Paryża!

- Ja?! Co ty mówisz? - chwycił ją za ramię.

- Pisałeś do Genowefy, że oczekiwać jej będziesz na Dworcu Liońskim!

- I ona pojechała?

- Ależ naturalnie. Mieliście zjeść razem śniadanie w hotelu Ritz...

-Ten list... pokaż mi ten list!

Wzięła list z biurka i podała mu go.

-Ależ nieszczęsna kobieto, czyś ty nie widziała, że to fałszerstwo? Pismo dobrze naśladowane, ale to oczywiste fałszerstwo...

Z wściekłością przycisnął pięści do czoła.

-Otóż to ten cios, którego oczekiwałem. Ach, ten nędznik!... Przez nią mnie zaczepia! Ale skąd on wie? Ależ nie... on nic nie wie... Oto już drugi raz próbuje tej sztuki... ale chodzi mu o Genowefę, bo on się w niej rozmiłował... Ale co to, to nigdy, przenigdy!... Wiktorio, słuchaj!... Ach, tracę głowę... Tak, tak, muszę się zastanowić...

Spojrzał na zegarek.

-Pięc po wpół do drugiej... mam czas... Ha! Cóż mogę zrobić, skoro nie wiem, gdzie ona?

Chodził tam i na powrót, jak oszalały, a stara jego niańka nie mogła wyjść z podziwu widząc, że taki wzburzony, że tak traci panowanie nad sobą.

Wtem przyszyła mu do głowy myśl nagła. A może baron Altenheim znajduje się w willi „Pod Glicyniami”? Może zmienili godzinę spotkania?

- Muszę go widzieć - mówił sobie. - Muszę, muszę, za wszelką cenę muszę!

I pobiegł wzburzony, gestykulując, niebaczny na wszystko. Jednakże przed lożą portiera opamiętał się i odzyskał spokój i zimną krew. Spozrzegł w ogrodzie pana Webera, rozmawiającego z braćmi Dondeville.

Gdyby go nie była opuściła zwykła przenikliwość byłby zauważył, że pan Weber zadrżał za jego nadejściem. Dziś jednak on tego nie widział.

- Mam zaszczyt mówić z panem Weberem, nieprawdaż?

- Tak jest. A ja z kim mam honor?...

- Książę Sernin.

- Ach! Właśnie pan prefekt policji powiadomił mnie o ważnej przysłudze, którą nam książę oddaje!

- Ta przysługa dopiero wtedy będzie czymś rzeczywistym, gdy wydam w ręce pańskie obu bandytów.

- To się niebawem stanie. Zdaje mi się, że jeden z tych bandytów właśnie wszedł... Taki tęgi mężczyzna w monoklu...

- W istocie, to baron Altenheim. Czy ludzie pańscy są tu, panie Weber?

- Tak, są ukryci na drodze, o dwieście kroków stąd.

- Otóż panie Weber, mnie się zdaje, że mógłby ich pan tu sprowadzić, przed tę lożę. Stąd pójdziemy do willi. Ja zadzwonię. Ponieważ baron Altenheim mnie zna myślę, że mi otworzą. Wejdę... a za mną...

- Świetny plan - opowiedział pan Weber. - Ja zaraz wracam.

Wyszedł z ogrodu i oddalił się w kierunku drogi.

Sernin śpiesznie pochwycił za ramię jednego z braci Dondeville.

- Biegnij za nim, Jakubie... Zajmij go... tyle tylko, bym ja mógł wejść do willi „Pod Glicyniami”... A potem staraj się opóźnić atak... o ile możesz... pod jakim bądź pozorem. Potrzeba mi dziesięciu minut czasu... Niech otoczą willę... ale niech tam nie wchodzi. A ty, Janie, stań przed pawilonem Hortensji u ujścia korytarza. Gdyby baron chciał ująć tamtędy rozbij mu głowę!

Bracia Dondeville oddalili się, a książę Sernin pobiegł ku wysokiej bramie z kutego żelaza, a stanowiącej wejście pod

„Glicynie”.

Czyżby zadzwonić?...

W pobliżu nie było nikogo. Jednym skokiem wydostał się na kratę, oparł nogę o klamkę, przesadził pręty żelazne i skoczył. Przeszedł szybko brukowany podwórzec i wszedł po stopniach do przedsionka, na który wychodziły okna, szczelnie okiennicami zamknięte.

Podczas gdy się namyślał, jak by tu się dostać do środka, z wielkim zgrzytem żelaza uchylono drzwi i baron Altenheim ukazał się w nich.

- Cóż to, mości książe, w ten sposób wchodzisz do mieszkań ludzkich? Będę się musiał, mój drogi, uciec do żandarmów!

Sernin chwycił go za gardło.

- Genowefa... Gdzie Genowefa? Jeżeli mi nie powiesz, coś z nią zrobił, nędzniku jeden...

- Zwracam ci uwagę - wykrztusił baron - że pozbawiasz mnie możliwości mówienia...

Sernin puścił go.

- Dalejże!... Żywo!... Odpowiadaj!... Gdzie Genowefa?

- Najważniejsze dla takich, jak my - odpowiedział baron - to żeby nam nikt nie przeszkadzał.

I starannie zamknął drzwi i pozasuwał rygle. Następnie zaprowadziwszy Sernina do pobliskiego salonu - salonu pustego, pozbawionego mebli i firanek - zwrócił się do niego i rzekł:

- A teraz jestem na twoje usługi. Czymże ci mogę służyć, mości książe?

- Pytam o Genowefę?

- Zdrowa i cała. Niczego jej nie brakuje.

- Ach! Przyznajesz więc! Gdzież ona jest?

- W czterech ścianach, wolna zresztą.

- Jak to? Wolna?

- Tak, wolna, bo wolno jej chodzić od ściany do ściany.

- Zapewne w willi Dupont; tam, gdzie schowałś Steinwega?

- Ach, ty wiesz, że on tam?... Nie, jej tam nie ma.

- Więc gdzież nareszcie? Mów, bo inaczej...

- Zastanów się, mości książe! Czyż myślisz, że ja taki głupi, że

wyśpiewam ci sekret, za pomocą którego ciebie trzymam?
Kochasz tę małą...

- Milcz! - krzyknął Sernin, tracąc cierpliwość. - Żebyś mi się nie poważyl...

- Co znowu? Czyż to cię hańbi? Ja sam w niej się kocham i odważyłem się...

Nie dokończył, onieśmielony strasznym gniewem Sernina, gniewem hamowanym i milczącym, który twarz jego wykrzywił.

Popatrzyli na siebie w milczeniu, jak dwaj wrogowie, z których każdy szuka słabej strony przeciwnika. Nareszcie Sernin przystąpił o krok bliżej i głosem wyraźnym, głosem grożącym raczej, niż ofiarującym porozumienie, przemówił:

- Posłuchaj. Czy przypominasz sobie, że uczyniłeś mi propozycję przystąpienia z tobą do spółki? Sprawa Kesselbacha na spółkę... podział pracy... podział zysków... Odmówiłem wtedy. Dzisiaj przyjmuję.

- Za późno.

- Poczekaj. Jeszcze lepiej: ja wycofam się z tej sprawy... do niczego mieszać się nie będę... tobie wszystko pozostawię... W razie potrzeby pomogę...

- Pod jakimi warunkami?

- Powiedz mi, gdzie się znajduje Genowefa?

Tamten wzruszył ramionami.

- Bredzisz, Lupin. Przykro mi... w twoim wieku...

Nastąpiła znowu chwila groźnego milczenia.

Baron roześmiał się szyderczo.

- A jednakże to diabelnie miło słyszeć, jak ty płaczkliwie o jałmużnę prosisz!

- Głupcze - szepnął Sernin.

- Książę, ja ci przyślę moich świadków dziś wieczór, jeśli notabene jeszcze będziesz przy życiu!

- Głupcze! - powtórzył Sernin z niewypowiedzianą wzdargą.

- Wolisz skończyć od razu? Wolna wola, mój książę. Polec duszę twoją Bogu. Uśmiesz się? Dałbyś pokój. Mam nad tobą olbrzymią przewagę; potrafię zabić... w razie potrzeby...

-Głupcze! - powtórzył Sernin raz jeszcze.

Spojrzał na zegarek.

-Druga godzina, baronie. Masz już tylko kilka minut czasu. Za pięć, za dziesięć minut najdalej, Weber z półtuzinem tegich, nie przebierających w środkach ludzi włamią się do twojej nory i wezmą cię za kołnierz... I ty się nie uśmiechaj, radzę ci to. Ujście, na które rachujesz, jest odkryte i strzeżone. Ja je znam. Jesteś więc złapany; ni mniej ni więcej, tylko złapany... A to pachnie szafotem, mój miły!...

Altenheim posiniał.

- Ty to zrobiłeś? - bąkał. - Ty posunąłeś się do takiej podłości?

- Dom jest otoczony. Wtargnięcie zaraz nastąpi. Mów - a ja ciebie ocale.

- Jakim sposobem?

- Ludzie, którzy strzegą ujścia korytarza, to są moi ludzie. Dam ci dla nich hasło i będziesz ocalony. Mów!

Altenheim namyślał się chwilę, zawahał się nawet.

- Nie - odrzekł nagle z decyzją. - To wszystko błaga. Nie byłbyś taki naiwny, żeby sam iść w paszczę wilka!

- Zapominasz o Genowefie. Gdyby nie ona, czy myślisz, że ja bym tu był? Mów więc!

- Nie chcę.

- Dobrze, zaczekajmy - rzekł Sernin, tłumiąc niecierpliwość. Wyciągnął papierośnicę i zapalił.

II

- Czy słyszysz? - zapytał po krótkiej chwili.

- A jakże... a jakże... - odpowiedział Altenheim wstając.

Słysząc było uderzenia w bramę.

-Ty wiesz, że z tymi narzędziami, jakimi rozporządzają, długo to nie potrwa...

-Choćby już tu byli w tym pokoju jeszcze bym ci nie ustąpił.

Krata puściła. Zgrzytnęły zawiasy.

- Wpaść w pułapkę, to jeszcze rozumiem, ale dobrowolnie wyciągnąć ręce po kajdanki, to już po prostu idiotyzm. No,

dalej, nie upieraj się. Mów - i umykaj.

- A ty?

- Ja tu zostaję. Czegóż się ja mam obawiać?

- Spójrz tylko.

Baron wskazał na szparę w okiennicy. Sernin spojrział i odskoczył, drgnąwszy.

- Ach, bandyto! I tyś mnie także zadenuncjował! To nie dziesięciu ludzi, to pięćdziesięciu, stu, dwustu Weber sprowadził!

Baron śmiał się szerokim śmiechem.

- A jeżeli jest ich tylu, to oczywiście chodzi o Lupin? Pół tuzina wystarczyłoby dla mnie!

- Uprzedziłeś policję?

- Uprzedziłem, rozumie się.

- Jaki im dałeś dowód?

- Twoje imię... Paul Sernin - czyli Arsen Lupin.

- I ty to sam odkryłeś, ty?... To, o czym nikt nie pomyślał? Ejże! To tamten, sam przyznaj!

Spojrzął znów przez szparę. Tłumy agentów snuły się dokoła willi i teraz już do drzwi szturmowano.

Trzeba jednak było pomyśleć albo o ucieczce, albo o spełnieniu planu, który sobie nakreślił. Jednakże oddalić się, choćby na chwilę, to znaczyło zostawić samym Altenheimą, a któż mógł zapewnić, że baron nie rozporządza innym jakim ujściem i że nie ucieknie? Ta myśl do rozpaczki doprowadzała Sernina. Baron na swobodzie! Baron, mogący wrócić do Genowefy i dręczyć ją, i niewolić swoją wstrętną miłością!

Zahamowany w swych zamierzeniach, zmuszony obmyślić naprędce nowy jakiś plan, podporządkowując wszystko inne względem bezpieczeństwa Genowefy Sernin przeżywał teraz chwilę strasznego wahania. Z oczyma utkwionymi w oczach barona pragnął wyrwać mu tajemnicę i pójść, i już go nawet nie przekonywał, tak daremnymi zdawały się tu słowa. I tylko starał się odgadnąć, na co liczy baron? Jaką posiada broń? I jakie szanse ocalenia?

Drzwi od przedsiönka, choć mocno zaryglowane, choć okute żelazem, zaczynały ustępować.

Obaj, nieruchomi, stali przed tymi drzwiami. Dochodziła ich wrzawa głosów, dochodziły pojedyncze wyrazy.

- Zdajesz się być bardzo siebie pewien - zauważył Sernin.

- Dlaczego by nie? - krzyknął tamten i kopnięciem w nogi przewróciwszy Sernina zaczął uciekać.

Sernin powstał natychmiast, otworzył pod głównymi schodami małe drzwiczki, przez które wymknął się Altenheim i zeskakując po kamiennych schodkach zbiegł do suteren.

Korytarz... izba obszerna i niska, prawie ciemna... tam baron klęczał, podnosząc klapę przejścia.

- Idioto! - krzyknął Sernin, rzucając się na niego - Wiesz przecież, że znajdziemy moich ludzi na końcu tego przejścia i że oni mają rozkaz zabić cię, jak psa!... Chyba, że... chyba, że ty masz inne wyjście, które się z tym łączy... Ej, jak widzę, odgadłem... i ty sobie wyobrażasz...

Walka była zacięta. Altenheim, prawdziwy siłacz o wyjątkowej muskulaturze, otoczył przeciwnika ramionami i usiłował go zdusić.

Sernin rozumiał wyższość przeciwnika, o ile nie wyzwoli rąk swoich, którymi z taką sztuką umiał władać.

Nagle dreszcz po nim przebiegł. Kłapa, która zapadła i na której drzwiczkach ciężarem swym spoczywali, kłapa zdawało się, że drgnęła. Czuł wysiłki czyjeś, żeby ją podważyć, i baron również musiał to poczuć, gdyż rozpaczliwie starał się przesunąć teren walki tak, ażeby kłapa dźwignąć się mogła.

- To tamten! - myślał Sernin z rodzajem niewyrozumowanego lęku, jakim go ta tajemnicza istota napełniała. - To tamten... Jeżeli on tu wejdzie zginęłam...

Nieznacznymi ruchami Altenheim zdołał się usunąć i starał się przeciwnika pociągnąć ku sobie. Ale Sernin czepiał się nogami nóg barona, starając się równocześnie wyzwolić choć jedną rękę.

Pod nimi grzmiały silne uderzenia...

Mam pięć minut czasu - pomyślał Sernin. - Za minutę musi ten łotr...

Głośno zaś dodał:

- Baczość, mój mały! Trzymaj się dobrze!

Ścisnął oba kolana z nieopisaną siłą i parł nimi barona. Baron ryknął. Udo miał zgniecione.

Wtedy Sernin, korzystając z bólu przeciwnika, wysiłkiem woli uwolnił prawą rękę i chwycił go za gardło.

- Doskonale! Teraz nam będzie wygodniej!... Nie, daj pokój! Nie sięgaj po swój nóż... bo zaduszę cię jak kuraka!... Widzisz, jaki jestem grzeczny... zanadto silnie nie ściskam... tyle tylko, żeby ci odebrać ochotę do śmiechu.

Mówiąc równocześnie dobył z kieszeni cieniuchny sznurek i jedną ręką, nader zręcznie, związał mu obie ręce. Ledwie dyszący zresztą baron prawie się już nie bronił. Kilkoma umiejętnymi ruchami Sernin skrępował go należycie.

- Jakiś ty grzeczny! Nie poznaję cię wcale! O, widzisz, na wypadek, gdyby ci się zachciało uciekać, oto jest motek stalowych nici, który uzupełni moje dzieło... Najpierw rączki... a teraz nóżki w kostkach... Tak... Boże! Jakiś ty grzeczny!

Baron z wolna przychodził do siebie. Wybełkotał:

- Jeśli mnie wydasz Genowefa umrze.

- Doprawdy?... Jak to?... Wyłumacz mi to!

- Zamknięta jest. Nikt nie wie, gdzie ją ukryłem. Gdy mnie nie będzie ona umrze z głodu... i Steinweg również.

- Tak, ale ty przemówisz.

- Nigdy!

- Owszem, przemówisz. Już nie teraz, bo nie pora, ale tej nocy.

Nachylił się nad nim i cicho szeptał mu do ucha:

- Słuchaj, Altenheim, i chciej mnie dobrze zrozumieć. Za chwilę ciebie wezmą. Nocować będziesz w więzieniu. To jest nieodwołalna konieczność. Ja sam nic tu już zmienić nie mogę. A potem... ty wiesz, co ciebie czeka?... Otóż ja tobie dam jeszcze jedną szansę ocalenia. Tej nocy - słyszysz? - tej nocy zakradnę się do twojej celi i ty mi powiesz, gdzie jest Genowefa. W dwie godziny później, o ile nie skłamiesz, będziesz na swobodzie. Jeżeli nie... no, to widocznie nie dbasz o swoją głowę.

Baron nie odpowiedział. Sernin wstał i zaczął słuchać. W górze nad nimi huk i łoskot. Drzwi wchodowe ustępowały. Kroki stuknęły po przedpokoju i po posadzce salonu. Pan Weber i

ludzie jego szukali.

- Do widzenia, baronie, namyśl się do wieczora. Celka więzienna to dobra doradczyni!

Posunął więźnia swego i podniósł klapę. Tak jak przewidywał, już tam pod spodem, na schodkach, nie było nikogo.

Zeszedł, pozostawiając za sobą klapę otwartą, jak gdyby miał zamiar wrócić.

Schodki liczyły dwadzieścia stopni, a poniżej zaczynał się korytarz, przez który pan Lenormand z Gourelem przeszli od przeciwnego końca.

Puścił się tym korytarzem i nagle krzyknął. Zdawało mu się, że czuje czyjaś obecność.

Zapalił latarkę kieszonkową. Korytarz był pusty.

Wtedy nabił rewolwer i głośno przemówił:

- Strzeż się, bo strzelam...

Nikt nie odpowiedział. Nic się nie odezwało.

Wydawało mi się - pomyślał. - Ale teraz rażno! Śpieszyć się trzeba!... Dziura, w którą wsunąłem pakiet z ubraniem, jest niedaleko. Zabieram pakiet... i urządzam sztuczkę. I jaką sztuczkę! Jedną z moich najlepszych!...

Doszedł do drzwi otwartych i zatrzymał się. Na prawo było zagłębienie, dziura, którą wykopał pan Lenormand uciekając przed napływającą wodą.

Nachylił się i latarką oświetlił otwór.

- Ach, to niemożliwe! - zadrżał. - To pewnie Dondeville posunął pakiet dalej!

Ale daremnie szukał w ciemnościach. Pakietu nie było i Sernin już ani wątpił, że to owa tajemnicza istota go zabrała.

- Jaka szkoda! Rzecz tak ładnie była ułożona! Przygoda rozwinęłaby się naturalnie, a ja najbezpieczniejszą drogą doszedłbym do celu... Teraz zaś trzeba szybko umykać. Dondeville czeka na tamtym końcu... odwrót mam zapewniony. Teraz już bez żartów... trzeba się śpieszyć... A później zajmę się nim... Ach, niech się strzeże moich sponów ten tam...

Nagle jednak wydał okrzyk zdumienia. Doszedł do drugich drzwi, już bliskich pawilonu, ale te drzwi były zamknięte...

Rzucił się na nie, chciał je wyłamać. Na próżno. Cóż mógł uczynić?

- Tym razem - szepnął - wpadłem, nie ma rady!

I usiadł w poczuciu nagłego znużenia. Miał wrażenie, że słabym jest i bezsilnym wobec owej tajemniczej istoty. Altenheim się nie liczył. Ale tamten, ten duch ciemnicy i milczenia, tamten górował nad nim, tamten obalał wszelkie jego kombinacje i pozbawiał go sił chytryością piekielnych swoich napaści.

Czuł się zwyciężonym. Dawał za wygraną.

Weber go tu znajdzie jak zwierza, osaczonego w jaskini.

III

- Ach nie! Nie! - zerwał się nagle. - Gdyby to tylko o mnie chodziło... ale Genowefa! Ją trzeba ratować tej nocy jeszcze... Ostatecznie nie wszystko jeszcze stracone. Jeżeli tamten gdzieś zniknął musi tu gdzieś być jakieś inne wyjście. No, no, jeszcze mnie Weber nie trzyma w garści!

I jął oglądać tunel, i wznosząc latarkę do góry badać cegły, z których zbudowano ściany - gdy nagle doszedł go krzyk, straszny, okropny krzyk, który dreszczem lęku nim wstrząsnął.

Krzyk ten dochodził od strony kłapy.

Tu nagle przypomniał sobie, że klapę tę pozostawił otwartą wtedy, gdy miał zamiar tamtędy wracać do willi „Pod Glicyniami”.

Zawrócił śpiesznie, minął pierwsze drzwi. W ciemności, ponieważ zagasła mu latarka, poczuł, że coś lub raczej ktoś otarł mu się o kolana, że ktoś przekrada się wzdłuż ściany. I zaraz też odniósł wrażenie, że ten ktoś znika, podziwia się gdzieś... nie wiedział którądy.

W tejże chwili potracił o stopień.

-To tam jest wyjście - pomyślał - to drugie wyjście, przez które tamten uchodzi.

Powyżej krzyk odezwał się znowu, ale mniej silny, a za nim jęki i chrapliwe rżenie.

Wbiegł szybko po schodach, wszedł do niskiej izby i rzucił się ku baronowi.

Altenheim, z okrwawioną szyją, dogorywał. Więzy jego były przecięte, ale nietknięte były stalowe nici, którymi ręce jego i nogi w kostkach skrepował. Nie mogąc go uwolnić towarzysz zadał mu śmierć.

Sernin z przerażeniem patrzył na ten widok. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Myślał o Genowefie uwięzionej, której nikt na pomoc nie przyjdzie, która musi zginąć najokropniejszą śmiercią, gdyż baron jeden tylko wiedział o jej kryjówce.

Wyraźnie teraz słyszał, że ajenci otwierają małe boczne drzwi w przedpokoju. Wyraźnie słyszał ich kroki na schodach do suteren.

Teraz dzieliły go od nich już tylko jedyne drzwi, drzwi niskiej izby, w której się znajdował. Zaryglował te drzwi w chwili, gdy już szturmujący chwyтали za klamkę.

Kłapa obok niego była otwarta... Tędy ratunek był możebny, ponieważ istniało jeszcze drugie wyjście.

- Nie - pomyślał. - Genowefa najpierw. Potem, jeśli zdążę, pomyślę o sobie.

I klękawszy położył rękę na piersiach barona.

Serce jeszcze biło. Nachylił się niżej.

- Słyszysz mnie? Mów!

Powieki słabo drgnęły.

Iskra życia jeszcze się tliła w umierającym. Czy uda się z niego co wydobyć?

Do drzwi, ostatniej przegrody, zaczęli szturmować ajenci.

Sernin szepnął:

- Ja ciebie ocalę... ja mam niezawodne lekarstwo... Tylko jedno słowo... gdzie Genowefa?

Zdawałoby się, że te słowa nadziei dodawały siły. Altenheim starał się przemówić.

- Odpowiedz, odpowiedz - powtarzał Sernin - a ja ciebie ocalę... i życie i wolność ci wrócę... odpowiedz...

Drzwi drżały pod ciosami.

Baron starał się wybelkotać jakieś niezrozumiałe sylaby. Nachylony nad nim, przerażony, całą wolę swą i energię prężąc, Sernin dyszał niepokojem.

Ajenci, niechybne uwięzienie - o tym nawet nie myślał... ale Genowefa... Genowefa, umierająca z głodu, a którą jedno słowo tego nędznika mogło ocalić!...

-Odpowiedz! Musisz odpowiedzieć!

Nakazywał. Błagał. Altenheim, jak zahipnotyzowany potęgą przemożną, wyjąkał:

- Ri... Rivoli...

- Ulica Rivoli? Tak? Zamknąłeś ją w domu przy ulicy Rivoli, nieprawdaż? Pod jakim numerem?

Wrzawa, okrzyki triumfu... drzwi wysadzone.

A Sernin na kolanach powtarzał:

- Mów, który numer? Jeżeli ją kochasz odpowiedz! Dlaczego miałbyś milczeć teraz?

- Dwu... dwudziesty siódmy - wyszeptał baron.

Ręce agentów chwyciły Sernina. Lufy rewolwerów podniosły się groźnie.

Odwrócił się ku agentom, którzy - przejęci instynktownym strachem - odstąpili dalej.

- Jeżeli się ruszysz - krzyczał Weber, celując - palnę ci w łeb!

- Zbyteczne strzały - odpowiedział Sernin poważnie - poddaję się. Nie masz prawa strzelać, gdyż ja nie stawiam oporu.

Wyciągnął z kieszeni dwa rewolwery i rzucił je na ziemię.

Pan Weber kazał odemknąć okiennicę piwnicznego okienka i światło dzienne wpadło do izby. Odwrócił się do Altenheima. Tu nagle, ku wielkiemu jego zdziwieniu, baron - którego miał za umarłego - otworzył oczy, straszne, bielmem zachodzące oczy. Popatrzył na pana Webera, a potem wzrok jego padł na Sernina. Skurcz gniewu wykrzywił mu twarz. Zdawał się budzić z martwo ty, nagła nienawiść wracała mu resztki sił. Dźwignął się trochę na obu rękach i usiłował przemówić.

- Poznajesz go, co? - pytał Weber. - To jest Lupin, nieprawdaż?

- Tak... Lu... pin!...

- Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć! - zapytał Weber widząc,

że wargi barona wciąż jeszcze się poruszają.

- Tak!...

- Może co o panu Lenormand!

- Tak!...

- Zamknęliście go? Gdzież, odpowiedz!

Całym swoim wyprężonym ciałem, całym swym wyteżonym wzrokiem Altenheim wskazywał na szafę, stojącą w rogu izby.

- Tam... tam... - bełkotał.

Pan Weber otworzył szafę. Na jednej z półek leżała paczka, zawinięta w czarną chustkę.

Rozwinął paczkę i znalazł w niej kapelusz, małe pudełko i ubranie.

Zadrżał... Poznał oliwkowy surdut pana Lenormand.

- Ach, nędznicy! - krzyknął - Oni go zamordowali!

Altenheim zaprzeczył gestem.

- Więc co?

- To on... on!

- Jak to on?... Czy to Lupin zabił szefa?

- Nie.

Z dzikim uporem Altenheim czepiał się życia, pragnąc mówić, pragnąc oskarżać... Tajemnica, którą chciał odsłonić, wisiała mu na końcu języka, ale nie mógł, nie umiał wypowiedzieć jej słowami.

- No więc jakżeż - nalegał Weber - pan Lenormand przecież umarł?

- Nie.

- Więc żyje?

- Nie.

- Nie rozumiem... Więc czyjeż tedy to ubranie? Ten surdut?

Altenheim obrócił się w stronę Sernina. Nagła myśl uderzyła Webera.

- Ach, rozumiem! Lupin zdobył ubranie pana Lenormand i chciał się w nie przebrać, ażeby ujść...

- Tak... tak...

- Wcale nieźle - zawołał Weber. - To sztuczka w jego rodzaju. W tej izbie znaleźlibyśmy Lupin, przebranego za pana Lenormand, może nawet okutego w kajdany. Tym sposobem

byłby się wyratował... Tylko... brakło na to czasu. To tak było? Prawda?

- Tak... tak...

Ale w spojrzeniu umierającego pan Weber czytał, że jeszcze coś było poza tym i że to jeszcze nie cała tajemnica. Pytał więc dalej:

- A gdzie jest pan Lenormand?

- Tu...

- Jak to? Tu!

- Tak.

- Ależ my tylko jesteśmy w tej izbie!

- Jest... jest... Ser... Sernin... Lenormand...

Pan Weber skoczył. Nagła jasność zaświeciła mu w głowie.

- Nie, nie, to niemożliwe - to szaleństwo!

Przyjrzał się bacznie więźniowi. Sernin wyglądał, jak gdyby go ta cała scena bawiła i jak gdyby ciekawie wyglądał rozwiązania.

Altenheim, wyczerpany, upadł na wznak. Czy też umrze, zanim wypowie ostateczne słowo zagadki? Pan Weber - zaniepokojony przypuszczeniem niedorzecznym, nieprawdopodobnym, przed którym się bronił, a które jednak czepiało go się uporczywie - przyklęknął i z wolna, wyraźnie, tak, żeby każda sylaba dotarła do omroczonej świadomości umierającego, wygłosił mu pytanie do samego ucha:

- Powiedz, czy ja dobrze zrozumiałem? Lupin i Lenormand to jeden i ten sam - nieprawdaż?

Martwiejące oczy, w których na chwilę obudził się błysk przytomny, powlokły się mgłą. Strumyczek krwi wypłynął z kącika ust... Kurcz wstrząsnął ciałem, które wyprostowało się martwe...

W niskiej izbie, pełnej ludzi, nastąpiło długie milczenie.

Prawie wszyscy ajenci strzegący Sernina odwrócili się i zdumieni, nie rozumiejąc czy nie chcąc zrozumieć, słuchali niebywałego oskarżenia, którego bandyta nie zdołał sformułować jaśniej.

Pan Weber wyjął ze znalezionej zawiniątka pudełko i otworzył je. Zawierało perukę siwą, okulary w srebrnej

oprawie, brązowy fular, a na samym spodzie, pod podwójnym dnem, słoiki z farbami i maściami i pudełeczko pełne drobnych pukli siwych włosów - wszystkie przybory jednym słowem do stworzenia charakterystycznej fizjonomii pana Lenormand.

Zbliżył się do Sernina i popatrzył nań bacznie, w zamyśleniu, zastanawiając się nad wszystkimi obrotami tej sprawy.

-A więc to prawda? - szepnął wreszcie.

Sernin nie tracił spokoju. Uśmiechnął się tylko.

-Jeżeli mam odpowiadać każ pan tym ludziom spuścić broń, bo mi to celowanie we mnie przeszkadza.

Pan Weber dał znak agentom i wycelowane rewolwery opuściły się ku ziemi.

- A teraz mów. To ty zatem jesteś panem Lenormand?

- Ja w mojej własnej osobie.

Ozwały się okrzyki. Jan Dondeville, obecny tu, podczas gdy brat jego strzegł ujęcia tunelu, nawet Jan Dondeville, wspólnik Sernina, patrzył na niego jak nieprzytomny. Pan Weber, osłupiały, nie wiedział co robić.

- To niesłychane, prawda? - Uśmiechnął się Sernin. - Zwłaszcza, gdy się przypomni, jak się to razem pracowało, ja jako zwierzchnik naczelny, pan jako mój pomocnik. A już to najzabawniejsze, że myśleliście, iż on zginął, ten dzielny pan Lenormand, równie jak ten biedny Gourel. Ale nie, nie, mój poczciwy starowina żył jeszcze.

Ukazał ręką na trupa Altenheima.

- O, ten tutaj bandyta wrzucił mnie do wody w worku, kamień przywiązawszy mi do pasa. Tylko że zapomniał odebrać mi nóż... A nożem przecina się worki i sznury.

Pan Weber słuchał, nie wiedząc, co o tym myśleć. W końcu zrobił ręką gest zniechęcenia, jak gdyby wszelkim rozumowym kombinacjom dawał za wygraną.

- Kajdanki! - rozkazał, przestraszony nagle.

- I tylko tyle? Pomysł nie nowy. I owszem, jeśli to państwu sprawa przyjemność...

I widząc Dondeville'a w pierwszym rzędzie napastników wyciągnął ręce do niego.

-Miej ty ten zaszczyt, przyjacielu, i nie trap się, wierny sługo

pana Lenormand... Skoro nie ma innej rady, trudno...

Dondeville założył mu kajdanki.

Nie poruszając nawet wargami, bez jednego drgnięcia w twarzy, Sernin szepnął mu cichutko:

-Ulica Rivoli 27... Genowefa...

Pan Weber nie mógł opanować zadowolenia na widok skutego wroga.

-W drogę! - rzekł. - Do więzienia Sûreté.

Mimochodem tylko zatrzymano się w więzieniu Sûreté. Dokonano mierzeń antropometrycznych i przewieziono więźnia do bezpieczniejszego lokalu w więzieniu de la Santé. O siódmej wieczór księżę Sernin znalazł się w celce nr 14 drugiego oddziału.

ROZDZIAŁ III W WIEZIENIU

I

Arsen Lupin od czterech lat był szefem bezpieczeństwa! Gdy prasa rozgłosiła tę sensacyjną wiadomość zdumienie publiczności nie miało wprost granic. Był nim od czterech lat! Był nim rzeczywiście, legalnie, zażywał wszelkich praw, które to stanowisko daje, zdobył uznanie zwierzchników, przychyłność rządu, podziw szerokiej publiczności.

Od czterech lat bezpieczeństwo mieszkańców i obrona własności spoczywały w jego ręku. Czuwał nad wypełnianiem prawa, opiekował się niewinnym, ścigał winnego.

I jakie przy tym oddał usługi! Nigdy tak rzadko nie zakłócano porządku, nigdy wykrycie zbrodni nie następowało tak pewnie ani tak pośpiesznie, jak pod jego właśnie kierownictwem.

Zrozumiano teraz nadzwyczajnie zręczne sztuki, cudowne na pozór, które do niedawna jeszcze zdumiewały tłum i samą policję. Zrozumiano porwanie jego współnika w jasny dzień, w oznaczonej dacie z Pałacu Sprawiedliwości... To przecież było tak proste. Lupin był szefem bezpieczeństwa, a wszyscy policyjni ajenci, słuchając jego rozkazów, stawali się mimowolnie, nieświadomie jego współnikami.

Co za doskonała komedia! Co za ucieszna farsa!

Obudziwszy się nazajutrz w swojej celi Arsen Lupin pogрузił się w głębokie rozmyślenia.

- Tak, tak - dumiał - choć trochę odpoczynku w tym lokalu tylko na dobre mi wyjdzie, to jednak przyznać muszę, że program mego działania niepomrotnie się utrudnił. Mam teraz dwóch przeciwników. Najpierw społeczeństwo, które mnie więzi - ale z tego sobie kpię - a po wtóre osobistość nieznaną,

która mnie wprawdzie nie więzi, ale z której ja znów nie kpię wcale... To tamten odgadł, że ja jestem panem Lenormand. To tamten zamknął drzwi podziemnego ganku, to on popchnął mnie do więzienia.

Zamyślił się na chwilę.

-Tak tedy cała walka rozegra się między nim a mną. A chcąc prowadzić tę walkę, to jest wyświetlić i wykonać projekt Kesselbacha, ja jestem tu uwięziony, podczas gdy on jest nieznany, wolny, niedostępny i ma w rękę dwa atuty, którymi sądziłem, że ja rozporządzam, to jest Piotra Leduc i starego Steinwega... jednym słowem on sam dopływa do końca, odsunawszy mnie zupełnie. Tak - szepnął po chwili sam do siebie - położenie nie jest bynajmniej świetne. Mam przeciw sobie człowieka równie silnego jak ja, silniejszego nawet, ponieważ nie krępują go te skrupuły, którym ja podlegam. Przy tym do walki nie mam broni...

Powtórzył te wyrazy kilkakrotnie i ująwszy czoło w dłonie zamyślił się znów głęboko.

Pan Weber osobiście w towarzystwie dwunastu agentów policyjnych przyjechał fiakrem, aby zawieźć Lupin przed oblicze sędziego śledczego. Dziwny i złożony wielce był stan uczuć pana Webera w stosunku do swego przeciwnika; składał się nań i lęk przed Lupin, i szacunek dla księcia Sernina, i podziw zmieszany z uszanowaniem, jaki zawsze odczuwał wobec pana Lenormand. Do tego mieszała się uraza, zazdrość, nienawiść i zaspokojona próżność.

Przed Pałacem Sprawiedliwości czekali już ajenci służby bezpieczeństwa, pomiędzy nimi zaś pan Weber z radością zauważył dwóch swoich najlepszych pomocników, braci Dondeville.

- Czy pan Formerie jest u siebie?

- Tak, pan sędzia śledczy czeka w swoim gabinecie.

Pan Weber wstąpił na schody, za nim Lupin, eskortowany przez obu braci Dondeville.

- I cóż Genowefa? - szepnął więzień.

- Uratowana. Jest u swojej babki.
- A pani Kesselbach?
- W Paryżu, w hotelu Bristol. Zuzanna zniknęła.
- A Steinweg?
- O tym nic nie wiemy.
- Czy willa Dupont strzeżona?
- Tak jest.
- To dobrze. Macie tu wskazówki, jak ze mną korespondować.
Wychodzili na wewnętrzny korytarz pierwszego piętra. Lupin wsunął w rękę jednego z braci kulkę zmiętego papieru.

- Ach, otóż to! - uśmiechnął się pan Formerie, gdy Lupin w towarzystwie Webera wszedł do jego gabinetu. - Nie wątpię, że prędzej czy później będziemy tu pana mieli!

- I ja o tym nie wątpię, panie sędzio śledczy - odpowiedział Lupin - i cieszę się, że to panu właśnie przypada w udziale oddać sprawiedliwość porządnemu człowiekowi, jakim jestem!

- Ten porządny człowiek ma na razie odpowiadać za trzysta czterdzieści spraw kradzieży, włamań, fałszerstw, szantaży, paserstw itd. Ten porządny człowiek ma nam dziś odpowiadać za zbrodnię morderstwa spełnionego na baronie Altenheim.

- O! To coś nowego! Czy to pański pomysł, panie sędzio?

- Tak jest. Pozycja, w jakiej pana pochwycono, nie pozwala wątpić o tym.

- Pozwolę sobie zadać pytanie: jaka to rana spowodowała śmierć Altenheima?

- Rana na szyi, zadana nożem.

- A gdzie jest ten nóż?

- Noża nie znaleziono.

- Jak to, nie znaleziono noża, skoro to ja mam być mordercą, a pochwycono mnie tuż obok człowieka, którego ja miałem zabić?

- Więc któż, zdaniem pana, jest mordercą?

- Nikt inny, jak tylko ten, który zamordował Kesselbacha, Chapmana itd. Rodzaj rany jest wystarczającym dowodem.

- A którydyż on mógł uciec?

- Przez otwór, nakryty klapą, który znajdziesz pan w tej samej izbie, w której się dramat rozegrał.

Pan Formerie chytrze się uśmiechnął.

- A dlaczegoż to pan za tym zbawiennym przykładem nie poszedłeś?

- Chciałem to uczynić. Ale ujście zaparte było drzwiami i tych nie mogłem otworzyć. Podczas tego tamten wrócił do izby i zabił swego współnika, prawdopodobnie z obawy, ażeby go nie wydał. Równocześnie ukrył w szafie tam będącej paczkę z ubraniami, którą ja dla siebie przygotowałem.

- Cóż to za ubranie i na co miało służyć?

- Chciałem się przebrać. Idąc do willi „Pod Glicyniami” miałem taki zamiar: wydać Altenheima w ręce sprawiedliwości, zniknąć jako ksiązę Sernin i pojawić się znowu w postaci pana Lenormand...

Pan Formerie uśmiechnął się przebiegle.

- Czyż i mnie chcesz pan wziąć na kawał tą bajeczką o panu Lenormand? Lupin szefem bezpieczeństwa? Na co ta błaga?...

Lupin spojrzał nań osłupiałym wzrokiem. Choć niewielkie miał wyobrażenie o bystrości sędziego śledczego, jednakże tępota i zarozumiałość tego człowieka przeraziły go nieomal. Pan Formerie tymczasem, uśmiechając się z zadowoleniem, bębnił palcami po stole.

- Mówże pan już raz rozsądnie i nie upieraj się przy tym nedorzecznym pomysle!

Lupin wzruszył ramionami.

- Trudno, muszę obstawać przy tym, bo to jest właśnie sama rzeczywista prawda. Łatwo panu zresztą będzie, jeśli pan zechce popłynąć do Kochinchiny, przekonać się w mieście Sajgon, że umarł tam prawdziwy pan Lenormand, ów zacny człowiek, na którego miejsce ja się podstawiłem; postaram się dla pana o jego akt zejścia.

- Nie blaguj pan!

- Ostatecznie, panie sędzio, przyznaję, że mi to wszystko jedno. Możesz pan wierzyć albo i nie wierzyć. Możesz pan sobie twierdzić, że zabiłem Altenheima, możesz się bawić w swoje dochodzenia. Mnie to wszystko nie obchodzi nic.

Z całym spokojem przysunął sobie krzeselko, usiadł naprzeciw pana Formerie i krótko, sucho ciągnął dalej:

- Ale ja nie mam czasu do stracenia. Mam ważną sprawę na głowie, a ta nie cierpi zwłoki. Ponieważ zaś panowie skazaliście mnie chwilowo na przymusową bezczynność, zniewolony jestem wam swoje interesa poruczyć. Czy jasno mówię?

- Ależ to śmieszne, doprawdy! - odezwał się pan Formerie.

- Śmieszne, czy nie, tak ma być. W wolnych chwilach zabawiajcie się panowie moim procesem, dochodzeniami co do mojej winy - i owszem - w tym rzecz jednak, byście ani na chwilę nie tracili z oka głównego waszego zadania.

- Mianowicie? - zapytał pan Formerie, wciąż podrzewając.

- Mianowicie powinniście mnie zastąpić w śledzeniu sprawy Kesselbacha, a zatem starać się odkryć Steinwega, poddanego niemieckiego, którego porwał i uwięził ś.p. baron Altenheim.

- Cóż to znów za historyjka?

- To jedna z tych, które zatrzymywałem przy sobie, dopóki byłem... panem Lenormand. Pan Weber o tym coś wie. Jednym słowem, stary Steinweg zna tajemnicze zamysły nieżyjącego dziś Kesselbacha, a Altenheim, który również gonił za tym śladem, złapał i ukrył starego Steinwega.

- Ludzie nie znikają w ten sposób. On musi gdzieś być, ten Steinweg.

- Najniezawodniej.

- A pan wiesz, gdzie?

- Tak, jest w willi Dupont numer 29.

Pan Weber wzruszył ramionami.

- A więc u Altenheima? W jego mieszkaniu? Czyż można dać wiarę wszystkim tym bredniom? W kieszeni barona znalazłem jego adres. W godzinę później jego willę zajęli moi ludzie.

- Ach, jaka dobra nowina! A ja tak się lękałem, że współnik się w to wmiesza - ten, którego ja osiągnąć nie mogłem - i że gdzieś uprowadzi Steinwega! A służba?

- Uszli wszyscy.

- Tak, z pewnością tamten uprzedził ich telefonicznie. Ale Steinweg został.

- Ależ mówię - zniecierpliwił się pan Weber - że nie ma tam

nikogo. Moi ludzie nie wyszli stamtąd przecież!

- Panie pomocniku szefa bezpieczeństwa, niech pan sam przeszuka dom!

- Pilniejsze sprawy mam na głowie!

- Nie ma pilniejszej nad tę. Jeśli się pan nie pośpieszy stary Steinweg nie przemówi.

- A to dlaczego?

- Bo jeśli mu za dzień, za dwa, nie dostarczycie żywności, to stary Steinweg umrze z głodu!

II

-Hm... - skrzywił się pan Formerie - mój panie Lupin, to wszystko jest jedna, jedna wielka blaga... Nie gniewaj się pan, proszę... Trudno, poznałem się na pańskich sztuczkiach i ufać panu nie mogę...

-Idiota - mruknął Lupin pod nosem.

Pan Formerie wstał.

- No dosyć. To było tylko przedwstępne przesłuchanie. Przy dalszych będzie nam potrzebny adwokat pański.

- Czy to absolutnie konieczne?

- Tak jest, prawo tego wymaga.

- Jeżeli już tak, to niechże będzie pan Quimbel.

- I owszem, wybierasz pan dobrego obrońcę.

Skończyło się pierwsze przesłuchanie. Schodząc ze schodów pomiędzy obu braćmi Dondeville więzień szeptem rzucił rozkazy:

- Pilnujcie domu Genowefy... stale czterech ludzi niech czuwa. I nad panią Kesselbach też... zagraża im niebezpieczeństwo. Będą przeszukiwali willę Dupont... bądźcie przy tym. Gdyby miano znaleźć Steinwega urządzcie to tak, żeby on milczał... troszkę proszku w razie potrzeby...

- Kiedy pan wyjdzie na swobodę, mistrzu?

- Na razie nic zrobić nie można... Zresztą nie ma pośpiechu... odpoczywam.

Wróciwszy do swojej celki Lupin napisał drugi list z

instrukcjami do braci

Dondeville i jeszcze dwa inne listy. Jeden z nich był do Genowefy.

Genowefo, wiesz teraz, kim jestem i rozumiesz, dlaczego kryłem przed tobą imię tego, który po dwakroć jako małą dziewczynkę unosił ciebie w ramionach.

Genowefo, byłem przyjacielem twojej matki, przyjacielem dalekim, którego dwoistości życia nie znała, ale na którym wiedziała, że może polegać. Toteż przed śmiercią napisała do mnie słów kilka i błagała mnie, bym czuwał nad tobą.

Choć tak niegodny twojego szacunku, Genowefo, wiernym pozostanę temu zobowiązaniu. Zachowaj dla mnie kącik w swoim sercu.

Arsen Lupin

Drugi list adresowany był do Dolores Kesselbach.

Własny tylko interes zaprowadził księcia Sernin do pani Kesselbach. Ale przemożne pragnienie poświęcenia się dla niej przykuło go odtąd do niej.

Teraz, gdy książę Sernin jest już tylko Arsenem Lupin, prosi panią Kesselbach, by mu nie odbierała prawa czuwania nad nią z daleka, tak, jak się czuwa nad kimś, kogo się już nie zobaczy.

Sięgnąwszy po koperty leżące na stole zauważył kartkę białego papieru, na której naklejone były wyrazy, widocznie wycięte z dziennika:

Walka z Altenheimem nie powiodła ci się. Przestań się zajmować sprawą, a ja ci nie przeszkodzę w ucieczce.

L.M.

I znowu ogarnęło Lupina to uczucie wstrętu i strachu, jak gdyby dotknął gada, jadowitego tworcu...

-I znowu on! - zawołał. - Aż tu dotarł!

Nazajutrz w południe, odmówiwszy widzenia się ze swym adwokatem, Lupin z taką samą ostrożnością zawieszony został na przesłuchanie przed sędzią śledczym. Znowu się zetknął ze starszym Dondeville, zamienił z nim kilka słów i wsunął mu przygotowane trzy listy. Wprowadzono go do gabinetu pana Formerie. Obecny był i pan Quimbel, adwokat.

Niedługo trwało przesłuchanie, nie doprowadzając zresztą do niczego, gdy wszedł woźny i szepnął coś do ucha sędziego.

- Proszę! Niech wejdzie! - zawołał pan Formerie i zaraz też wybiegł naprzeciw wchodzącego.

- I cóż, panie Weber! Znalazłeś pan tego człowieka?

- Nie ma nikogo w tym domu. Nikt się tam nie kryje - żywy ani umarły. Możemy chyba przypuszczać, że stary Steinweg był tam zamknięty, ale już obecnie nie jest.

- Przedwczoraj rano tam jeszcze był - oświadczył wyraźnie Lupin.

- A o piątej pod wieczór moi ludzie dom zajęli - zauważył pan Weber.

- Stąd wniosek - dokończył pan Formerie - że porwano go po południu.

- Nie - zaprzeczył Lupin - twierdząc, że to jest absolutnym niepodobieństwem. Steinweg znajduje się tam wciąż...

- Ależ to szaleństwo! - pan Weber aż ręce wznosił do góry. - Przecież ja stamtąd idę! Przecież ja wszystkie kąty przeszukałem!... Przecież człowieka ukryć nie można jak szpilki!...

- Więc cóż tu robić? - jęknął pan Formerie.

- Co robić, panie sędzio śledczy? - odpowiedział Lupin. - To takie proste! Wsiąść do powozu, ze wszystkimi ostrożnościami, jeśli panom tego trzeba, zabrać mnie ze sobą i jechać do willi Dupont. Teraz jest godzina pierwsza; do trzeciej odnajdę Steinwega.

Propozycja była jasna, kategoryczna, brzmiała jak żądanie. Obaj urzędnicy ulegli prądowi tej silnej woli.

- Co pan o tym myśli, panie Weber?

- Phi... czy ja wiem?

- Tak, ale... tu chodzi o życie człowieka...
- To prawda... - zastępca szefa zaczął się skłaniać.
Otwarto drzwi. Woźny przyniósł list, który pan Formerie odpieczętował. Czytał te słowa:

Strzeżcie się, gdyż jeżeli Lupin wejdzie do willi Dupont, wyjdzie z niej wolny. Ucieczka jego przygotowana.

L.M.

Pan Formerie posiniał. Przeraziło go niebezpieczeństwo, którego uniknął. Więc Lupin znów zadrwił z niego. Steinweg - to bajka.

- Dosyć na dzisiaj - rzekł. - Jutro przesłuchanie trwać będzie dalej. Odstawić więźnia do więzienia.

Lupin słuchał niewzruszony. Pomyślał, że to znów tamten wymierzył mu cios. Pomyślał też, że nie wszystko stracone i że bądź co bądź musi się znaleźć sposób uratowania Steinwega. Rzekł tedy najnaturalniej w świecie:

- Panie sędzio śledczy, do widzenia jutro rano o dziesiątej pod numerem 29 w willi Dupont.

- Zwariowałeś pan chyba! Ja tego nie chcę!

- Ale ja chcę, a to wystarczy! Do widzenia zatem. O dziesiątej punktualnie.

III

Lupin, wróciwszy do swojej celi, położył się i ziewając dumiał:
-W gruncie rzeczy dla posuwania spraw moich ten tryb życia jest bardzo odpowiedni. Codziennie jednym trąceniem palca poruszam całą maszynę i muszę tylko czekać cierpliwie aż do następnego dnia. Wypadki wywiązują się same z siebie. Jakież to pyszny odpoczynek dla przemęczonego człowieka!

I obróciwszy się do ściany twardo zasnął.

Obudził go dopiero zgrzyt zamków i rygli.

- Niech pan wstaje - rzekł strażnik - niech się pan ubiera. A prędko!

Pan Weber i ludzie jego czekali na korytarzu; zaprowadzono go do dorożki.

- Jedziemy do willi Dupont? - zapytał Lupin.

- Skądże pan wie? - zdziwił się Weber.

- Oczywiście, ponieważ wczoraj na dziś na dziesiątą naznaczyłem tam spotkanie panu Formerie!

W dorożce założono mu ręczne kajdanki i tak, ze skutymi rękoma, wysiadł przed gankiem willi; wszyscy udali się od razu do pokoju, gdzie czekał sędzia.

- Przepraszam, panie sędzio śledczy, za moje małe spóźnienie; na przyszły raz będę punktualniejszy.

Pan Formerie był blady i wzruszony. Nerwowe drżenie wstrząsało nim.

- Panie - wyjąknął - pani Formerie...

Musiał przerwać, słowa nie przechodziły mu przez ścieśnione gardło.

- Jakże się miewa miła pani Formerie? - zapytał Lupin uprzejmie. - Miałem przyjemność tańczyć z nią tej zimy na balu w Ratuszu i to wspomnienie...

- Panie - zaczął znów sędzia śledczy - panie, moja żona otrzymała wczoraj wieczór wezwanie telefonem od swojej matki; wezwanie, by co prędzej przybyła. Pani Formerie wyszła natychmiast, niestety beze mnie, gdyż ja studiowałem akta pańskiej sprawy...

- Akta mojej sprawy? Hm...

- Otóż o północy - ciągnął sędzia dalej - widząc, że żona moja nie wraca, trochę niespokojny pobiegłem do jej matki. Pani Formerie tam nie zastałem. Jej matka do niej nie telefonowała wcale. To wszystko było najohydniejszą zasadzką... Pani Formerie do tej chwili jeszcze nie wróciła...

- Ach! - westchnął Lupin z oburzeniem.

Po namyśle zaś dodał:

- O ile sobie przypominam, pani Formerie jest bardzo ładna - wszak się nie mylę?

- Panie - ciągnął sędzia niespokojnie, podchodząc do Lupin - uprzedzono mnie dziś rano listownie, że żona będzie mi oddana z chwilą, gdy stary Steinweg zostanie odnalezionym.

Oto ten list. Podpisany jest: Lupin. Czy to pan go pisał?

Lupin obejrzał list i odpowiedział poważnie:

- Tak jest, to ja ten list pisałem.

- To znaczy, że chcesz pan wymusić na mnie kierownictwo w poszukiwaniach Steinwega?

- Żądam tego.

- A zaraz potem żona moja będzie uwolnioną?

- Tak, będzie wolna.

- Nawet w razie, gdyby te poszukiwania zawiodły.

- Nie mogą zawieść!

- No niechże będzie! - zgrzytnął pan Formerie. - Niech pan poszukuje! Zwyciężyłeś pan!

I pan Formerie skrzyżował ręce na piersiach gestem człowieka, który umie w razie potrzeby ugiąć się przed wyższą siłą przeznaczenia.

Pan Weber nie mówił nic, z wściekłością tylko zagryzał wąsy.

- Pójdźmy na górę - wezwał Lupin.

Poszli.

- Proszę otworzyć drzwi tego pokoju.

Otworzono.

- Proszę mi zdjąć kajdanki - powtórzył Lupin.

- Ja za wszystko odpowiadam - zapewnił pan Weber.

I wydał rozkaz swoim ośmiu ludziom:

- Broń do ręki! Na pierwszy rozkaz, ognia!

Policjanci wyciągnęli rewolwery.

- Schowajcie broń - rozkazał Lupin - ręce w kieszenie!

A wobec wahania się agentów oświadczył stanowczo:

-Przysięgam na honor, że jestem tu dla ocalenia człowieka konającego i że nie będę usiłował uciec.

- Więc dobrze - wmieszał się pan Weber - daję panu godzinę czasu... Jeżeli za godzinę...

- Nie przyjmuję żadnych warunków ani ograniczeń - upierał się Lupin.

- No, więc róbże sobie, jak ci się podoba, bestio ty jedna! - mruknął Weber zniecierpliwiony.

Cofnął się i odciągnął na bok swoich ludzi.

-Doskonale - odparł Lupin. - Tak przynajmniej będzie można

w spokoju pracować.

Usiadł w fotelu i zamyślił się głęboko.

- Panie Weber - rzekł po chwili - każ pan odsunąć łóżko.

Odsunięto je.

- Proszę kazać zdjąć wszystkie firanki alkowy.

Uczyniono to.

Nastąpiło długie milczenie. Wszyscy dokoła z ironicznym niedowierzaniem, lecz zarazem z niepokojem i niejasnym lękiem przed jakąś straszną tajemnicą, oczekiwali...

- Mam! - oświadczył w końcu Lupin.

- A więc? - zapytał pan Weber.

- Poślij pan jednego z ludzi, niech odszuka indykator dzwonek elektrycznych. Musi być przytwierdzony gdzieś w okolicy kuchni.

Jeden z agentów oddalił się.

- A teraz naciśnij pan gałkę dzwonka elektrycznego, tego, co przytwierdzony jest w alkowie nad łóżkiem... Dobrze... Mocniej... Naciskaj pan... A teraz dosyć. Teraz proszę przywołać tego, który był na dole.

Za chwilę agent wrócił.

- No i cóż, czy słychać było dzwonek?

- Nie.

- Czy który z numerów na indykatorze odskoczył?

- Nie.

- Wybornie. Nie omyliłem się zatem - rzekł Lupin. - Panie Weber, zechciej pan odkręcić guzik, który, jak pan widzisz, jest fałszywy... Doskonale...

A teraz, co pan tam widzisz?

- Jakieś kółko - odpowiedział Weber - wygląda to, jak wylot jakiejś rurki.

- Niech się pan nachyli, niech pan przyłoży usta do tej rurki, jak gdyby to była tuba.

- Tak... już...

- Niech pan woła: „Steinweg!... hej!... Steinweg!...” Nie potrzeba krzyčeć... wystarczy mówić zwyczajnie... No i cóż?

- Nikt nie odpowiada.

- To źle. To znaczy, że umarł... albo, że nie ma już sił do

mówienia.

- W takim razie wszystko przepadło! - zawołał pan Formerie.

- Nic nie przepadło - odparł Lupin - tylko dłużej to potrwać musi. Ta rura ma dwa końce, jak każda rura; trzeba będzie pójść za nią, aż do drugiego jej końca.

- Ależ trzeba by chyba cały dom zburzyć!

- Nie... nie... zaraz zobaczycie!...

Zabrał się sam do roboty, otoczony agentami, którzy nie tyle pilnowali go, ile przyglądali się temu, co robi.

Przeszedł do drugiego pokoju i zaraz też, tak jak przewidywał, dostrzegł tam rurę łożowaną, wychodzącą ze ściany i prowadzącą ku sufitowi, jak przewód wodociągowy.

- Otóż to prowadzi w górę - zauważył Lupin - wcale dowcipnie!... Zazwyczaj tego rodzaju schowki bywają w piwnicach!

Droga więc była odnaleziona, należało teraz jedynie iść dalej jej śladem. I tak wyszli na drugie piętro, potem na trzecie, wreszcie na poddasze. Sufit jednej z izdebek na poddaszu był przybity, rura tamtędy wychodziła na niziutki stryszek. Ujście rury widocznie znajdowało się tuż pod samym dachem. Jak się tam dostać? - stanęli bezradnie.

-Trzeba na dach wyjść! - zarządził Lupin.

Przez wąski dymnik przecisnęło się ich kilku.

-Trzeba zdjąć kilka dachówek! - rozkazywał Lupin. - Nie, nie te... tutaj... w tym miejscu znajdować się musi wylot rury.

Trzech agentów zabrało się do zdejmowania dachówek.

- Ach, otóż go mamy! - wykrzyknął jeden z nich.

Nachylili się, zaglądając, wszyscy. Lupin miał słuszość. Pod dachówkami, spoczywającymi na pół przegniłych łątach, znajdowała się pusta przestrzeń, w najwyższym miejscu nie wyższa nad metr. Tu z podłogi, względnie z sufitu poddasza, wynurzał się drugi koniec łożowanej rury. Obok sterczącego tam komina człowiek, trup raczej, niż człowiek, leżał na ziemi; twarz jego siną wykrzywił wyraz bólu. Łańcuchy, przytwierdzone do kółek żelaznych, wpuszczonych w mur komina, więziły go - dwie puste miseczki stały obok na podłodze.

- Umarł - westchnął sędzia śledczy.

- Co tam pan wiesz! - odburknął Lupin.

Przysunął się ostrożnie, wymijając przegniłe belki, i zbliżył się do leżącego ciała, a za nim pan Formerie i pan Weber.

- Oddycha jeszcze - rzekł Lupin, zbadawszy leżącego.

- Tak, serce bije jeszcze, chociaż słabo... - potwierdził pan Formerie.

- Mleka! - zawołał Lupin. - Trochę mleka rozcieńczo-nego wodą. Tylko prędko, a jeszcze zdołamy go odratować.

W dwadzieścia minut później stary Steinweg otworzył oczy.

Lupin, który klęczał przy nim, szepnął powoli, wyraźnie, tak, iżby każdy wyraz wyrył się w świadomości biedaka.

- Słuchaj, panie Steinweg, nie zdradzaj nikomu tajemnicy Piotra Leduc. Ja, Arsen Lupin, odkupuję ją od ciebie za cenę, jaką naznaczysz. Pozwól mi działać.

Sędzia śledczy ujął Lupin pod ramię i zapytał poważnie:

- A pani Formerie?

- Pani Formerie jest wolna. Oczekuje pana z niecierpliwością.

- Jakże to?...

- Ja dobrze wiedziałem, panie sędzio, że pan się zgodzi w końcu na tę małą wyprawę, którą panu zaproponowałem. Odmowa z pańskiej strony była rzeczą niemożliwą...

- A to dlaczego?

- Gdyż pani Formerie nazbyt jest ładna!

ROZDZIAŁ IV PARĘ KARTEK HISTORII NOWOŻYTNEJ

I

Po kwadransie szwedzkiej gimnastyki, którą uprawiał co rano, Lupin zasiadł przed stołem i zaczął z białych ćwiartek numerowanego papieru kleić koperty. Było to zajęcie, które - korzystając z prawa - obrał sobie dobrowolnie.

Nagle zgrzytnęły rygle, klucz przekręcił się w zamku. Wszedł strażnik więzienny.

-Wizyta do pana - oznajmił lakonicznie.

W drodze do rozmównicy Lupin rozmyślał.

-Jeżeli to to, co przypuszczam, to przyznać sobie muszę, że majster ze mnie nie lada. W cztery dni z głębi więzienia postawić tak sprawę na nogi - to przecież niemała sztuka!

Kto odwiedza więźnia za wyraźnym pozwoleniem, podpisanym przez dyrektora pierwszego oddziału w prefekturze policji, wprowadzonym bywa do ciasnych celek, służących za rozmównicę. Te celki, przedzielone przez pół podwójną kratą na odległość pół metra, mają dwoje drzwi, z których każde wychodzą na inny korytarz. Więzień wchodzi jednymi drzwiami, odwiedzający go - drugimi. Nie mogą więc ani dotknąć się, ani rozmawiać cicho, ani niczego sobie podać. Oprócz tego w pewnych przypadkach strażnik obecny jest przy spotkaniu. Tym razem zaszczyt ten przypadł w udziale naczelnemu strażnikowi.

-Któż u licha dostał pozwolenie odwiedzenia mnie! - zawołał Lupin, wchodząc.

Podczas gdy strażnik zamykał drzwi zbliżył się do kraty i ciekawie przyglądał się osobie, która stała w półcieniu za drugą kratą.

- Ach, to pan, panie Stripani! - zawołał z radością. - Jakżeż się cieszę, prawdziwie!

- Tak, to ja, mój drogi książę!

- Tylko proszę bez tytułów, mój drogi panie. Tutaj wyrzekłem się wszystkich tych ziemskich próżności. Nazywaj mnie pan Lupin po prostu.

- Niech i tak będzie, ale ja znałem księcia Sernina; to książę Sernin wyratował mnie z biedy, wrócił mi szczęście i majątek, i pan rozumie, że dla mnie zostanie pan zawsze księciem Serninem.

- Do rzeczy, panie Stripani... do rzeczy! Czas naczelnego strażnika jest drogi i nie mamy prawa nadużywać go. Krótko mówiąc, co pana tu sprowadza?

- Co mnie sprowadza? O mój Boże, to takie proste! Pan jeden masz w ręku wszystkie nici tej ważnej sprawy, która mnie tyczy i możesz odeprzeć nowy cios, który mi grozi. Pan prefekt policji zrozumiał to, gdy mu przedstawiłem...

- Toteż zdziwiłem się, że pana upoważniono...

- Drogi książę, on mi tego odmówić nie mógł. Pańskie wzmieszanie się jest niezbędne dla sprawy, która dotyka tak ważnych interesów, nie tylko moich, ale i osobistości wysoko postawionych, jak panu to wiadomo...

Lupin spod oka zerkał na strażnika. Ten słuchał ciekawie i uważnie, przechylony naprzód, chcąc koniecznie zrozumieć tajemne znaczenie słów zamienianych.

- To znaczy, że...

- To znaczy, że błagam pana, kochany książę, byś przypomniał sobie wszystko, co dotyczy tego dokumentu...

Uderzenie pięścią w szczękę, trochę poniżej ucha... strażnik naczelnny zachwiał się i jak martwy padł w objęcia Lupin.

- No! To poszło, jak po maśle! - uśmiechnął się Lupin. - Słuchaj pan, panie Steinweg, czy masz przy sobie chloroform?

- Czy on naprawdę tylko zemdlał?

- I jak jeszcze! Starczy mu na trzy albo cztery minuty... ale nam to nie wystarczy.

Niemiec wyciągnął z kieszeni rurkę mosiężną, którą wydłużył jak teleskop, a do której końca przytwierdzony był maleńki

flakonik.

Lupin odebrał flakonik, wylał kilka kropel na chustkę pod nos strażnika.

- Doskonale! Teraz mamy spokój! Posiedzę za to tydzień albo dwa tygodnie w ciemnicy, ale to już są przyjemności zawodowe...

- A ja?

- Panu nic nie mogą zrobić. Pan wczoraj najlegalniej w świecie podał prośbę jako Stripani. Dziś rano otrzymał pan pozwolenie. Że to pozwolenie jest sfalszowane czyż pan za to odpowiada? To tylko moich przyjaciół, którzy zredagowali fałszywe pozwolenie, mogłoby niepokoić. Ale szukaj wiatru w polu!...

- A jeżeli nam przeszkodzą?

- Dlaczego?

- Wszyscy tu mieli zdziwione miny, gdy ukazałem pozwolenie na odwiedzenie Lupin. Dyrektor wezwał mnie do siebie i oglądał mnie na wszystkie boki. Ani wątpię, że stąd zatelefonowali do prefektury policji.

- I ja tego jestem pewien. Ale nie trap się, mój stary. Przewidziałem wszystko. Możemy spokojnie rozmawiać. Myślę, że skoro tu przyszedłeś wiesz pan, o co chodzi?

- Tak jest. Przyjaciele pańscy wytłumaczyli mi.

- Zgadzasz się zatem?

- Człowiek, który ocalił mnie od śmierci może mną rozporządzać. Jakąkolwiek przysługę mógłbym mu oddać zawsze jeszcze zostanę jego dłużnikiem.

- Zanim wydasz mi swą tajemnicę zastanów się nad położeniem, w jakim ja się znajduję... uwięziony... bezsilny...

- Nie żartuj pan - roześmiał się Steinweg. - Wydałem tajemnicę mą Kesselbachowi, ponieważ był bogaty i mógł z niej lepiej niż kto inny korzystać; ale choć pan jesteś więźniem i bezsilnym uważam pana za sto razy silniejszego od Kesselbacha z jego stu milionami...

- Jeżeli tak, mówże więc. Po kolei zatem. Najpierw - kto jest mordercą?

- Tego wyjawić nie mogę!

- Jak to? Nie możesz? Skoro wiesz i chcesz odkryć mi wszystko?

- Wszystko, tylko nie to jedno.

- Ależ proszę cię!

- Później!

- Szalony jesteś! Ale dlaczego?

- Nie mam dowodów. Później, gdy pan odzyska wolność, poszukamy razem. A zresztą na co to! Doprawdy, nie mogę!

- Boisz się go?

- Tak, boję się...

- No trudno. Ostatecznie, to jeszcze nie najważniejsze...
Odpowiedz mi więc, jak się nazywa Piotr Leduc?

- Herman IV, wielki książę Dwóch Mostów-Veldeuz, książę na Berncastel, hrabia Fistingen, pan na Wiesbaden etc.

Lupin aż zadrżał z radości, dowiadując się, że pupil jego nie jest ostatecznie synem rzeźnika.

- No! No! - szepnął. - Ładna lista tytułów!... O ile wiem, wielkie księstwo Dwóch Mostów-Veldeuz leży w Prusach.

- Tak, leży nad Mozelą. Ród książąt Veldeuz jest gałęzią rodu książąt Dwóch Mostów. Wielkie księstwo okupowała Francja po pokoju w Luneville. W roku 1814 przywrócono je Hermanowi I, pradziadowi naszego Piotra Leduc. Syn jego, Herman II, miał młodość burzliwą, zrujnował się sam, zrujnował finanse swego państwa i naraził się swoim poddanym tak, że częściowo spalili stary zamek Veldeuz i wygnali pana swego kraju. Wielkim księstwem rządzą odtąd trzej regenci w imieniu Hermana II, który wszelako nie abdykował i zachował tytuł panującego księcia. Żył później skromnie w Berlinie, wziął udział w kampanii przeciwko Francji i przy boku Bismarcka, który go darzył przyjaźnią, zginął ugodzony odłamkiem kartacza podczas oblężenia Paryża. Umierając powierzył opiece Bismarcka syna swojego Hermana III.

- Ojca naszego Piotra Leduc?

- Tak jest. Bismarck polubił bardzo Hermana III i używał go do różnych tajnych misji dyplomatycznych. W dobie upadku swego protektora Herman III porzucił Berlin, podróżował,

wreszcie osiedlił się w Dreźnie. Tam znajdował się w chwili śmierci Bismarcka; sam umarł w dwa lata później. To są fakty ogólnie w całych Niemczech znane.

- A Herman IV?

- Zaraz. Przejdźmy do faktów nieznanych.

- A które pan jeden zna?

- Ja i jeszcze kilka osób.

- Więc tajemnica nie jest dochowana?

- Owszem, owszem, tajemnicy pilnie strzegą ci, którzy ją znają. Nie lękaj się pan, tamci wielce są tym zainteresowani, ażeby jej nie rozprzestrzeniać.

- A skądże pan ją znasz?

- Powierzył mi ją stary służący i poufny sekretarz wielkiego księcia Hermana. Ten służący umierał na moich rękach w Kaplandii; zwierzył mi najpierw, że pan jego potajemnie się ożenił, a potem, że pozostawił syna. Nadto wyjawił mi ową cenną tajemnicę.

- Mówże pan, mów!

Gdy wymawiał te słowa dał się słyszeć zgrzyt klucza w zamku.

II

-Cicho! - szepnął Lupin.

Przycisnął się do ściany tuż przy drzwiach. W chwili, gdy drzwi się otworzyły trzasnął nimi z całej siły, potrącając wchodzącego strażnika. Błyskawicznym ruchem chwycił go za gardło, powalił na ziemię, chustką jego własną zakneblował mu usta, swoją zaś związał mu ręce.

- Leż teraz cicho! - rzekł. - Przysłano cię na pomoc naczelnemu strażnikowi w razie potrzeby... za późno jednak... Widzisz?... Naczelny strażnik nie żyje! Jeżeli się poruszysz, jeżeli wołać będziesz, czeka i ciebie ten sam los!

Wyjął klucze z kieszeni leżącego i klucz wsunął w zamek.

- Teraz mamy spokój - rzekł. - I pan także zatkał zamek ze swej strony; moi przyjaciele dali panu przecież fałszywe klucze?... Tak... teraz dobrze... teraz możemy spokojnie

rozmawiać. Mów pan po niemiecku lepiej...

Steinweg odchrząknął.

- Tegoż wieczora, gdy przyszła wiadomość o śmierci Bismarcka, wielki książę Herman III i wierny jego sługa wyjechali do Monachium, stamtąd ekspresem do Wiednia, z Wiednia do Konstantynopola, potem do Kairu, Petersburga, Warszawy - nigdzie się nie zatrzymując, z dworca na dworzec albo na parowiec - i znowu dalej.

- To znaczy, że - ścigani - starali się zmylić ślad...

- Pewnego wieczora wyszli z Trewiru przebrani za robotników, z węzełkami na plecach. Pieszko przebyli 35 kilometrów do Veldeuz, gdzie znajduje się stary zamek książęcy rodziny Dwóch Mostów, a raczej ruiny zamku.

- Streszczaj się pan!

- Dzień cały kryli się w sąsiednim lesie, w nocy podeszli pod stare obronne mury. Tu Herman kazał czekać służącemu swemu, a sam przekradł się przez szczyrbę, zwaną Wilczą Szczerbą. W godzinę później powrócił. Po tygodniu wędrówek powrócili do Drezna.

- Jakiż był cel tej wyprawy?

- Wielki książę nie powiedział tego służącemu. Jednakże ten odgadł prawdę, a przynajmniej część prawdy, z różnych szczegółów i dalszych faktów. W dwa tygodnie po tej wyprawie zjawił się u wielkiego księcia hrabia Waldemar, oficer gwardii cesarza i jego osobisty przyjaciel, w towarzystwie sześciu ludzi. Bawił cały dzień, zamknięty z księciem w jego gabinecie. Raz po raz dolatywały odgłosy gorącej wymiany słów, gwałtownych sprzeczek. Służący, przechodząc ogrodem pod oknami, posłyszał nawet słowa: „Te papiery zostały panu oddane, Najjaśniejszy Pan wie o tym z pewnością. Jeżeli mi ich książę nie oddasz dobrowolnie”... Ostatecznie cały dom księcia uległ drobiazgowej rewizji.

- I czegoż tam szukano? Czy pamiętników kanclerza?

- Poszukiwano papierów tajemnych i ważnych, o których przez czyjąś niedyskrecję wiedziano, że spoczywały w ręku wielkiego księcia Hermana.

- Potajemne papiery i to bardzo ważne?...

- W najwyższym stopniu. Ogłoszenie tych dokumentów mogłoby mieć nieprzewidziane następstwa - tak pod względem polityki wewnętrznej, jak i pod względem stosunków z zagranicą.

- Czyż to być może? - Lupin pałał cały. - Jakież dowód masz pan na to?

- Jaki dowód? Świadcstwo własnej małżonki księcia; to, co ona powiedziała wiernemu słudze po śmierci męża... A ponadto dokument! Dokument jego własnoręczny, z jego podpisem, a który zawiera spis tajnych papierów, jemu powierzonych.

- Krótko mówiąc?

- Niepodobna. Dokument jest długi, pełen adnotacji, uwag, często niezrozumiałych. Zacytuję panu tylko kilka tytułów: *Oryginały listów następcy tronu do Bismarcka*. Z dat widać, że listy były pisane podczas trzymiesięcznego panowania Fryderyka III. A niech pan sobie przypomni chorobę Fryderyka III, jego zatargi z synem...

- Tak... tak... wiem. A dalej?

- *Fotografie listów Fryderyka III i cesarzowej Wiktorii do królowej Wiktorii angielskiej*.

- I to? I to także?...

- Przy tym adnotacja wielkiego księcia: Tekst traktatu z Anglią i Francją i te niejasne trochę słowa: *Alzacja i Lotaryngia... Kolonie... Ograniczenie sił morskich...*

- Ach, czyż być może!...

Pod drzwiami gwar. Zapukano. Lupin zmarszczył się.

- Nie można! Jestem zajęty!

Zapukano do drugich drzwi.

- Trochę cierpliwości! Skończę za pięć minut!

Zwrócił się do starca tonem nakazującym.

- Bądź pan spokojny i mów dalej... Otóż wielki książę w zamku Veldeuz ukrył papiery. Czy stamtąd ich nie wydostał?

- Nie, gdyż aż do dnia śmierci nie opuścił Drezna.

- Ale nieprzyjaciele jego?

- Skoro się tylko o wszystkim dowiedziałem udałem się na

miejsce i zasięgnąłem języka w pobliskich wioskach. Otóż dowiedziałem się, że dwa razy od tego czasu przetrząsało cały zamek dwunastu ludzi przybyłych z Berlina, za pozwoleniem regentów.

- No i?...

- I nic nie znaleźli, czego dowodem, że od tego czasu nie wolno zwiedzać zamku. Pięćdziesięciu żołnierzy z osobistej gwardii cesarskiej dniem i nocą stoi tam garnizonem.

Głosy podnosiły się z korytarza i znowu zaczęto pukać, wołając starszego strażnika.

- Śpi, panie dyrektorze - odpowiedział Lupin.

- Proszę otworzyć!

- Nie mogę, zamek zepsuty. Jeżeli mi wolno radzić, niech pan każe zamek wyciąć!...

Zwrócił się do starca.

- A więc nie mogłeś pan dostać się do zamku?

- Nie. Ale pewien jestem, że te papiery tam są przechowywane.

- Bez wątpienia... bez wątpienia...

Lupin zamyślił się. Co za cudowna zdobycz, o którą warto się kusić! Kufry pełne klejnotów i złota nie nęciły go więcej...

Za drzwiami majstrowano coś przy zamku.

- Na co umarł wielki książę? - zapytał Lupin.

- Umarł na zapalenie płuc, chorował tylko dni parę. Zaledwie na krótko odzyskiwał przytomność i okropnie było patrzeć, jak się silił zebrać myśli i mówić w chwilach przy-tomności. Od czasu do czasu przyzywał żonę, patrzył na nią wzrokiem pełnym rozpacz i próżno wargami poruszał.

- Czy ostatecznie przemówił?

- Nie, nie przemówił. Ale w jaśniejszej chwili i z całym wysiłkiem skreślił znaki jakies na kartce papieru, którą mu żona podała.

- I jakież to były znaki?

- Nieczytelne po większej części. Na początku trzy cyfry zupełnie wyraźne

- 8, 1, 3. A potem następowały litery, z których wyraźne były tylko trzy pierwsze i dalej znowu dwie.

- *Apoon*, nieprawdaż?

- Ach! Pan wie...

Zamek w drzwiach zaczynał się chwiać, gdyż prawie wszystkie śrubki wykręcono. Lupin obu rękoma rzucił się przytrzymać zamek, ażeby nie wyleciał.

- Więc te cyfry i te litery to była formuła, którą wielki książę przekazywał żonie i synowi dla odnalezienia ukrytych dokumentów?

- Tak.

- A cóż się stało z żoną wielkiego księcia?

- Umarła niedługo potem; mówią, że ze zmartwienia.

- A dziecko przygarnęła rodzina?

- Jaka tam rodzina! Wielki książę nie miał ani braci, ani siostr. A zresztą ożeniony był potajemnie i tylko morganatycznie. Dziecko zabrał stary sługa Hermana i wychował je pod imieniem Piotra Leduc. Był to chłopak o trudnym charakterze, krnąbrny, kapryśny, niemiły w pożyciu. Pewnego dnia uciekł. Już go później nie widziano.

- Czy on znał tajemnicę swego urodzenia?

- Tak jest. Pokazano mu kartkę papieru, na której ojciec jego, Herman, nakreślił owe cyfry i owe litery.

- I oprócz niego panu jednemu zwierzono tę tajemnicę.

- Mnie tylko.

- A pan wyjawiał ją tylko panu Kesselbach?

- Jemu jednemu. Przez ostrożność jednak, chociaż mu pokazałem kartkę ze znakami i literami oraz spis, o którym panu mówiłem, zachowałem przy sobie oba te dokumenty. I jak się pokazało, miałem słuszność.

- I dokumenty te masz pan bezpiecznie schowane?

- Mam.

- W Paryżu?

- Nie.

- Tym lepiej. Pamiętaj pan, że cię ścigają i że życiu twojemu grozi niebezpieczeństwo.

- Wiem o tym. Jeden fałszywy krok, a zginę.

- Toteż bądźże pan zatem ostrożny, zmyl ślad, zabierz swoje papiery i czekaj moich wskazówek. Od dziś za miesiąc najdalej

pojedziemy razem przeszukać zamek Veldeuz.

- A jeśli ja się dostanę do więzienia?

- Ja pana stamtąd wyciągnę.

- Czyż podobna?...

- Nazajutrz po moim własnym uwolnieniu. Nie, myślę się - tegoż samego wieczora... w godzinę potem.

- A więc pan ma sposób na to?

- Od dziesięciu minut i to niezawodny. Czy nic mi pan więcej nie masz do powiedzenia?

- Już więcej nic...

- A więc otwieram...

Pociągnął za drzwi i skłonił się przed dyrektorem.

- Panie dyrektorze, nie wiem, jak mam pana przeprosić...

Nie dokończył. Wtargnął dyrektor więzienia na czele trzech pomocników. Na widok dwóch strażników, rozciągniętych na podłodze, dyrektor oniemiał z gniewu i przerażenia.

- Nie, panie dyrektorze, oni nie zabić! - roześmiał się Lupin.

- O, ten się rusza... a tamten śpi smacznie...

Dyrektor surowo zwrócił się do strażników.

- Odprowadzić go do jego celi... tymczasem. A co do tego odwiedzającego...

Lupin nie dowiedział się nic więcej o zamiarach dyrektora więzienia co do starego Steinwega. Lecz czyż mu na tym zależało? Miał przecież w ręku tajemnicę Kesselbacha!

Jakoś nieznaczono Lupin kary ciemnicy. Widocznie władze więzienne z obawy przed rozgłośnym skandalem wołały dyskretnie zatuzować sprawę...

ROZDZIAŁ V WIELKA KOMBINACJA

I

Wszyscy pamiętają wrażenie, jakie w szerokich kołach czytelników i w sferach politykujących wywarła zagadkowa notatka, jaka się w kilka dni później ukazała w dzienniku *Grand Journal*:

Poza pamiętnikami Bismarcka, które - zdaniem ludzi dobrze poinformowanych - zawierają tylko oficjalną historię wypadków, w których wielki kanclerz brał udział, istnieje seria listów poufnych, w najwyższym stopniu interesujących.

Listy te odnaleziono. Wiemy z dobrego źródła, że ogłoszone zostaną niezwłocznie.

Komentarzom nie było końca. Prasa niemiecka polemizowała. Kto inspirował tę notatkę? O jakich listach była mowa? Czy to zemsta pośmiertna wrogów? Czy niedyskrecja przyjaciela?

Drugi komunikat objaśnił do pewnego stopnia opinię, ale i podniecił ją dziwnie. Komunikat ten brzmiał:

Z więzienia Santé, cela 14, oddział 2.

Panie Redaktorze!

Umieściłeś pan we wtorkowym numerze wzmiankę, która jakkolwiek zawiera prawdę w zasadzie, domaga się jednak małego sprostowania.

Listy te istnieją w istocie i nikt nie może zaprzeczyć wielkiej ich wagi, ponieważ od dziesięciu lat są przedmiotem poszukiwań zainteresowanego tym rządu.

Nikt jednakże nie wie, gdzie one są, ani co zawierają.

Pewien jestem, że publiczność nie weźmie mi za złe, jeżeli

poproszę ją o trochę cierpliwości, zanim ciekawość jej zaspokoję. Obecnie moje zajęcia nie pozwalają mi oddać się tej sprawie tak zupełnie, jak bym tego pragnął.

Tyle na razie powiedzieć mogę, że listy te umierający wręczył jednemu z najwierniejszych swoich przyjaciół i że ten przyjaciel musiał wskutek tego ponosić ciężkie następstwa swego poświęcenia. Nie oszczędzono mu ani szpiegowania, ani rewizji domo-wych.

Dwu najlepszym agentom mojej tajnej policji nakazałem podjąć ten ślad od początku i nie wątpię, że za parę dni zdołam przeniknąć tę nader ciekawą tajemnicę.

Podpisano: Arsen Lupin

W trzy dni potem czytano w tym samym piśmie:

Wyjawiono mi imię wiernego przyjaciela, o którym poprzednio wspominałem. Był nim wielki książę Herman III, panujący (choć pozbawiony tronu) w Wielkim Księstwie Dwóch Mostów- Veldeuz, a powiernik i przyjaciel Bismarcka.

Rewizję domową przeprowadził u niego hrabia W. przy pomocy dwunastu ludzi. Rewizja dała rezultat ujemny, wszelako była dowodem, że w posiadaniu w. księcia były te papiery.

Gdzie on je ukrył? Oto pytanie, którego w danej chwili nikt chyba rozwiązać nie zdoła.

Ja podejmuję się rozwiązać je do jutra.

Podpisano: Arsen Lupin

I rzeczywiście nazajutrz ukazała się obiecana notatka:

Owe słynne listy ukryte są w feudalnym zamku Veldeuz, stolicy w. księstwa Dwóch Mostów, w zamku częściowo zburzonym w biegu XIX stulecia.

W którym miejscu dokładnie? I co to są za listy? Te dwa zagadnienia staram się obecnie rozwiązać, a rozwiązanie podam za dni cztery.

Podpisano: Arsen Lupin

W dniu oznaczonym wrywano sobie pismo *Grand Journal*. Zawód był wielki, gdyż zapowiedzianego wyjaśnienia nie znaleziono. Ani nazajutrz, ani dnia następnego.

Cóż się to stało?

Dowiedziano się niebawem, wskutek niedyskrecji popełnionej przez kogoś w prefekturze policji. Dyrektor więzienia otrzymał ostrzeżenie, że Lupin komunikuje się z współnikami za pomocą paczek z kopertami, które w więzieniu kleił. Nie udało się wprawdzie nic odkryć, ale na wszelki wypadek zabroniono nieznośnemu więźniowi wszelkiej roboty.

Na to niepoprawny więzień miał podobno odpowiedzieć:

- Ha, trudno! Skoro nie mam nic do roboty zajmę się swoim procesem. Chciałbym się widzieć z adwokatem moim, panem Quimbel.

I w istocie, Lupin, który dotychczas nie chciał rozmawiać z panem Quimbel, zgodził się przyjąć go i przygotowywać swoją obronę.

II

Zaraz nazajutrz pan Quimbel zażądał widzieć się z Lupin w rozmównicy adwokatów.

Był to człowiek starszy, w grubych okularach. Położył kapelusz na stole, rozłożył tekę i zaraz też zaczął stawiać szereg pytań, od dawna starannie przygotowanych.

Lupin odpowiadał niezmiernie uprzejmie, sypał obfitością szczegółów, a pan Quimbel notował wszystko skwapliwie.

- Twierdzi pan tedy - powtarzał adwokat, chyląc głowę nad papierami - że równocześnie...

- Tak jest, mówię, że równocześnie... - odpowiadał Lupin.

Nieznacznie, ruchem zupełnie naturalnym, wsparł się obu łokciami na stole.

Powoli opuścił łokcie, wsunął rękę pod kapelusz pana Quimbel, zapuścił palce między skórę a podszycie kapelusza i pochwycił zwitek papieru, ułożonego wzdłuż, jak zakłada się,

gdy kapelusz jest nazbyt obszerny.

Ostrożnie rozwinął papier. Na papierze, umówionymi znakami, nakreślił Dondeville:

Przyjąłem miejsce służącego pana Quimbel. Może pan bez obawy odpowiadać tą samą drogą.

To L.M., morderca, zadenuncjował, że korespondowaliśmy przy pomocy kopert. Na szczęście przewidział pan ten obrót rzeczy!

Następowało szczegółowe sprawozdanie ze wszystkich faktów i komentarzy, wywołanych komunikatami Lupin.

Lupin wyciągnął z kieszeni podobny zwitek papieru, zawierający różne instrukcje i wskazania, i ostrożnie założył go w miejscu usuniętego.

I tym sposobem bez zwłoki zaczęła się znów korespondencja Lupin z dziennikiem *Grand Journal*.

Niech mi publiczność daruje, że nie dotrzymałem słowa. Poczta w więzieniu źle jest zorganizowana.

Zresztą dochodzimy do końca. Mam w ręku wszystkie dokumenty. Poczekam z ich ogłoszeniem. Podaję jednak do wiadomości, że pomiędzy listami są też i listy pisane do kanclerza przez tego, który uważał się wtedy za ucznia jego i wielbiciela, a który w kilka lat później pozbył się tego niewygodnego mu opiekuna i rządził sam...

Sądzę, że wypowiadam się zrozumiale.

Nazajutrz pojawiła się nowa wzmianka:

Listy te pisane były podczas choroby ostatniego cesarza. Czy to nie świadczy o tym, jak bardzo są ważne?

W cztery dni później drukowano tę sensacyjną notatkę:

Ankieta moja skończona. Teraz już rozumiem wszystko. Natężeniem myśli odgadłem tajemniczą kryjówkę.

Moi przyjaciele udadzą się do Veldeuz i pomimo wszelkich przeszkód dostaną się do zamku wejściem, które im wskażę.

A wtedy dzienniki ogłoszą fotografie tych listów, których treść ja już znam, ale które chcę ogłosić w ich oryginalnym brzmieniu.

To ogłoszenie, które zapowiadam nieodwołalnie, nastąpi za dwa tygodnie od dziś, a więc dnia 22-go sierpnia.

Aż dotąd milczeć będę i będę czekał.

Komunikaty do dziennika *Grand Journal* ustały w istocie, ale Lupin nie zaprzestał korespondencji z współnikami swymi przy pomocy „kapelusza”. Takie to było proste! Bez żadnego niebezpieczeństwa. Któż by mógł przeczuć, że kapelusz adwokata służył Lupin za skrzynkę do listów?

Pewnego dnia jednakże dyrektor więzienia otrzymał telegram z poczty miejskiej, podpisany L.M., a ostrzegający go, że prawdopodobnie pan Quimbel musi służyć Lupin za mimowiednego listonosza i że dobrze by było zwrócić na to uwagę.

Dyrektor przestrzegł pana Quimbel i ten odtąd postanowił zabierać zawsze ze sobą swego sekretarza.

Znowu więc Lupin - mimo płodnej jego pomysłowości i cudów zręczności, które po każdej porażce ponawiał - odgrodził od świata zewnętrznego piekielny geniusz groźnego jego przeciwnika.

A odgrodzonym od świata ujrzał się w najkrytyczniejszej chwili, w uroczystym momencie, gdy z głębi więzienia wygrywał ostatni swój atut w grze ze sprzysiężonymi przeciw sobie mocami.

W dniu 13 sierpnia siedzącemu naprzeciw obu adwokatów nasunął się na oczy dziennik, w który niektóre papiery pana Quimbel były owinięte.

Uderzył go tytuł, drukowany tłustym drukiem: 813.

Poniżej czytał: Nowe morderstwo. Poruszenie w Niemczech. Czyżby tajemnica Apoon była odkrytą?

Lupin pobladł, zdjęty lękiem. Przeczytał te dalsze słowa:

Dwie sensacyjne depesze dochodzą nas w ostatniej chwili.

Odnaleziono w pobliżu Augsburga trupa starca, zamordowanego nożem. Tożsamość jego ustalono. Jest to Steinweg, znany ze sprawy Kesselbacha.

Skądinąd telegrafują nam, że sławny detektyw angielski Sherlock Holmes został nagłaco wezwany do Kolonii. Spotka się tam z cesarzem i stamtąd udadzą się obaj do zamku Veldeuz.

Sherlock Holmes obiecał podobno odkryć tajemnicę Apoon 'u.

Jeżeli mu się powiedzie marnie chybi celu niezrozumiała kampania, którą w tak dziwny sposób prowadzi od miesiąca Arsen Lupin.

III

Publiczność pałała zaciekawieniem, jaki też będzie wynik tego szczególniejszego pojedynku pomiędzy Holmesem a Lupin.

W czterech ścianach swojej celi więzień przechodził męki - nie tylko męki bolesnej ciekawości, ale szarpiącego niepokoju i trwogi.

Czuł się sam, czuł się bezsilny. Na nic teraz zręczność, pomysłowość, odwaga. Walka toczyła się poza nim. Przygotował wszystko, nakręcił wszystkie sprężyny maszynierii, a teraz do dnia oznaczonego musiał czekać na wątpliwy wynik swych zabiegów... A nuż chybią, nuż przewidziane czynniki i przeszkody obalą gmach, tak sztucznie budowany?

I nachodziła go straszna wątpliwość, czy zamiast oczekiwanego triumfu nie czyha nań okropna doła zesłańca.

Nadszedł 17 sierpnia... potem 18... 19... Jeszcze dwa dni, wieki raczej...

Nadszedł 21, ostatni dzień...

Lupin obudził się późno, po nocy pełnej złych snów.

Nie widział się z nikim dnia tego; nie wezwano go do nikogo: ani do sędziego śledczego, ani do adwokata.

Godziny popołudniowe zeszyły powolne i posępne, i nadszedł wieczór, mroczny wieczór więziennej celi.

Lupin czuł, że ma gorączkę. Serce w piersiach biło mu młotem. A czas upływał...

Dziewiąta wybiła. Nic. Dziesiąta. Cisza...

Lupin poczuł, że ogarnia go rozpacz i wściekłość. Pięścią bił się po głowie, półprzytomne słowa, jak w malignie, błąkały mu się po ustach.

Nagle zgrzytnął klucz w zamku. W wybuchu rozpaczony nie dosłyszał odgłosu kroków na korytarzu i oto nagle smuga światła przeniknęła do celi i otworzyły się drzwi.

W drzwiach stało dwóch ludzi.

- Czy mam zaświecić elektryczne światło? - zapytał jeden z nich, w którym Lupin poznał dyrektora więzienia.

- Nie - odpowiedział obcy. - Ta latarnia wystarczy.

- Czy mam wyjść?

- Niech pan czyni wedle obowiązujących przepisów.

- Wedle instrukcji, danych mi przez pana prefekta, mam się zastosować do wyrażonych mi życzeń.

- Jeżeli tak, to wolę, żebyś nas pan opuścił.

Dyrektor wyszedł, zostawiwszy drzwi nie domknięte i został na korytarzu na odległość głosu.

Lupin w półcieniu dostrzegł przed sobą sylwetkę wysokiego mężczyzny w obszernym płaszczu automobilowym, w czapce z opuszczonymi brzegami.

- Jestem księżę Waldemar, wysłannik i pełnomocnik monarchy - przemówił obcy, odchylając na chwilę brzegi czapki i odsłaniając dobrze znaną twarz powiernika i przyjaciela cesarza.

Lupin skłonił się nisko.

- Jutro mamy 22 sierpnia. Jutro listy mają być ogłoszone, prawda? - zapytał gość.

- Jeszcze dzisiejszej nocy. Za dwie godziny przyjaciele moi mają złożyć w redakcji *Grand Journal* nie listy wprawdzie jeszcze, ale dokładny spis tych listów, podany przez wielkiego księcia Hermana.

- Ten spis ogłoszonym nie będzie. Odda mnie go pan, jak również same listy.

Gość mówił spokojnie, konstatował fakt, nie prosił. Znać było, że kto tak mówi, ten pisze się na wszystkie warunki.

Lupin przytwierdzał milczeniem.

- Pan sam czytałeś te listy?

- Nie.

- Lecz ktoś z pańskich ludzi?

- Także nie.

- Co to znaczy?

- Znaczy, że posiadam spis i adnotacje wielkiego księcia. Zresztą znam skrytkę, gdzie ukrył wszystkie te papiery.

- A dlaczego nie wydostałeś ich pan dotąd?

- Tajemnicę skrytki poznałem dopiero od czasu, gdy tu jestem. W danej chwili wyprawili się tam moi przyjaciele.

- Zamek jest pod strażą; dwustu naszych ludzi go pilnuje.

- Pomimo to...

Gość zamyślił się.

- Przez cztery dni zamek przetrząsaliśmy w każdym zakątku.

- Sherlock Holmes źle szukał. Ja odnajdę je na pewno.

- Tym lepiej, tym lepiej - szepnął do siebie gość. - Nie będzie spokoju, dopóki istnieć będą te listy!

I nagle, stając wprost przed Lupin, zapytał:

- Ile pan żądasz?

- Jak to?

- Ile za te papiery? Ile za wyjawienie tajemnicy? Pięćdziesiąt tysięcy?... Sto tysięcy?

A że Lupin nie odpowiadał dodał z pewnym wahaniem:

- Czy więcej? Może dwieście tysięcy? Dobrze. Przyjmuję.

Lupin uśmiechnął się i rzekł cichym głosem:

- Cyfra jest ładna. Ale czyż nie należy przypuszczać, że jakiś monarcha, np. król angielski, gotów dać więcej za nie... chociażby milion?...

- Bardzo być może.

- I że te listy są dla cesarza ponad wszelką cenę? Że warte są równie dobrze dwa miliony, jak dwieście tysięcy franków... równie dobrze trzy miliony, jak dwa?...

- Nie przeczę.

- I że, gdyby tego było potrzeba, cesarz zapłaciłby te trzy miliony?

- Zapewne.

- A więc o porozumienie nietrudno.

-Na tej podstawie? - zawołał gość trochę niespokojnie.

Lupin uśmiechnął się znowu.

- Nie. Nie na tej podstawie. Nie szukam pieniędzy. Pragnę dla siebie czegoś cenniejszego od pieniędzy.

- I czegoż to mianowicie?

-Wolności.

Obcy drgnął.

-Co! Wolności dla pana? Ależ ja tu nic nie mogę... Tu my nie mamy władzy...

Lupin przystąpił bliżej i rzekł jeszcze ciszej:

- Ma książę wszelką możliwość... Wystarczy, by książę, imieniem swego pana, wstawił się u pana Valenglay, prezydenta ministrów.

- Ależ to należy do ministerstwa sprawiedliwości. To byłby skandal. Pan Valenglay nie może...

- Bardzo dobrze, owszem, może otworzyć mi drzwi więzienia. Jeżeli mówię drzwi „otworzyć” mam na myśli drzwi „uchylić”. Można urządzić symulację ucieczki... publiczność tak się tego spodziewa, że nie wglądałaby bliżej.

- Być może... ale pan Valenglay nie zechce...

- Dlaczego? Sam zmysł dyplomatyczny każe mu przysłużyć się cesarzowi tak drobną rzeczą. A Valenglay to dobry polityk.

Książę zamyślił się.

- Poza tym innych warunków nie stawiasz pan?

- Owszem... jeszcze jeden.

- A mianowicie?

- Odnalazłem syna księcia Dwóch Mostów-Veldeuz. Żądam, by mu przywrócono prawa.

- I co jeszcze?

- On kocha młodą dziewczynę, która go kocha wzajemnie, najpiękniejszą i najcnotliwszą z kobiet. Niech mu będzie dozwolone pojąć ją za żonę.

- I jeszcze co więcej?

- Więcej nic. Jeżeli książę imieniem swego monarchy przyjmuje moje warunki proszę oddać redaktorowi *Grand Journal* ten list, gdzie go proszę, by nie czytając zniszczył artykuł, który lada chwila doręczony mu będzie.

Lupin ze ściśniętym sercem, drżącą ręką podał list. Jeżeli hrabia go przyjmie, będzie to znak zgody...

Hrabia zawahał się, a potem porywczym gestem wziął list, nasunął czapkę, otulił się w płaszcz i wyszedł, nie mówiąc słowa.

Lupin zachwiał się jak pijany i nagle z radosnym śmiechem padł na krzesło.

ROZDZIAŁ VI HRABIA WALDEMAR

- Panie sędzio śledczy, a więc dzisiaj z żalem mam honor pana pożegnać!

- Jak to, panie Lupin, pan masz zamiar nas opuścić?

- Bardzo niechętnie, panie sędzio śledczy, gdyż stosunki nasze były przecież tak serdeczne! Ale każda przyjemność się kończy. Skończyłem moją kurację. Inne obowiązki mnie wzywają. Muszę uciekać tej nocy.

- Szczęść Boże, panie Lupin!

- Dziękuję, panie sędzio!

Arsen Lupin czekał cierpliwie chwili swojej „ucieczki”, ciekaw, jak się to odbędzie bez nazbyt wielkiego skandalu.

W ciągu popołudnia dozorca polecił mu udać się na podwórzec wchodowy. Poszedł tam żwawo i zastał dyrektora więzienia; ten wydał go w ręce pana Webera, tenże zaś pan Weber kazał mu wsiąść do automobilu, w którym już ktoś siedział. Był to sam prefekt policji.

Automobil sunął szybko wzdłuż Sekwany. W Saint Cloud przejechano na drugą stronę rzeki.

- Doskonale! - pomyślał Lupin. - Jedziemy do Garches! Niby to muszą dostawić mnie na miejsce zbrodni, by zbadać okoliczności morderstwa Altenheima. Zejdziemy do suterren, ja zniknę i będzie powiedziane, że umknąłem innym wyjściem, którego nikt nie znał, prócz mnie! No, mogli się przecież zdobyć na oryginalniejszy pomysł!

Program był istotnie taki, jak to Lupin przewidział. Przez „Zacisze” dotarto do pawilonu Hortensji. Lupin i dwaj jego towarzysze zeszlizli na dół i przeszli wzdłuż cały podziemny ganek. Gdy doszli do końca pan Weber przemówił:

- Jesteś pan wolny!

- Ślicznie dziękuję, drogi panie Weber, i bardzo przepraszam za cały ambaras. Moje uszanowanie, panie prefekcie!

Wyszedł na schodki prowadzące do willi pod Glicyniami, podniósł klapę i wskoczył do izby.

Czyjaś ręka chwyciła go za ramię.

Przed nim stał gość jego wczorajszy, w towarzystwie czterech ludzi.

- Jakże to? Co znaczy ten żart? - zdziwił się Lupin. - Czyż to ja nie jestem wolny?

- Owszem, owszem - mruknął Niemiec - jesteś pan wolny; wolno panu podróżować z nami, jeżeli pan łaskaw!

Lupin szybkim spojrzeniem obrzucił obecnych i mało zachęcające ich twarze.

- Jeżelim łaskaw! - roześmiał się. - Ależ to moje marzenie!

Na podwórzu czekał automobil silnej budowy. Wsiedli weń wszyscy.

- W drogę! - zawołał Lupin po niemiecku. - W drogę do Veldeuz.

- Cicho! Ci ludzie nie powinni nic wiedzieć! - ostrzegł go hrabia. - Mów pan po francusku. Nie rozumieją, a zresztą po co rozmawiać?

Bez przerwy i bez wypadku jechali wieczór cały i całą noc. Zatrzymywali się tylko raz po raz dla zasilenia motoru benzyną. Gdy już się znajdowali poza Metzem i skręcali w kierunku Trewiru spostrzegli dążący za nimi rozpędzony automobil. Hrabia Waldemar zerwał się i wychylił głowę.

-Na prawo! Zwolnij!... Niech nas miną! - zawołał do szofera.

W tej chwili automobil za nimi zdwoił jeszcze szybkość i minął ich jak wichur, wznosząc tuman pyłu. W tyle rozróżnić było można postać stojącego mężczyzny. Ubrany był na czarno. Wzniósł rękę. Huknęły dwa strzały.

Hrabia, który wychylił się ku lewej stronie, zachwiał się i opadł w głąb powozu.

Rana nie była poważna. Opatrzono ją naprędce. Ranny jednak, rozdrażniony, dostał gorączki i zaczął majaczyć. Była ósma rano. Stali w szczerym polu, z dala od mieszkań ludzkich. Ludzie byli bezradni, gdyż nie znali dokładnie celu wyprawy.

Dokąd jechać? Kogo uprzedzić?

Ustawili automobil pod lasem i czekali.

W ten sposób zszedł cały dzień. Wieczorem dopiero nadszedł oddział kawalerii, wysłany z Trewiru na poszukiwania automobilu.

W dwie godziny później Lupin wysiadał i, wciąż pod strażą dwóch Niemców, wchodził po schodach do małego pokoiku o zakratowanych oknach.

Tam spędził noc.

Nazajutrz rano oficer gwardii przeprowadził go przez podwórze wypełnione żołnierzami do środkowego budynku wśród całego szeregu budowli okrążających wzgórek, na szczycie którego rozsiadła się ruina starego zamczyska.

Wprowadzono go do obszernej izby, naprędce umeblowanej. Przed biurkiem przeglądał dzienniki, nakreślając coś na nich czerwonym ołówkiem, sam monarcha.

- Proszę odejść - zwrócił się do oficera.

I przystąpił do Lupin.

- Gdzie papiery? - Ton jego był suchy, rozkazujący, wzgardliwy. - Gdzie papiery? - powtórzył.

- Są w zamku Veldeuz - odpowiedział Lupin, nie tracąc zimnej krwi, spokojnie.

- Jesteśmy w dolnych zabudowaniach zamku. Tam są ruiny.

- Papiery przechowane są w tych ruinach.

- Pójdziemy tam. Zaprowadź mnie.

- Najjaśniejszy Panie - odpowiedział Lupin - to nie jest tak proste, jakby się zdawało. Trzeba trochę czasu, by wprowadzić w grę czynniki potrzebne do otworzenia skrytki.

- Ileż godzin panu na to trzeba?

- Dwudziestu czterech.

- To w naszej umowie nie było zastrzeżone! - zachnął się gniewnie panujący.

- Szczegóły nie były omówione, Najjaśniejszy Panie!... Ani to, ani ta przejażdżka, którą Jego Cesarska Mość nakazał mi odbyć pod strażą sześciu gwardzistów. Gdyby nie to papiery byłyby

już w posiadaniu Waszej Cesarskiej Mości. Straciliśmy bowiem cały jeden dzień przez to jedynie... A wszystko dlatego, że Najjaśniejszy pan nie raczył mi zaufać i nie pozwolił działać z wolnej stopy!

Monarcha ze zdziwieniem spojrział na tego wyrzutka społeczeństwa, na tego bandytę, który czuł się urażony brakiem okazanego sobie zaufania. Nie odpowiedział, zadzwonił tylko.

- Poprosić oficera służbowego - rozkazał.

Wszedł hrabia Waldemar, bardzo blady.

- To ty, Waldemarze! Dobrze się już czujesz?

- Dziękuję. Oto jestem na rozkazy.

- Weź ze sobą pięciu ludzi. Aż do jutra rana nie opuszczaj... tego pana ani na krok.

Spojrzał na zegarek.

- Aż do jutra rana do dziesiątej... nie, niech będzie aż do południa. Pójdiesz z nim, dokądkolwiek będzie chciał, zrobisz, co ci poleci zrobić. Jednym słowem, niech on tobą rozporządza. Jeżeli do dwunastej nie wręczy mi paczki listów wsadzisz go do twego samochodu i nie tracąc czasu odwieziesz go wprost do więzienia Santé.

I wyszedł.

ROZDZIAŁ VII LISTY

I

Ruiny zamku Veldeuz - dobrze znane tym wszystkim, którzy zwiedzają brzegi Renu i Mozeli - obejmują szczątki starego zamku feudalnego, zbudowanego w XIII wieku, i obok olbrzymiej wieży nietknięte mury pałacu z czasów Odrodzenia, który wielcy książęta Dwóch Mostów zamieszkiwali od trzech wieków.

Ten to pałac zniszczyli zbuntowani poddani Hermana II. Z czterech fasad ziele pustką dwieście okien. Wszystkie boazerie, obicia i większość mebli spalono. Zwiedzający chodzi po zwęglonych belkach parkietów, a niebo zagląda wskroś podziurawionych sufitów.

Po dwóch godzinach Lupin wraz ze swoją eskortą zdążył obejść wszystko.

Choć nadrabiał miną w gruncie rzeczy wiedział teraz tyle, co i w pierwszej chwili. W więzieniu, chcąc podzielać na wyobraźnię swojego gościa, blagował, udawał, że wie wszystko, a właściwie szukał dopiero, od czego tu zacząć szukać.

- Źle - myślał chwilami - źle, coraz gorzej!

Zresztą brak mu było zwykłej jasności umysłu. Prześladowała go myśl o tym nieznanym, o tym mordercy, o potworze, który szedł za nim trop w trop...

Jakim sposobem tajemnicza ta osobistość mogła iść jego śladem? Jakim sposobem dowiedziała się o jego wyjściu z więzienia i o szlakach jego drogi? Czy to była cudowna intuicja, czy też rezultat ścisłych informacji? A jeśli tak - za jaką cenę, jakimi obietnicami czy groźbą mógł on je otrzymać.

Wszystkie te pytania pokutowały w głowie Lupin.

Około czwartej jednak - odbywszy ponowny spacer po ruinach, w czasie którego daremnie badał kamienie, mierzył grubość murów, oglądał kształt i powierzchnie przedmiotów -

zapytał hrabiego:

- Czy nie został przy życiu żaden stary sługa ostatniego wielkiego księcia, który mieszkał w tym pałacu?

- Cała ówczesna służba rozproszyła się po świecie. Jeden tylko pozostał w tych stronach, ale ten umarł dwa lata temu.

- Bezdziennie?

- Miał syna, który się ożenił i został wygnany wraz z żoną z powodu złego prowadzenia się. Ci pozostawili tu najmłodsze ze swoich dzieci, córeczkę imieniem Izilda.

- Gdzie ona mieszka?

- Tu mieszka, na końcu zabudowań dworskich. Stary dziadek służył gościom zwiedzającym za przewodnika w czasach, gdy wolno było zwiedzać zamek. Odtąd mała Izilda mieszka stale w tych ruinach, gdzie ją się przez litość znosi: to biedne stworzenie niespełna rozumu, które ledwie mówić umie, a sama nie wie, co mówi.

- Czy zawsze takim był jej stan?

- Zdaje się, że nie zawsze. Doszedłszy do lat dziesięciu z wolna dostała pomieszania zmysłów.

- Może wskutek zmartwienia albo przestradchu?

- Nie, mówiono mi, że bez powodu. Ojciec był alkoholikiem, a matka odebrała sobie życie w przystępie obłądzenia.

- Chciałbym ją widzieć - oświadczył Lupin.

Hrabia uśmiechnął się dość dziwnie.

- Naturalnie, może ją pan zobaczyć.

Znajdowała się właśnie w jednej z izb, które jej oddano.

Lupin zadziwił się ujrawszy drobne, miłutkie stworzonko, bardzo szczupłe, bardzo blade, ale prawie ładne z blond włosami i delikatną twarzyczką. Oczy jej zielone, koloru morskiej wody, miały wyraz mglisty, marzący, jak oczy niewidomej.

Zadał jej kilka pytań, na które Izilda nie odpowiedziała wcale i jeszcze kilka, na które odpowiedziała zdaniami bez związku.

Nalegał, ująwszy rękę jej bardzo łagodnie, rozpytywał przyjacielskim głosem o dziadka i o ten okres, gdy jeszcze była przy pełnym rozumie; to czyniąc usiłował obudzić w niej wspomnienia dzieciństwa, wspomnienia dziecka, swobodnie

bujającego wśród majestatycznych ruin zamczyska.

Ona jednak milczała utkwivszy oczy w przestrzeń, obojętna, może wzruszona... ale wzruszenie nawet nie mogło uspionej duszy obudzić.

Lupin poprosił o papier i ołówek. Na białej kartce wypisał ołówkiem: *813*.

Hrabia znowu się uśmiechnął.

- I z czego się hrabia śmieje! - zawołał Lupin podrażniony.

- Nic... nic... to mnie zajmuje... to bardzo mnie zajmuje...

Dziewczyna popatrzyła na podsunętą sobie kartkę i z wyrazem roztargnienia odwróciła głowę.

-Jakoś to nie idzie - uśmiechnął się hrabia.

Lupin wypisał wyraz *Apoon*.

Z tą samą nieuwagą odniosła się Izilda do tego.

Nie zniechęcił się jednak i kilkakrotnie nakreślił te same litery, pozostawiając za każdym razem pomiędzy literami rozmaite przerwy. I za każdym też razem obserwował twarz młodej dziewczyny.

Nie drgnęła nawet, utkwivszy oczy w papier z obojętnością niczym nie zmagającą.

Lecz nagle schwyciła ołówek, wyrwała ostatnią kartkę z rąk Lupin i jak gdyby pod wpływem nagłego natchnienia wpisała dwa *l* w odstęp między literami.

Lupin zadrżał.

Oto był wyraz skończony: *Apollon*.

Izilda jednak nie puściła z rąk ołówka ani kartki i z zaciśniętymi palcami, ze skupioną twarzą starała się poddać rękę swą pod chwiejne rozkazy niedołęznego swego mózgu.

Lupin zawisł w gorączkowym oczekiwaniu.

Nakreśliła szybko, jakby pod wpływem halucynacji, jeden wyraz - wyraz *Diana*.

-Jeszcze... jeszcze! Dalej! Dalej! - wołał gwałtownie.

Skręciła palce dokoła ołówka, złamała czubek i drewnem ołówka nakreśliła wielkie *J*. Po czym bezsilna już i wyczerpana wypuściła z ręki ołówek.

- Jeszcze jedno słowo! Musisz! - rozkazywał Lupin, chwytając ją za ramię.

Z oczu jej jednak zagasłych i obojętnych wyczytał, że ten przelotny przebłysk wrażliwości już się więcej nie rozżarzy.

-Pójdźmy! - rzekł z westchnieniem.

Oddalał się już, gdy dziewczyna zaczęła biec za nim i zastąpiła mu drogę. Przystanął.

-Czego chcesz, mała?

Wyciągnęła dłoń.

- Czego? Pieniędzy? Czy to jej zwyczaj żebrać? - zagadnął hrabiego.

- Nie - odpowiedział Waldemar - i ja też tego wcale nie rozumiem.

Izilda wyciągnęła z kieszeni dwie złote monety i jęła nimi radośnie podzwaniać. Lupin spojrział na nie bacznie. Były to monety francuskie, nowiuteńkie, ze stemplem ostatniego roku.

- Skąd ty to masz? - zawołał Lupin, silnie poruszony. - Monety francuskie? Kto ci je dał?... I kiedy?... Czy dziś?... Mów!... Odpowiedz!

Wzruszył ramionami.

- Jaki też głupiec ze mnie! Jak gdyby ona mogła odpowiedzieć!... Mój drogi hrabio, niech mi pan pożyczy czterdzieści marek!... Dziękuję. Masz Izildo, to dla ciebie!

Wzięła obie monety, zadzwoniła nimi o tamte w złożonej piątce, po czym wyciągnąwszy ramię wskazała na ruiny pałacu Odrodzenia; gest ten jakoby kierował się raczej ku lewemu skrzydłu i ku górze tego skrzydła.

Czy to był gest odruchowy? Czy też należało go uważać za podziękowanie za złote monety?...

Lupin spojrział na hrabiego. Ten nie przestawał się uśmiechać.

-Czemu to bydlę wciąż się uśmiecha? - myślał w duszy Lupin.

- Myślałby kto, że on się ze mnie naśmiewa!

Na wszelki wypadek skierował kroki ku pałacowi, a za nim jego eskorta.

Parter składał się z olbrzymich sal przyjęć. Na pierwszym piętrze od strony północnej ciągnęła się długa galeria, na którą

wychodziło dwanaście pięknych sal, podobnych wymiarów. Ta sama galeria powtarzała się na pierwszym piętrze, pokoi zaś było dwadzieścia cztery. A wszystko to było puste, zniszczone, w oplakany stan.

Wyższych pięter już nie było. Ogień je strawił. Lupin godzinę całą chodził, dreptał, kłusował niezmordowany, baczny na wszystko.

Gdy wieczór zaczął zapadać pobiegł ku jednej z dwunastu sal pierwszego piętra, jakby ją specjalnie upatrzył dla siebie tylko wiadomych powodów.

Zdziwił się bardzo ujrawszy tam fotel, świeżo widać przyniesiony, a w fotelu monarchę spokojnie palącego cygaro.

Nie troszcząc się jego obecnością zaczął oglądać salę metodą, której używał, to znaczy dzieląc pokój na części i badając każdą z kolei.

Po jakich dwudziestu minutach odezwał się:

-Bardzo bym prosił Najjaśniejszego Pana, by zechciał poruszyć się z miejsca. Jest tam kominek.

Monarcha pokręcił głową.

- Ten kominek jest taki, jak każdy kominek, a sala ta nie różni się od innych. Ja myślę, panie Lupin, że pan sobie z lekka zażartował ze mnie!

- Jak to, Najjaśniejszy Panie?

- Rzecz prosta. Jeżeli się coś wie, to się tego nie szuka, a pan szukasz i szukasz od dobrych dziesięciu godzin. Czy panu się nie zdaje, że natychmiastowy powrót do więzienia byłby wskazany?

Lupin zdumiał się.

- Czy Wasza Cesarska Mość nie oznaczył jutra w południe jako ostatecznego terminu? Muszę przecież dokończyć mojego dzieła?

- Pańskiego dzieła? Ależ ono nie jest nawet zaczęte.

- Myli się Wasza Cesarska Mość...

-Daj mi pan dowód, a poczekam do jutra, do południa.

Lupin zastanowił się i poważnie zaczął mówić:

-Z dwunastu sal, które na tę galerię wychodzą, każda inną ma nazwę, a pierwsza litera takiej nazwy oznacza drzwi każdej sali.

Jedna z tych liter, mniej zniszczona ogniem niż inne, wpadła mi w oko. Obejrzałem zatem inne drzwi także i odnalazłem, zaledwie dostrzegalne, dalsze litery, wszystkie wyrte od strony galerii ponad frontonami. Otóż jedną z tych liter było D, pierwsza litera wyrazu *Diana*. Inną było A, pierwsza litera imienia *Apollon*. Te dwa imiona są to imiona bóstw mitologicznych. Czyż inne litery miałyby mieć podobne znaczenie? Znalazłem J; od J zaczyna się *Jowisz*, V pierwszą literą *Venus* - M *Merkury* - S *Saturn* itd. Ta część zagadki zatem rozwiązana; każda z dwunastu sal oznaczona jest imieniem jakiegoś bóstwa Olimpu, a wyraz *Apoon*, dopełniony przez Izildę, oznacza salę *Apollina*. Zatem w tej to sali, w której obecnie jesteśmy, ukryte są listy. Teraz do ich odnalezienia może już zaledwie kilku minut potrzeba.

- Albo i kilku lat... a może i wieków! - roześmiał się monarcha. - Panie Lupin, to są znane rzeczy! Dwa tygodnie temu wraz z przyjacielem pańskim, Sherlockiem Holmesem, badaliśmy także małą Izildę; tej samej metody używaliśmy, co pan, i także, tak jak pan, odgadywaliśmy znaczenie liter w galerii. I także doszliśmy tu, do tej sali Apollina.

Lupin pozieleniał.

- Ach... - bąknął. - Holmes dotarł... aż tak daleko?

- Tak, po czterodniowych poszukiwaniach. Prawda, że się to na nic zdało i że nie znaleźliśmy niczego. W każdym razie to wiem, że tych listów tutaj nie ma.

Lupin drżał z wściekłości i upokorzenia. Byłby rad zdusił grubego Waldemara za ten jego ciągły, drażniący śmiech. Pohamował się jednakże.

- Czterech dni potrzebował Holmes, Najjaśniejszy Panie. Mnie wystarczyło kilka godzin. A byłbym użył na to jeszcze mniej czasu, gdyby mi w moich poszukiwaniach nie przeszkadzano.

- Któż panu przeszkadzał, mój Boże? Czyżby mój wierny hrabia? Myślę, że chyba nie on...

- Nie, Najjaśniejszy Panie, ale najgroźniejszy i najpotężniejszy mój wróg, ten twór piekielny, który zamordował współnika swego Altenheima.

- On tu jest? Tak pan sądzi? - zawołał monarcha poruszony; widocznie żaden szczegół tej dramatycznej historii nie był mu obcy.

- On jest wszędzie tam, gdzie i ja. Prześladowuje mnie swą nienawiścią. To on odgadł mnie poza maską pana Lenormand, szefa bezpieczeństwa publicznego, to on mnie wtrącił do więzienia, on i teraz mnie ściga, odkąd wyszedłem z więzienia. Wczoraj - mniemając, że dosięgnie mnie w samochodzie - ranił hrabiego Waldemara.

- Ale skąd pan przypuszcza, że znajduje się w Veldeuz?

- Izilda otrzymała dwie monety złote, dwie monety francuskie!

- Ale czegożby on tu szukał? W jakim celu by tu był?

- Nie wiem, Najjaśniejszy Panie, ale to duch złego! Niech się Wasza Cesarska Mość strzeże! On jest do wszystkiego zdolny!

- To niepodobna! W tych ruinach mam dwustu moich ludzi. Nie mógł tu wejść. Widziano by go.

- Fakt, że był ktoś, kto się z nim widział.

- Któż taki?

- Izilda!

- Przepytajcie ją! Waldemarze, zaprowadź więźnia twego do tej dziewczyny!

Poszli do mieszkania zajętego przez Izildę, a położonego na skraju dawnych dworskich zabudowań, które dziś dwustu stróżom ruin służyły za koszary.

Izildy jednak nie zastali tam.

Hrabia kazał jej szukać. Nikt jednakże dziewczęcia nie widział. Nie mogła jednak niepostrzeżona wyjść poza obręb ruin...

Nareszcie żona porucznika - mieszkająca w sąsiedztwie - oświadczyła, że wcale nie odchodziła od okna i że wie, iż dziewczyna z pewnością nie wyszła.

- Gdyby nie wychodziła - zawołał Waldemar - to musiałyby być w domu, a nie ma jej przecież!

- Zdaje mi się, że jest piętorko nad jej mieszkaniem -

zauważył Lupin - widzę tam schodki.

I ukazał drzwi łączące się z ciemną komórką. W cieniu widać było pierwsze szczeble schodków, stromych jak drabinka.

Uprzedzając hrabiego Waldemara Lupin wysunął się naprzód i wybiegł pierwszy na schodki. Nagle wydał okrzyk.

- Co tam? - zapytał hrabia, podążając za nim.

- Tu... na podłodze... Izilda!

Przyklęknął, ale przyjrzawszy się dziewczynie poznał od razu, że zemdlona jest tylko i że nie ma śladu ran, ręce tylko podrapane. W ustach jej w miejscu knebla tkwiła chusteczka.

- Otóż to! - rzekł. - Morderca był tu, u niej... Słyszając, że nadchodzimy ogłuszył ją uderzeniem pięści i zakneblował jej usta, abyśmy jęków jej nie dosłyszeli.

- Ale w takim razie którydyż mógł uciec?

- Och... tędy najprawdopodobniej... Tym korytarzykiem łączą się wszystkie poddasza...

- Ależ, gdyby wychodził, zobaczono by go!

- Co tam! Co można wiedzieć! To jakiś twór nieuchwytny i niewidzialny... Radziłbym, by pan kazał przeszukać wszystkie strychy i wszystkie mieszkania dolne!

Zawahał się. A może dobrze by było pójść także na poszukiwanie?

Lecz dźwięk jakiś zwrócił znów uwagę jego ku dziewczęciu. Izilda podniosła się, a dwanaście sztuk złotych monet posypało się z jej rąk. Lupin obejrzał pieniądze. Wszystkie miały na sobie stempel francuski.

- No - rzekł - przecież się nie omyliłem. Tylko... skąd aż tyle złota? Czy to nagroda i za co?

Nagle spostrzegł na ziemi jakąś książkę i schylił się, by ją podnieść. Ale szybszym jeszcze ruchem rzuciła się młoda dziewczyna, pochwyciła książkę i z jakąś dziką energią przycisnęła ją do piersi, gotowa bronić jej przeciw silniejszemu.

-A więc to tak - rzekł Lupin - ofiarowano jej złote monety za tę książkę, ale ona odmówiła. Stąd te zadrapania na rękach. To ciekawe, dlaczego morderca pragnął mieć tę książkę?...

Nie czekając na odpowiedź usiadł, ku wielkiemu oburzeniu Waldemara.

Po chwili zbliżył się monarcha, który poprzednio był odszedł i nad czymś naradzał się z hrabią.

- Czy pan Lupin gotów jest teraz?

Lupin milczał. Monarcha zapytał raz jeszcze. Lupin tylko głowę spuścił.

- Ależ on śpi; naprawdę można by myśleć, że śpi!

Waldemar wściekły chwycił go szorstko za ramię i potrząsnął nim. Lupin stoczył się z krzesła, upadł na podłogę, drgnął kilka razy i leżał, jak padł, bez ruchu.

- Co mu jest? - zawołał cesarz. - Przecież nie umarł chyba?

Wziął ze stołu lampę i nachylił się nad leżącym.

- Jaki błąd! Twarz jak z wosku!... Przypatrz się, Waldemarze!... Zbadaj serce... nieprawdaż, że żyje?...

- Tak, Najjaśniejszy Panie - odpowiedział hrabia po chwili - serce bije regularnie.

- A więc co? Już nie rozumiem... Co się to stało?

- A gdybym przywołał lekarza?

- Idź, a prędko!

Lekarz zastał Lupin w tym samym stanie; spokojny był i bezwładny. Kazał go położyć na łóżku, badał go długo i dopytywał, co chory jadł.

- Wiec pan przypuszcza, że go otruto, doktorze?

- Nie, Najjaśniejszy Panie, śladów otrucia nie widzę... Ale co to za filiżanka na tacce?

- To kawa - odpowiedział hrabia.

- Dla pana?

- Nie, przyniesiona dla niego. Ja jej nie piłem.

Doktor nalał sobie kawy, skosztował i oświadczył:

- Więc dobrze zgadłem. Chorego uspio no za pomocą narkotyku.

- Ale kto? - zawołał cesarz gniewnie. - Słuchaj, Waldemarze, wszystko to irytujące, co się tu dzieje!

- Najjaśniejszy Panie...

- Tak, tak!... Mam tego dosyć!... Zaczynam doprawdy wierzyć, że ten człowiek ma słusność i że tu jest ktoś w tym zamku... Te monety złote... ten narkotyk... Szukaj, przetrząsaj, masz przecież dwustu ludzi do dyspozycji, a przestrzeń znów

nie jest tak wielka! Gdyż ostatecznie bandyta musi się snuć gdzieś dokoła tych budynków... od strony kuchni... czy ja wiem? Idź! Ruszaj się!

Całą noc gruby Waldemar ruszał się sumiennie, ale bezskutecznie; wszelkie przetrząsania i przepytowania były daremne, nie odkryto tajemniczej ręki, która napój usypiający przygotowała.

Tę noc Lupin bezwładny i nieświadomy przebył na łóżku. Rano doktor, który go nie opuszczał, powiedział wysłańcowi cesarza, że chory wciąż jeszcze śpi.

Jednakże o dziewiątej poruszył się po raz pierwszy, jak gdyby usiłując się przebudzić.

Trochę później wyjąkał:

- Która godzina?

- Wpół do dziesiątej.

Uczył nowy wysiłek i czuło się, że pod tym odrętwieniem cała jego istota pręży się wolą powrotu do życia.

Zegar jakiś wydzwonił dziesiątą. Lupin drgnął.

- Proszę mnie zanieść... proszę mnie zanieść do pałacu... - szepnął.

Ponieważ lekarz nie zabraniał Waldemar wezwał swoich ludzi i kazał uprzedzić monarchę. Ułożono Lupin na noszach i zaczęto iść ku pałacowi.

- Na pierwsze piętro - szepnął.

Wniesiono go na schody.

- Na koniec korytarza - rzekł - ostatnie drzwi na lewo.

Zaniesiono go do tej ostatniej sali, dwunastej z rzędu, i dano mu krzesło, na którym usiadł wyczerpany.

Nadszedł monarcha. Lupin z miną nieprzytomną, z oczyma bez wyrazu, nawet się nie poruszył.

Po kilku jednak minutach zdawało się, że się budzi; obejrzał się dokoła po ścianach, po suficie, po ludziach i rzekł:

- To był narkotyk, nieprawdaż?

- Tak - odpowiedział doktor.

- Czy znaleziono... tego człowieka?

- Nie.

Zamyślił się i parę razy potrząsnął głową w zadumie, ale

wkrótce spostrzeżono, że znów zasnął.

Monarcha zbliżył się do Waldemara.

- Każ, niech twój automobil zajedzie.

- Ach! Więc?...

- A cóż! Zaczynam wierzyć, że on drwi sobie z nas po prostu i że to wszystko to tylko komedia dla zyskania na czasie.

- Może być... w istocie... - przytwardził Waldemar.

- Oczywiście! Korzysta z niektórych ciekawych zbiegów okoliczności, ale on nic nie wie i ta cała bajeczka o złotych monetach, o narkotyku, to wszystko czyste brednie! Jeżeli dłużej tolerować będziemy tę grę gotów wymknąć się nam z rąk... Każ, Waldemarze, niech twój automobil zajedzie!

Hrabia wydał rozkaz i powrócił. Lupin się nie przebudził. Cesarz, oglądając salę, zwrócił się do Waldemara:

- To ta jest sala Minerwy, wszak prawda?

- Tak, Najjaśniejszy Panie.

- Ale w takim razie co znaczy to N, umieszczone aż w dwóch miejscach?

Rzeczywiście, jedno N umieszczono nad kominkiem, drugie nad starym zegarem, wmurowanym w ścianę, zniszczonym, odsłoniętym, skomplikowanym mechanizmie i nieruchomych wagach.

-Co znaczą te dwa N... - powtórzył Waldemar.

Cesarz nie słuchał odpowiedzi. Lupin poruszył się, otworzył oczy i wymówił kilka niezrozumiałych zgłosek. Wstał, przeszedł przez salę i znowu opadł wyczerpany.

I teraz rozpoczęła się walka, zacięta walka mózgu jego, nerwów, woli z tą straszną martwością, która go krępowała, walka umierającego ze śmiercią, walka życia z nicością.

I był to widok nad wyraz bolesny.

- Ten człowiek cierpi - szepnął Waldemar.

- A przynajmniej odgrywa cierpienie - oświadczył cesarz - a odgrywa je znakomicie. Co za komediant!

- Jedną iniekcję, doktorze - szepnął Lupin - jedną iniekcję kofeiny... ale zaraz...

- Wasza Cesarska Mość pozwoli?... - zapytał lekarz.

- Naturalnie... aż do południa we wszystkim trzeba się do

jego woli stosować. Ma moje słowo.

- Ile minut braknie... do dwunastej? - zapytał Lupin.

- Czterdzieści - odpowiedziano.

-Czterdzieści? Zdązę... na pewno zdązę... muszę.

Chwycił się oburącz za głowę.

-Ach, gdybym miał swój mózg, swój prawdziwy, swój dobry mózg, mogący myśleć! Byłaby to sprawa załatwiona! Już w tym wszystkim jeden tylko punkt niejasny! Ale nie mogę... myśl mi ucieka... nie mogę jej pochwycić... to straszne...

Ramionami jego wstrząsał dreszcz kurczowy. Czy może płakał?

Otaczający słyszeli, jak szeptał półgłosem: 813... 813...

A potem ciszej:

-813... 8... 1... 3... tak, oczywiście... ale dlaczego?... to nie wystarcza...

Monarcha szepnęła:

-Robi na mnie wrażenie ten człowiek. Aż trudno uwierzyć, żeby aż do tego stopnia mógł grać komedię.

Wpół... trzy kwadransy...

Monarcha czekał, oczyma śledząc zegarek.

Jeszcze dziesięć minut... jeszcze pięć...

Monarcha nie ukrywał swego niepokoju. Ten dziwny awanturnik, którego dzieje znał, przyprawiał go o wzruszenie... a chociaż postanowił skończyć z całą tą dwuznaczną historią nie mógł nie oczekiwać... nie spodziewać się jeszcze...

Jeszcze dwie minuty... jeszcze minuta... nareszcie już tylko sekundy...

Lupin zdawał się drzemać.

- No, gotuj się do drogi - rzekł cesarz do hrabiego.

Hrabia zbliżył się do Lupin i ręką dotknął się jego ramienia.

Srebrny dzwonek repetiera zadźwięczał... raz... dwa... trzy... cztery... pięć...

- Hrabio Waldemarze, pociągnij pan za wagi starego zegara.

Chwila zdumienia. To Lupin, spokojny zupełnie, przemówił.

Hrabia Waldemar wzruszył ramionami.

- Uczyń, co on każe - przemówił monarcha.

-Ależ tak, uczyń pan to - nalegał Lupin - najpierw za jeden

łańcuch, a potem za drugi... Tak, doskonale... Tak za dawnych czasów zegar naciągano...

W istocie, wahadło puściło się w ruch i słychać było miarowe tykanie.

-A teraz wskazówki - zarządził Lupin. - Nastaw je pan trochę przed dwunastą. A teraz proszę nie ruszać nic więcej... proszę mnie puścić...

Wstał i podszedł do cyferblatu, podszedł blisko, o krok, i zapatrzył się weń z wyteżoną uwagą.

Wybiło dwanaście uderzeń, dźwięcznych, głębokich...

Długie milczenie. Nic się nie stało. A jednak cesarz czekał, jak gdyby był pewien, że coś się stanie. I Waldemar stał także bez ruchu, z wytrzeszczonymi oczami.

Lupin, nachylony nad zegarem, wyprostował się z westchnieniem.

- Doskonale... - szepnęła - już teraz mam...

Wrócił na swoje miejsce i rzekł:

-Hrabio Waldemarze, nastaw pan znowu wskazówki na dwunastą bez dwóch minut... Ach nie, nie wstecz! ...naprzód, jak należy... Prawda, to trochę dłużej, ale cóż? Trudno...

Wszystkie godziny i wszystkie półgodziny zadzwoniły... wybiło wpół do dwunastej.

-A teraz posłuchaj, hrabio...

Lupin mówił poważnie, bez drwin, jak gdyby sam wzruszony był i niespokojny.

- Słuchaj, hrabio Waldemarze... widzisz na cyferblacie mały guziczek okrągły, kropkę za godziną pierwszą? Ten guziczek drży, nieprawdaż? Połóż pan na nim palec wskazujący lewej ręki i naciśnij. Dobrze. Zrób pan to samo pierwszym palcem na kropce za godziną trzecią. Dobrze... A teraz prawą ręką naciśnij kropkę za godziną ósmą... Tak... Dziękuję. A teraz proszę, usiądź hrabio!

Jeszcze chwila... i oto przesunęła się wielka wskazówka, i dotknęła kropki przy godzinie dwunastej... I znowu wybiła dwu-nasta.

Lupin milczał, błydy bardzo. W milczeniu rozległo się kolejno dwanaście uderzeń.

Przy dwunastym uderzeniu rozległ się w głębi zegara jakiś zgrzyt. Zegar nagle stanął. Wahadło zwisło prostopadle, nieruchome.

I nagle gzyms brązowy ponad cyferblatem, rzeźbiony w kształt głowy barana, opadł i odsłonił małą nyżę, w kamieniu wykutą.

W tej nyży stała srebrna szkatułka, ozdobnie cyzelowana.

- Ach! - zawołał cesarz - Więc nie omyliłeś się pan!

- To Wasza Cesarska Mość wątpił? - szepnął Lupin.

Wyjął szkatułkę i podał ją monarsze.

-Niech ją Jego Cesarska Mość sam raczy otworzyć. Listy, które miałem polecenie odszukać, znajdują się tu.

Cesarz podniósł wieko, lecz na twarzy jego odbiło się zdziwienie.

Szkatułka była pusta.

II

Szkatułka była próżna!

Był to efekt niesłychany, nieprzewidziany! Cesarz zdawał się pogwałcony. Lupin sinoblady, z zaciśniętymi szczękami, zgrzytał z wściekłości i bezsilnej nienawiści.

- Któż to mógł zrobić? - zapytał wreszcie monarcha.

- Zawsze ten sam, Najjaśniejszy Panie; ten, który idzie tą samą drogą, co ja i który zmierza do tego samego celu, morderca Kesselbacha!

- Ale kiedy?

- Dzisiejszej nocy. Ach, czemu mi Wasza Cesarska mość nie pozostawił swobody po wyjściu z więzienia! Gdybym był wolny byłbym się tu dostał, nie tracąc ani godziny. Byłbym przybył przed nim! Wpierw, niżli on, byłbym dał złoto Izildzie... wpierw, niżli on, byłbym przeczytał dziennik Malreicha, starego kamerdynera, Francuza!

- Więc sądzisz pan, że to wskazówki tego dziennika...

- Ależ tak, Najjaśniejszy Panie, on miał czas je przeczytać. I, sam ukryty, nie wiem gdzie, poinformowany o naszych

ruchach, nie wiem przez kogo, uśpił mnie, by mnie się pozbyć tej nocy!

- Ależ pałac był pod strażą!

- Najjaśniejszy Panie, gdyby można zajrzeć do kieszeni wszystkich tych dwustu żołnierzy albo znać wydatki każdego z nich przez przeciąg przyszedłego roku, to z pewnością u kilku pomiędzy nimi znaleziono by w tej chwili bilety bankowe, bilety banku francuskiego, rzecz prosta.

- Ależ co znowu! - zaprzeczył Waldemar.

- Ależ tak, panie hrabio, to tylko kwestia kosztu, a z tym się tamten nie liczy...

Monarcha nie słuchał, zajęty swymi myślami. Nagle dał znak jednemu z oficerów.

-Niech zajedzie mój automobil... odjeżdżamy.

Popatrzył chwilę na Lupin i przystąpił do hrabiego.

- I ty, Waldemarze, szykuj się do drogi. Prosto do Paryża, jednym tchem!

Lupin nie wierzył własnym uszom.

- Ależ nie, Wasza Cesarska Mość; nie, to niepodobna! To przecież tak być nie może! Nigdy!

- Jak to? Co to znaczy?

- A listy, Najjaśniejszy Panie? Te ukradzione listy?

- Ha, trudno...

-Jak to! - zawołał Lupin z oburzeniem - Wasza Cesarska Mość zrzeka się walki? Wasza Cesarska Mość uważa porażkę za przegraną? Wasza Cesarska Mość składa broń? Otóż ja nie. Zacząłem - chcę dokończyć!

Monarcha uśmiechnął się na widok tego zapału.

- Ja wcale się walki nie zrzekam, ale moja policja wystąpi do walki.

- Daruję Wasza Cesarska Mość, ale ja nie ufam policji... Nie, Najjaśniejszy Panie, ja nie wrócę do więzienia. Nie o więzienie mi chodzi, ale już tyle straciło się czasu... Mnie do walki z tym człowiekiem wolności potrzeba!

Monarcha wzruszył ramionami.

- Z tym człowiekiem! Pan sam nie wiesz, kto to!

- Lecz wiedzieć będę. I ja sam tylko dowiedzieć się mogę. I

on też o tym wie. Ja jestem jedyny jego wróg, mnie jednego on zwalcza. Mnie to chciał osiągnąć wtedy kulą swego rewolweru. Wystarczyło mu uśpić mnie tej nocy, by móc działać wedle woli. Pojedynek toczy się pomiędzy nami dwoma jedynie.

Dotąd jemu służyło szczęście. Ale na ostatku nieuchronnie, koniecznie ja zwyciężyć muszę - bo z nas dwóch ja jest silniejszy.

- A jeśli on pana zabije?...

- Nie, nie zabije mnie... To ja mu wydrę szpony, to ja go zetnę na proch. I Wasza Cesarska Mość otrzyma swoje listy... nie ma na ziemi potęgi, która by mi przeszkodziła zwrócić je Waszej Cesarskiej Mości...

Mówił z przekonaniem tak silnym i z akcentem takiej pewności, że cesarz nie mógł się obronić dziwnemu, niejasnemu uczuciu, w skład którego wchodziło i to zaufanie, którego się Lupin tak gwałtownie domagał. W istocie, skrupuły dumy wstrzymywał go jedynie od używania tego człowieka, od wzięcia go za sojusznika. Toteż zakłopotany chodził wzdłuż galerii i milczał.

- Ale któż nas zapewnić może - przemówił w końcu - że listy te ukradziono dzisiaj nocy?

- Kradzież oznaczono datą, Najjaśniejszy Panie!

- Co pan mówi?

- Proszę się przyjrzeć wewnętrznej części frontonu, który tę skrytkę zakrywa. Białą kredą wypisano tu datę: *dwunasta 24 sierpnia*.

- To prawda... to prawda... - szepnął cesarz zmieszany. - Że też ja tego nie zauważyłem...

I dodał z pewnym zaciekawieniem:

- Albo te dwa N wymalowane na ścianie... nie rozumiem tego. Przecież tutaj sala Minerwy.

- W tej to sali nocował cesarz Napoleon - oświadczył Lupin.

- Skąd pan to wiedzieć może?

- Proszę zapytać hrabiego Waldemara. Co do mnie, gdym przeglądał dziennik starego kamerdynera miałem jakby objawienie. Zrozumiałem, że i Holmes, i ja pobłądziliśmy. *Apoon* to niepełne słowo, które nakreślił książę Herman na

łożu śmierci, nie znaczy Apollon, ale Napoleon.

- To prawda... masz słuszość - rzekł cesarz - te same litery tu zachodzą i w tym samym porządku. Wielki książę chciał napisać *Napoleon*. Ale co znaczy cyfra 813?

- Ach, z tym miałem najwięcej kłopotu... Zawsze myślałem, że należy dodać pojedyncze cyfry i że suma ich, cyfra 12, odnosi się do tej sali, dwunastej z rzędu. Ale to mi nie wystarczało. Musiało być w tym jeszcze coś więcej; coś, czego omroczonym mózgiem nie mogłem sformułować. Widok zegara w tej właśnie Sali Napoleona był dla mnie objawieniem. Cyfra 12 miała oznaczać naturalnie godzinę 12. Południe albo północ... Ale dlaczego właśnie te trzy cyfry 8, 1, 3, a nie inne, które by tę samą sumę dawały? Wtedy to przyszło mi na myśl doprowadzić zegar po raz pierwszy do bicia, na próbę. I wtedy to zauważyłem, że kropki, guziczki za pierwszą, trzecią i ósmą godziną ruchome są i że tylko te są ruchome... Hrabia Waldemar nacisnął te trzy guziczki... i podziałała sprężyna...

- Takie jest, Najjaśniejszy Panie, wyjaśnienie tego zagadkowego słowa i tych trzech cyfr 8, 1, 3 - które wielki książę stygnącą ręką nakreślił w nadziei, że syn jego po tym śladzie odnajdzie tajemnicę zamku Veldeuz i posiadzie słynne, tam ukryte listy...

Monarcha słuchał ciekawie, zdziwiony bystrością i inteligencją tego człowieka.

- Waldemarze... - zaczął.

Ale w tejże chwili rozległy się krzyki jakies na galerii. Hrabia Waldemar wyszedł i wrócił zaraz.

- To ta obłąkana, Najjaśniejszy Panie; nie chcą jej tu puścić.

- Niechżeź przyjdzie - zawołał żywo Lupin - niech Wasza Cesarska Mość pozwoli...

Cesarz skinął. Hrabia Waldemar poszedł sprowadzić Izildę.

Wszyscy zdumieli się, gdy dziewczyna weszła. Bładą jej twarzą pokrywały czarne plamy. Wykrzywione rysy świadczyły o dojmujących boleściach. Dyszała, przyciskając obydwie ręce do piersi.

- Och! - krzyknął Lupin z trwogą.

- Co się stało? - zapytał cesarz.

-Lekarza! Wasza Cesarska Mość! Lekarza natychmiast!

I przysunął się do dziewczęcia.

- Mów Izildo... Tyś coś widziała... Ty chcesz coś powiedzieć?...

Dziewczyna przystanęła; wzrok jej mniej teraz był mętny, jak gdyby go ból rozświecił. Wydała szereg jakichś dźwięków, ale ani jednego słowa.

- Słuchaj - mówił Lupin - odpowiedz, tak czy nie... ruchem głowy odpowiadaj... Widziałas go?... Wiesz, gdzie on jest? Wiesz, kto on jest?...

Lecz nagle przypomniawszy sobie wczorajsze doświadczenie i to, że ona raczej z czasów, gdy była przytomna, dochowała pamięć wzrokową, nakreślił na białej ścianie wielkie L i wielkie M.

Dziewczyna wyciągnęła rękę ku literom i pokiwała głową, jak gdyby przytwierdzając.

-A co dalej? - pytał Lupin - Co dalej?... Pisz!

Ona jednakże krzyknęła straszliwie i wijąc się z bólu padła na ziemię. I nagle umilkła, zeszywniała, bez ruchu. Raz jeszcze wstrząsnęły nią drgawki i wyprężyła się nieruchoma.

- Nie żyje? - zapytał cesarz.

- Otruta, Najjaśniejszy Panie.

- Biedaczka... ale kto?

- On, Najjaśniejszy Panie. Ona go zapewne знаła. Bał się, by go nie zdradziła.

Cesarz zwrócił się do Waldemara.

-Puść w ruch wszystkich swoich ludzi... Przeszukać wszystkie budynki i mieszkania... Nadać telegram do wszystkich granicznych stacji...

Przystąpił do Lupin.

- Ile panu czasu potrzeba do odszukania listów?

- Niech mi Wasza Cesarska Mość da miesiąc czasu.

- Dobrze. Waldemar czekać tu będzie na pana. On z mego rozkazu i pełnomocnictwa udzieli panu wszystkiego, czego potrzeba.

- Ja przede wszystkim wolności pragnę, Najjaśniejszy Panie!

- Jesteś pan wolny.

ROZDZIAŁ VIII NA ŚLADZIE

I

- Czy pani przyjmuje? Proszę jej oddać mój bilet.

Od czasu wypadków, które wstrząsnęły jej życiem Dolores Kesselbach, po krótkim pobycie w „Zaciszu”, zamieszkała w spokojnym domku z ogrodem na ulicy des Vignes, w podmiejskiej dzielnicy Passy. Jeśli bolesne ataki nie zamykały jej w pokoju - niewidzialnej dla wszystkich, poza zamkniętymi okiennicami - kazała się wynosić do ogrodu, pod cień drzew i tam leżała słaba, melancholijna, niezdolna już walczyć z losem.

Skrzypnął piasek ścieżki i za lokajem ukazał się młody człowiek, eleganckiej powierzchowności, skromnie ubrany, przesta-rzałą trochę modą niektórych malarzy, w wykładanym kołnierzyku i luźno wiązanym szaliku w białe grochy na granatowym tle.

- Pan Andrzej Beauny... nie mam przyjemności...

- Owszem, pani... Wiedząc, że jestem dobrym znajomym pani Evnemont, babki panny Genowefy, napisała pani do niej do Garches, że życzy sobie ze mną pomówić. Otóż jestem.

Dolores podniosła się, bardzo wzruszona.

- Ach, to pan jest...

- Tak, to ja.

- Doprawdy?... - wyjąkała. - To pan? Nie poznaję pana.

- Nie poznaje pani księcia Sernin?

- Nie... nie ma żadnego podobieństwa... ani czoło, ani oczy... I nie tak też wcale...

- Opisywały pisma więźnia z Santé? - uśmiechnął się gość. - A jednakże to ja jestem.

Nastąpiło dłuższe milczenie; oboje byli zażenowani i nieswoi.

- Genowefa nic panu nie mówiła? - zapytała w końcu Dolores.

- Nie widziałem się z nią... ale babce jej zdawało się, że pani potrzebuje moich usług... Taki rad jestem... Czymże mogę służyć?

- Boję się - rzekła po chwili wahania.

- Boi się pani? - zawołał.

- Tak - odpowiedziała głosem zmęczonym - boję się wszystkiego; boję się tego, co jest i tego, co będzie, boję się życia. Tyle przecierpiałem... nie mam już sił...

Popatrzył na nią z wielką litością. Niejasne uczucie, które go zawsze pchało ku tej kobiecie, krystalizowało się teraz bardziej określenie; teraz, gdy ona wzywała jego opieki. Była gorąca potrzeba poświęcenia się jej całkowicie, bez żadnej nadziei nagrody.

Dolores ciągnęła dalej:

- Sama jestem teraz, zupełnie sama pośród służby, którą wzięłam na los szczęścia. I boję się... Czuję, że wokół mnie coś się snuje. Nie wiem, w jakim celu... ale nieprzyjaciel krąży i przybliża się...

- Widziała pani kogo? Zauważyła pani cośkolwiek?

- Tak... Jacyś dwaj ludzie chodzili wczoraj ulicą i zatrzymywali się przed moim domem.

- Jak wyglądali?

- Jednego z nich lepiej widziałam. Wysoki, tęgi, ogolony, z ubrania sądząc wyglądał jak kelner. Kazałam swoim ludziom iść za nim. Wszedł w ulicę de la Pompe i do domu o podejrzanym wyglądzie, gdzie na parterze jest winiarnia... A znowu przedwczoraj w nocy... z okna swojego pokoju zauważyłam cień jakiś w ogrodzie...

- I nic więcej!

- Tylko tyle.

Namyślił się chwilę i rzekł:

- Niech pani pozwoli, żeby dwaj moi ludzie czuwali w którym z parterowych pokoi... bardzo poczciwi i pewni ludzie, obaj... Przy nich może pani być spokojną... Co do mnie zaś...

Zawahał się. Czekał, czy ona go nie poprosi, by ją znów kiedy odwiedził. Ponieważ jednak milczała dokończył:

- Co do mnie, lepiej by mnie tu nie widziano... lepiej... dla

pani. Przez swoich ludzi będę miał wiadomości.

Byłby pragnął więcej powiedzieć, zostać, sięść, pocieszyć ją i pokrzepić. Miał jednak wrażenie, że co można było powiedzieć, to już powiedział i że każde przez niego dodane słowo byłoby dla niej obrazą.

Toteż skłonił się tylko bardzo nisko i wyszedł.

Szedł szybko, pragnąc co prędzej wyjść z ogrodu i opanować wzruszenie. W chwili, gdy wychodził z bramy na ulicę spotkał młodą kobietę, sięgającą właśnie do dzwonka. Zadrżał.

-To Genowefa!

Utkwiła w nim wzrok zdziwiony i zaraz go poznała. Tak ją to jednak poruszyło, że zachwiała się i oparła o drzwi.

Zdjął kapelusz i patrzył na nią, nie śmiejąc wyciągnąć ręki. Czy ona mu ją pierwsza poda? To już nie księżę Sernin - to Arsen Lupin. A ona wiedziała, kim jest i wiedziała, że wychodzi z więzienia.

Deszcz padał. Genowefa podała parasol służącemu i poszła prosto przed siebie w bramę.

-Mój biedny stary - mówił sobie w duszy Lupin - za wiele wzruszeń naraz dla twoich nerwów i twej wrażliwości. Pilnuj swego serca, bo... Ot, co znaczą te łzy w oczach? Zły znak, panie Lupin, starzejesz się!

Potrącił ramieniem młodzieńca przechodzącego ulicą.

- Przepraszam pana, ale zdaje mi się, że nie mam przyjemności... - odezwał się młody człowiek.

- Źle się panu zdaje, mój drogi panie Leduc. Albo też pamięć masz słabą... Przypomnij sobie Versailles, pokoik w hotelu „Trzech Cesarzy”...

- To pan!

Młodzieniec przerażony uskoczył w tył.

-Ależ tak, to ja, księżę Sernin, raczej Lupin, skoro już pan wiesz, jak się nazywam... Nie, nie, nie zginąłem w więzieniu...

Poklepał go lekko po ramieniu.

- Słuchaj, młodzieńcze, uspokój się, jeszcze sobie możesz spokojnie wiersze pisać. Jeszcze nie nadeszła godzina. Układaj wiersze, poeto!

Nagle jednak ścisną! mu ramię i spojrzał prosto w oczy:

-Ale nadchodzi godzina, poeto! Nie zapominaj, że należysz do mnie, duszą i ciałem! I gotuj się do swojej roli. Ciężka będzie, lecz wspaniała! I na Boga, ty mi się wydajesz jak stworzony do niej!

Roześmiał się, zakręcił się na pięcie i pozostawił na bruku zdumionego Leduca.

Nieco dalej, na rogu ulicy de la Pompe, znajdował się handel win, o którym pani Kesselbach mówiła. Wszedł tam i długo rozmawiał z gospodarzem. A potem wsiadł w automobil i kazał się zawieźć do Grand Hotelu, gdzie mieszkał pod nazwiskiem Andrzeja Beauny.

Tam czekali na niego bracia Dondeville.

Lupin, choć oswojony był z tego rodzaju rozkoszami, podziw i przywiązanie, jakie mu okazywali przyjaciele, sprawiły prawdziwą przyjemność.

W radosnym usposobieniu sypały się obustronnie pytania i wyjaśnienia.

W końcu Lupin podyktował Jakubowi list, który mu kazał odnieść do *Grand Journalu*. List był do dyrektora więzienia i brzmiał:

Panie dyrektorze!

Wymknąłem się z więzienia, ale nie mogę objaśnić, w jaki sposób. Opisz to z czasem mój nadworny historiograf.

Na razie mam inną robotę. Oburzony jestem, widząc, w jakie ręce wpadł urząd przeze mnie sprawowany. Oburzony jestem, że sprawa KesselbachAltenheim stoi wciąż w miejscu i nie posuwa się naprzód. Toteż składam z urzędu pana Webera i obejmuję znów zaszczytne stanowisko, które tak świetnie i ku ogólnemu zadowoleniu jako pan Lenormand zajmowałem.

*Arsen Lupin
Szef bezpieczeństwa.*

II

O ósmej wieczór Arsen Lupin i Dondeville wchodzili do modnej restauracji Caillarda - Lupin w doskonale skrojonym fraku, lecz nieco zbyt obszernych pantalonach i nieco zbyt luźno związanym krawacie artysty, Dondeville w tużurku, z poważną miną urzędnika.

Obrali miejsca w zagłębionej części restauracji, dwoma filarami oddzielonej od głównej sali.

Starszy kelner, elegancki i wzgardliwy, czekał na rozkazy. Lupin drobiazgowo i starannie zamówił wykwintne menu.

Jadł z dobrym apetytem i w milczeniu, raz po raz rzucając krótkie zdania, świadczące o toku jego rozmyślań.

- Oczywiście, to się zrobi... ale to nie będzie łatwe... Co za przeciwnik!... A najgorsze, że po sześciomiesięcznej walce jeszcze nie wiem, czego on chce!

Główny wspólnik nie żyje, dopływamy do końca, a ja jeszcze dotąd gry jego nie rozumiem... Czego szuka ten nędznik?... Co do mnie, plan mój wyraźny: opanować wielkie księstwo, posadzić na tronie wielkiego księcia mojej własnej fabrykacji, dać mu Genowefę za żonę... i panować. To jest jasne, uczciwe i proste. Ale on, ta brudna osobistość, ta larwa ciemności, do jakiego celu on zmierza?

- Kelner! - zawołał głośno.

Starszy kelner zbliżył się.

- Cygara!

Lupin poczęstował Dondeville'a, wybrał dla siebie cygaro, obciął je i włożył do ust.

Kelner zapalił zapalniczkę i podał ogień.

Lupin zniemacka uchwycił go za rękę.

- Cicho... ani słowa... znam cię... nazywasz się Dominik Lecas...

Kelner - człowiek tęgi i silny - próbował się wyrwać, zacisnął zęby, tłumiąc okrzyk bólu. Lupin boleśnie zgniótł mu rękę.

- Imię twoje Dominik... mieszkasz przy ulicy de la Pompe, na czwartym piętrze, gdzie wzięłeś mieszkanie jako właściciel mająteczku, uzbieranego w służbie... ależ słuchaj, durniu, bo

kości ci pogruchoczę!... Uzbieranego w służbie barona Altenheima, u którego byłeś kamerdynerem...

Tamten stał teraz cichy i nieruchomy, z twarzą posiniałą od strachu.

Dokoła ich salka była pusta. W wielkiej sali parę osób gawędziło, popijając likiery.

- Widzisz, mamy spokój... możemy rozmawiać.

- Kim pan jest? Kim pan jest?

- Nie poznajesz mnie? Przyjrzyj się dobrze... widywałeś mnie u swego pana!

- Ach! Książę... książę...

- Ależ tak, książę Arsen, książę Lupin we własnej osobie!... Tak, tak... odetchnąłeś... myślisz sobie, że nie masz się czego lękać Lupin, prawda! Otóż mylisz się, mój stary, możesz się mnie lękać.

Wyciągnął z kieszeni i pokazał mu kartę.

- Patrz, wstąpiłem do policji. Co chcesz, my zawsze na tym kończymy... my, wielcy złodzieje, wielcy zbrodniarze...

- Więc co z tego? - zapytał kelner, wciąż niespokojny.

- To, że najpierw usłuż temu klientowi, który cię woła, a potem wracaj. A przede wszystkim żadnych wykrętów i nie próbuj nawet czmychnąć. Dziesięciu ajentów czuwa na ulicy, oni mają na ciebie oko... Więc spiesz się.

Kelner usłuchał. W pięć minut później był już z powrotem.

- Więc czego trzeba?

Lupin położył na stole kilka banknotów stufrankowych.

- Ile dokładnych odpowiedzi na moje pytania, tyle dostaniesz stufrankówek.

- Zgoda.

- Zaczynam. Ilu was było na usługach barona Altenheima?

- Siedmiu, mnie nie licząc. Raz tylko dobrano robotników Włochów do roboty przy podziemnym korytarzu w Garches.

- Były dwa takie podziemne ganki, prawda?

- Tak, jeden prowadził do pawilonu Hortensji, drugi łączył się z tamtym i wychodził pod pawilonem pani Kesselbach.

- Do czego one miały służyć?

- Chciano porwać panią Kesselbach.

- A gdzie jest tych siedmiu twoich towarzyszy z bandy Altenheima?

Dominik zawahał się.

- Opuściłem ich... nie wiem... - bąknął.

- Zaszczyt ci przynoszą twoje skrupuły, Dominiku, ale gadaj...

Lupin rozłożył dwa bilety po sto franków.

- Odnajdzie ich pan - mówił Dominik - na ulicy de la Révolte nr 3 w Neuilly. Jeden z nich nosi przydomek Rupieciarza.

- Doskonale. A teraz, jak brzmi prawdziwe nazwisko Altenheima?

- Ribeira.

- Dominiku, to się źle skończy. Ribeira to tylko przybrane nazwisko. Pytam się o prawdziwe.

- Parbury.

- To także przybrane.

Kelner wahał się. Lupin rozłożył trzy bilety stufrankowe.

- A potem sza! - zawołał Dominik. - Ostatecznie on nie żyje... już naprawdę nie żyje!

- Więc jakże się nazywał?

- Nazywał się kawaler de Malreich.

Lupin aż skoczył na swoim krześle.

- Co? Coś ty powiedział? Powtórz! Kawaler...

- Raul de Malreich.

Zapanowało milczenie. Z osłupiałym wzrokiem Lupin myślał o obłąkanej z Veldeuz, która umarła otruta. Izilda nosiła to samo nazwisko: Malreich. I to samo nazwisko nosił mały szlachcic francuski, który przybył na dwór książęcy w Veldeuz w osiemnastym wieku.

- Jakiej narodowości był ten Malreich? - zapytał.

- Pochodzenia francuskiego, ale urodził się w Niemczech... Raz wpadły mi w ręce papiery... i stąd się dowiedziałem. Ach, gdyby on to wiedział byłby mnie chyba zadusił!

Lupin po namyśle pytał dalej:

- To on dowodził wami wszystkimi?

- Tak, on.

- Ale on miał współnika, towarzysza?

- Ach, zamilcz pan... zamilcz pan...

Na twarzy kelnera malował się przejmujący strach. Lupin wyczytał na niej podobny strach i wstręt, jaki odczuwał sam na myśl o mordercy.

- Kto to jest? Widziałeś go?

- O, nie mówmy o nim... o nim nie trzeba mówić!...

- Kto to jest, pytam się ciebie?

- To pan... to wódcz... nikt go nie zna.

- Aleś ty go widział. Odpowiadaj. Widziałeś go?

- Czasami, w ciemnościach... nocą, nigdy za białego dnia. Jego rozkazy dochodzą na karteczkach... albo przez telefon.

- Jak on się nazywa?

- Tego nie wiem. Mały jest, szczupły... blondyn...

- I zabija, nieprawdaż?...

- Tak, zabija... jak gdyby nigdy nic... sprawnie, cicho, gładko, tajemniczo...

Głos mu drżał. Szepnął błagalnie:

- Nie mówmy już o nim... mówię panu... To przynosi nieszczęście.

Lupin umilkł; strach tego człowieka pomimo woli robił na nim wrażenie.

Myślał dłuższą chwilę, wreszcie powstał i zwrócił się do kelnera:

- Oto masz pieniądze, ale jeżeli chcesz żyć w spokoju najmądrzej zrobisz, jeżeli o naszym spotkaniu nie piśniesz ani słowa.

Wyszedł z restauracji wraz z Dondevillem i milcząc szli wzdłuż ulicy. Nareszcie ujął towarzysza pod ramię i rzekł:

- Słuchaj, mój drogi. Idź na dworzec Północny, zdążysz w sam czas na kurier do Luksemburga. Jedź do Veldeuz. W ratuszu z łatwością pokażą ci metrykę kawalera de Malreich i dadzą ci wyjaśnienia co do jego rodziny. Pojutrze, w sobotę, będziesz z powrotem. Zejdziemy się w południe w małej kawiarni na ulicy de la Révolte, nazywa się ta restauracja Buffalo. Przyjdź w przebraniu robotnika.

Zaraz nazajutrz od rana Lupin w przebraniu prostego rzemieślnika rozpoczął poszukiwania swoje w Neuilly na rue de

la Révolte pod numerem 3. Brama wjazdowa zamyka pierwsze podwórze, a w tym podwórzu mieści się całe miasteczko, szereg pasaży i warsztatów, rojących się ludnością rzemieślniczą, kobietami, wyrostkami. W parę minut umiał sobie zaskarbić sympatię odzwiernej, z którą gawędził godzinę o najrozmaitszych przedmiotach. Podczas tego zauważył przechodzących trzech ludzi, których wygląd go zainteresował.

- To gruby zwierz - pomyślał - z daleka zalatuje... po woni się to poznaje... Na pozór porządni ludzie! Ale wzrok dzikiego zwierza, który wie, że nieprzyjaciel jest wszędzie i że każdy krok, każda kępka trawy, kryć może zasadzkę.

Poszukiwania swoje ciągnął dalej po południu i w sobotę rano, i upewnił się, że siedmiu współników Altenheima mieszka w tych zabudowaniach. Czterech spomiędzy nich trudniło się handlem starzyzną, dwaj rozprzedają dzienników, a siódmy handlem rupieci i tak go też nazywano, Rupiecierzem.

Mijali się wzajemnie, jak gdyby się nie znali. Jednakże Lupin przekonał się, że wieczorem spotykali się w rodzaju szopy w głębi podwórza; szopy, w której Rupiecierz gromadził swoje towary: stare żelaziwo, zardzewiałe rury od pieców itp. ... i zapewne też różne kradzione przedmioty.

- No - myślał - sprawa się posuwa... Zażądałem miesiąca czasu, a tu dwa tygodnie wystarczą. I miło mi, że zacznę od tych łotrzyków, którzy mi urządzili kąpiel w Sekwanie. Gourelu, mój biedny stary, pomszczę cię nareszcie! A czas już przecież!

W południe wszedł do restauracji Buffalo, gdzie w małej, niskiej salce murarze i woźnice schodzili się na obiad.

- Ach, to ty, Dondeville! Dobrze, ciekaw jestem. Wywiedziałaś się? Widziałaś metryki? Prędko odpowiadaj!

- A więc to tak: ojciec i matka Altenheima umarli za granicą.

- Wiem.

- Zostawili troje dzieci.

- Troje?

- Tak. Najstarszy miałby dziś lat trzydzieści. Nazywał się Raul de Malreich.

- To byłby nasz Altenheim. Dalej.

- Najmłodsze dziecko to córka, Izilda. - W rejestrze świeżym atramentem dopisek „Zmarła”.

- Izilda... Izilda - powtórzył Lupin - tego się domyślałem. Izilda była siostrą Altenheima... Ale tamto, to trzecie dziecko, a raczej drugie?

- Syn. Miałby obecnie lat dwadzieścia sześć.

- Jego imię?

-Ludwik de Malreich.

Lupin drgnął.

- Ot co! Ludwik de Malreich... Litery L. M.... Morderca nazywa się Ludwik de Malreich... brat Altenheima i Izildy. I zabił oboje, by go wydać nie mogli...

- Czegóż by się mógł bać ze strony Izildy? Ona podobno była obłąkana?

- Obłąkana, to prawda, ale mogła pamiętać niektóre szczegóły z dzieciństwa. Mogła poznać brata, z którym się chowała... I to wspomnienie przypłaciła życiem.

- Obłąkana! - dodał. - Ależ ci wszyscy ludzie to szaleńcy. Matka wariatka... ojciec alkoholik... Altenheim bydlę zwyrodniałe... Izilda biedactwo o pomieszanych zmysłach... A tamten, morderca, to potwór z manią szaleńczą...

- Z manią szaleńczą, sądzisz, mistrzu?

- Tak, to wariat, to maniak! Miewający przebłycki genialne, szatańską bystrość i intuicję, ale okaz zwyrodniały, szaleniec, jak cała ta rodzina. Szaleńcy tylko mordują, zwłaszcza szaleńcy tacy jak on. Bo przecież...

Przerwał i twarz jego skurczyła się tak, że Dondeville się zadziwił.

- Co się stało, mistrzu?

- Patrz.

III

Wszedł mężczyzna jakiś, który zawiesił na kołku kapelusz - kapelusz czarny z miękkiego filcu. Usiadł przy małym stoliczku, przejrzał kartę, zamówił jedzenie i czekał nieruchomy, sztywny,

złożywszy ręce na stole.

Lupin mógł się dokładnie przypatrzeć jego twarzy.

Była to twarz szczupła i sucha, zupełnie bez zarostu, o głębokich oczodołach, w głębi których leżały oczy szare, koloru stali. Skóra, rozpięta na kościach jak pergamin, zdawała się tak twarda i zbita, że żaden włoszek porosnąć na niej nie mógł.

I twarz tę powlekała grobowa martwota. Nie ożywiał jej żaden wyraz. Zdawało się, że pod tym czołem jak ze słoniowej kości nie gnieździ się żadna myśl. Bezrzęse powieki nie poruszały się wcale, a oczy miały sztywność wzroku posągu.

Lupin gestem przyzwał służącego.

- Któż jest ten pan?

- To nasz klient. Przychodzi tu dwa albo trzy razy w tygodniu.

- Wiesz pan, jak się nazywa?

- Ależ tak!... To pan Leon Massier.

- Ach! - szepnął Lupin wzruszony. - L. M... te dwie litery... czyżby to był Ludwik Malreich?

Lupin przyglądał się z chciwą ciekawością.

- Co on robi, ten pan? - zapytał jeszcze.

- Doprawdy, nie umiem powiedzieć. To jakiś dziwaczny jegomość... Jest zawsze sam... nie mówi do nikogo... My tu nie wiemy nawet, jak brzmi jego głos... Palcem wskazuje na karcie, czego mu potrzeba... Nim minie dwadzieścia minut, a już zjadł, zapłacił, poszedł.

- I on tu przychodzi?

- Co cztery dni, co pięć dni... Rozmaicie.

- To on, to tylko on być może - powtarzał w duchu Lupin - to Malreich... To te ręce, co mordują... to ten mózg, co upaja się zapachem krwi... To ten potwór... to ten wampir...

A jednak, czyż to podobna? Lupin w końcu tak przywykł uważać wroga swego za istotę zupełnie fantastyczną, że nie mógł się z tym pogodzić, że on chodzi, je i pije, jak pierwszy lepszy.

- Wyjdźmy już, Dondeville!

- Co panu jest, mistrzu? Tak pan pobladł?

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Pójdźmy!

Na ulicy odetchnął głęboko, otarł czoło z potu i szepnął:

- Lepiej mi teraz. Tchu mi brakło.

I opanowawszy się dodał:

-Zbliża się rozwiązanie. Od tyłu tygodni walczę po ciemku z wrogiem niewidzialnym. A oto nagle los stawia mi go na mojej drodze! Teraz szanse zrównane.

W jakie dziesięć minut później Leon Massier wyszedł i oddalił się, nie uważając nawet, że ktoś idzie za nim. Zapalił papierosa i palił, jedną rękę założywszy w tył; szedł, jak gdyby spokojnie zażywał spaceru, słońca i świeżego powietrza, nie podejrzewając, że go ktoś śledzi.

Przeszedł poza roгатkę, spacerował wzdłuż fortyfikacji i wrócił znowu w te same strony.

Czy on też wejdzie do zabudowań pod numerem 3? Lupin gorąco tego pragnął, bo miałby pewny dowód wspólnictwa jego z bandą Altenheima; ale on zawrócił i wszedł w ulicę Delaizement. Szedł nią długo, aż doszedł do małego, odosobnionego pawilonu, otoczonego ogródkiem.

Leon Massier zatrzymał się, dobył pęk kluczy z kieszeni, otworzył najpierw furtkę, następnie drzwi pawilonu i zniknął.

Lupin zbliżył się ostrożnie. Zauważył zaraz, że nieruchomości ulicy de la Révolte przedłużały się od tyłu aż do muru ogródka. Podeszedłszy bliżej zobaczył, że mur ten był bardzo wysoki i że szopa zbudowana w głębi ogródka dotykała tego muru.

Rozejrzawszy się po okolicy upewnił się, że szopa ta przytyka do szopy stojącej w tylnym podwórzu numeru trzeciego, a będącej składem rzeczy Rupieciarza.

- Nie myliłem się - rzekł Lupin - Leon Massier i Ludwik de Malreich to jeden i ten sam. Upraszcza się sytuacja.

- Tak - potwierdził Dondeville - za kilka dni załatwi się już wszystko.

- Kto to wie! Ja zawsze miałem przecucie, że ten potwór nieszczęście przyniesie!

Odtąd chodziło o to, by poznać sposób życia Malreicha, by wiedzieć o czynach jego i ruchach.

Dziwaczne było to życie, jak świadczyli sąsiedzi, których Dondeville rozpytywał. Człowiek ten mieszkał tam od kilku miesięcy zaledwie. Nie widywał i nie przyjmował nikogo. Nie

miał służącego. A okna - stale, nawet nocą, otwarte - zawsze były ciemne, nigdy ich nie oświecało światło lampy ani świecy.

Tak więc Leon Massier zamieszkiwał dom przytykający do miejsca, gdzie gromadziło się siedmiu współników szajki Altenheima. Wynikało stąd, że Leon Massier był hersztem naczelnym, dowodzącym tą szajką, i że komunikował się ze współnikami jakimś przejściem, istniejącym pomiędzy dwiema szopami.

Zresztą najczęściej Leon Massier wychodził o zmierzchu, a wracał bardzo późno, niejednokrotnie o świcie.

- A czy wiadomo, co robi? - pytał Lupin swego towarzysza.

- Nie. Tryb jego życia jest nieregularny, znika czasem na kilka dni... a może raczej zamyka się u siebie. Ostatecznie nic o nim nie wiadomo.

- Otóż dowiemy się i tego wkrótce.

Mylił się jednak. Po tygodniu usilnych starań i zabiegów niczego się więcej nie dowiedział o tym człowieku. Często, gdy tropił go z daleka, tracił go nagle z oczu - widocznie znikał gdzieś w przechodniej jakiej kamienicy, a znów niekiedy jakby ulatniał się wśród tłumu. Wtedy Lupin wściekły, zawiedziony, biegł na ulicę Delaizement i stawał na swym posterunku. Upływały minuty, upływały kwadranse i godziny, noc nieraz zachodziła późna.

I nagle zjawiał się z powrotem tajemniczy człowiek.

Gdzie się przez ten czas podziewał? Co mógł robić?

IV

- Telegram miejską pocztą dla pana, mistrzu - rzekł Dondeville pewnego wieczora około godziny ósmej, odnalazwszy Lupin na ulicy Delaizement.

Lupin rozdarł kopertę. To pani Kesselbach wzywała go na pomoc.

O zmierzchu dwóch ludzi zatrzymało się pod oknami i jeden z nich mówił: „A więc umówione, zabierzemy się do niej dziś w nocy”. Zeszła na dół i przekonała się, że jedna z okiennic była

otwarta i że dawała się z zewnątrz otworzyć.

- No - rzekł Lupin - nieprzyjaciel, jak widzę, sam wydaje nam bitwę. Tym lepiej! Dość mi wyczekiwania pod oknami Malreicha!

- Czy on jest w tej chwili w domu?

- Nie, nie ma go, znowu mi zniknął i to w samym środku Paryża... Ale przede wszystkim uważaj dobrze, Dondeville. Zbierz dziesięciu naszych najpewniejszych ludzi i zaprowadź ich na ulicę des Vignes. Dwaj już są tam na straży. Porozumiej się z nimi i o wpół do dwunastej przyjdź złączyć się ze mną na rogu ulic des Vignes i Raynouard. Stamtąd czuwać będziemy nad domem.

Dondeville oddalił się. Lupin poczekał jeszcze z godzinę, aż spokojna ulica Delaizement opustoszała zupełnie, a potem - widząc, że Leon Massier nie wraca - zdecydował się wejść do pawilonu.

Nikogo naokoło... Wyskoczył na kamienne podmurowanie furtki. W chwilę potem był na miejscu.

Miał zamiar wysadzić drzwi, przetrząsnąć pokoje w celu odszukania sławnych listów cesarza, zrabowanych przez Malreicha w Veldeuz. Pomyślał jednak, że przede wszystkim jeszcze należy zbadać szopę.

Zdziwił się bardzo widząc, że szopa otwarta, że pusta zupełnie i że nie ma drzwi wybitych w murze.

Szukał długo, lecz daremnie. Na zewnątrz jednak spostrzegł drabinkę opartą o szopę, a służącą widocznie do wydostania się na niski stryszek pod dachem tejże szopy.

Stare paki, snopki słomy, narzędzia ogrodnicze zapełniały ten strych, dostrzegł jednak wśród tych gratów przejście, prowadzące do muru. Na końcu przejścia w murze było okienko bez szyby.

Lupin żywo nacisnął sprężynkę latarki i spojrzał. Poza okienkiem była duża szopa, skład starego żelaziwa i innych przedmiotów.

- Otóż mam - pomyślał Lupin - to okienko wybite jest w ścianie szopy Rupieciarza i przez nie to Ludwik Malreich widzi, słyszy i śledzi swoich współników, sam ani widziany przez nich,

ani słyszany. Teraz rozumiem, jakim to się sposobem dzieje, że oni wodza swego nie znają!

Teraz zgasił światło i zamierzał wyjść, gdy w szopie naprzeciw otwały się drzwi i ktoś wszedł. Zapalono lampę. Poznał Rupieciarza.

Lupin postanowił pozostać, gdyż i tak wyprawa nie mogła wyruszyć, dopóki Rupieciarz był w domu.

Rupieciarz wydobyl z kieszeni dwa rewolwery, obejrzał je dokładnie, zmienił ładunki; robił to powoli, pogwizdując jakąś operetkową piosenkę.

Trwało to może godzinę; wreszcie powoli uchyliły się drzwi i wszedł do szopy jeden z bandytów, potem drugi, trzeci, czwarty...

- Jesteśmy wszyscy - przemówił Rupieciarz. - Teodor i Grubas zjedzą się z nami na miejscu. No dalej, nie traćmy czasu. Macie wszyscy broń?

- Jakżeżby!

- To dobrze. Gorąca będzie przeprawa!

- A skądże wy to wiecie, Rupieciarzu, że będzie gorąca?

- Widziałem się z wodzem... Jeżeli mówię „widziałem się”, to tylko tak sobie... Ale mówił ze mną...

- Tak - zauważył jeden z ludzi - w ciemności, jak zawsze, gdzieś zza węgła... Ach, wołałem już sposoby Altenheima. Przynajmniej człowiek wiedział, co robi.

- A teraz nie wiesz - odpowiedział Rupieciarz. - Toż mamy grabić mieszkanie Kesselbachowej!

- A dwaj stróże? Te dwa draby, których Lupin ustawił na straży?

- Ci nam nie zaszkodzą... Siedmiu nas jest.

- A z Kesselbachową to jak?

- Najpierw zakneblować jej buzię, a potem sznur... i tu ją sprowadzicie... O, tu na tej starej kanapie ułożyć ją macie... Tu czekać będziecie na dalsze rozkazy.

- A czy dobrze zapłaci?

- Przede wszystkim dla was klejnoty Kesselbachowej.

- Tak, jeżeli się uda, ale co dostaniemy na pewno?

- Po trzy banknoty stufrankowe z góry dla każdego. A po

wszystkim drugie tyle.

- Masz pieniądze w ręku?

- Mam.

- No to dobrze. Można sobie mówić, co się komu podoba, ale już jak chodzi o zapłatę, to nie znajdzie drugiego takiego.

I dorzucił tak cichutko, że Lupin ledwie dosłyszał:

- Ale powiedz jeszcze, Rupieciarzu, jeżeli przyjdzie wziąć się do noża, czy jest za to osobna premia?

- Tak, jak zawsze. Dwa tysiące.

- A jeżeli to Lupin?

- Za niego trzy tysiące.

- Ach, gdyby tego można dostać!

I jeden za drugim powychodzili z szopy.

Lupin usłyszał jeszcze te słowa Rupieciarza:

-Oto taki plan ataku: dzielimy się na trzy grupy. Gwizdek... i wszyscy marsz! Naprzód!

Lupin śpiesznie wyszedł ze swej kryjówki, zszedł po drabince, obszedł pawilon nie wchodząc do niego i znów przekroczył sztachety.

- Tak, prawdę mówił Rupieciarz, gorąca będzie przeprawa... A! Do mojej skóry radzi by się dobrać! Premia za Lupin! Łajdaki!

Wsiadł w autotaksometr.

- Na ulicę Raynouard!

Wysiadł na trzysta kroków od rogu des Vignes i dalej poszedł pieszo.

Ku wielkiemu swemu zdumieniu nie zastał Dondeville'a na rogu ulicy.

-To dziwne - pomyślał - a przecież to już dwunasta... Coś mi to podejrzenie wygląda.

Począł cierpliwie dziesięć, potem dwadzieścia minut. Nikt się nie zjawił. Czekać dłużej było niebezpiecznie. Ostatecznie, choć Dondeville ze swoimi nie stawił się, to był przecież stary Charolais z synem, stojący na straży... we trzech odeprą atak, zwłaszcza z pomocą służby...

Ruszył tedy. Idąc jednakże zauważył dwóch ludzi, skradających się w cieniu. Poznał w nich forpoczty szajki,

Teodora i Grubasa.

-Oj, do licha! - szepnął. - A tom się zapóźnił!

Nagle odezwał się świst gwizdawki gdzieś z drugiej strony domu. Na ten znak dwaj ludzie przyśpieszyli kroku i wskoczyli przez otwarte okno.

Lupin rzucił się, wskoczył na balkon i dostał się do sieni. Po odgłosie kroków miarkując wnosił, że napastnicy przeszli do ogrodu; to go uspokoiło. Stary Charolais i syn jego musieli także słyszeć sygnał...

Wybiegł więc na górę po schodach. Pokój pani Kesselbach znajdował się na pierwszym piętrze. Wbiegł tam pośpiesznie.

Przy świetle nocnej lampki ujrzał Dolores leżącą na otomanie, zemdloną. Rzucił się ku niej, uniósł ją i głosem rozkazującym zmusił ją do odpowiadania.

- Gdzie Charolais? Gdzie jego syn? Gdzie są?

- Jak to? - szepnęła. - Przecież odeszli...

- Co? Odeszli?

- Pan pisał do mnie... godzinę temu... telegram nadany telefonem...

Podniósł leżącą obok niebieską kartkę i czytał:

Niech pani natychmiast odeśle obu stróżów i wszystkich moich ludzi. Czekam ich w Grand Hotelu. Niech się pani niczego nie boi.

- Do stu piorunów! I pani uwierzyła! A służba pani?

- I oni sobie poszli.

Lupin podszedł do okna. Trzech ludzi nadchodziło z głębi ogrodu.

Przez okno sąsiedniego pokoju, wychodzące na ulicę, ujrzał zbliżających się jeszcze dwóch.

Pomyślał o Teodorze, o Grubasie, a zwłaszcza o Ludwiku Malreich, który prawdopodobnie snuł się gdzieś w cieniu, straszny, niewidzialny.

- Nie ma co - szepnął - zaczynam przypuszczać, że tym razem jestem zgubiony...

ROZDZIAŁ IX MORDERCA W CZERNI

I

Błyskawicznie przeniknęło Lupin wrażenie, pewność, że z bajeczną zręcznością wciągnięto go w zasadzkę.

Wszystko było z góry obmyślane, ułożone - tak oddalenie jego ludzi, usunięcie czy też zdrada służby, jak i obecność jego w domu pani Kesselbach.

I udało się wszystko po myśli nieprzyjaciela, dzięki cudownie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności - gdyż ostatecznie mógł tu nadejść, zanim sfalszowany telegram usunął jego ludzi... Ale w takim razie byłaby to bitwa bandy Altenheima z jego bandą. I Lupin, przypominając sobie postępowanie Malreicha, morderstwo Altenheima, Gertrudy, otrucie obłąkanej w Veldeuz - Lupin zadawał sobie pytanie, czy fortel ten skierowany był jedynie przeciwko niemu i czy Malreich nie przewidywał prawdopodobieństwa ogólnej rzezi i usunięcia niewygodnych mu już teraz współników?

Była to raczej intuicja, myśl przelotna, która mu przeszła przez głowę. Teraz należało działać. Należało bronić Dolores, o której porwanie, bądź co bądź, widocznie tu chodziło.

Odchylił okno i wycelował rewolwer. Wystrzał... alarm w okolicy... a bandyci się rozproszą...

- Otóż nie... - szepnął. - Nie, powiedzą o mnie, że unikałem walki. Nazbyt to piękna sposobność... A zresztą, kto wie, czy oni by uciekli!... Są liczebnie silniejsi i nic sobie nie robią z sąsiadów.

Wrócił do pokoju Dolores. Na dole rozległ się hałas. Lupin zamknął drzwi na klucz.

Dolores płakała, miotając się spazmatycznie.

- Niech pani zbierze siły - błagał Lupin - jesteśmy na pierwszym piętrze. Pomogę pani spuścić się oknem... Zrobię

sznur z prześcieradeł...

- Nie, nie, niech mnie pan nie opuszcza... boję się... nie mam sił... Zabiją mnie... Niech mnie pan broni...

Wziął ją na ręce i przeniósł ją do drugiego pokoju.

-Niech się pani stąd nie rusza i niech się pani uspokoi - szepnął, pochylając się nad nią. - Przysięgam pani, że dopóki żyję żaden z tych ludzi nie dotknie pani.

Wstrząśnięto drzwiami pierwszego pokoju. Dolores, czepiając się go, krzyknęła:

- Ach, to oni!... To oni!... Zabiją pana... jesteś pan sam...

- Nie jestem sam... - odpowiedział gorącym szeptem - pani jest... pani tu, przy mnie...

Chciał się uwolnić. Chwyliła głowę jego w obydwie ręce i topiąc w oczach jego głębokie spojrzenie szepnęła:

- Dokąd pan idzie?... Co pan chce zrobić? Nie... Nie umieraj pan... ja nie chcę... żyć trzeba... trzeba...

Szeptala jeszcze jakieś słowa, których on nie dosłyszał i które jak gdyby tłumila na ustach, wreszcie wyczerpana do ostatka opadła bez świadomości.

Nachylił się nad nią i patrzył na nią przez chwilę. I lekkim pocałunkiem musnął jej włosy.

A potem wrócił do drugiego pokoju, zamknął starannie drzwi między obu pokojami i zapalił elektryczne światło. Przedtem jeszcze ustawił parawan w ten sposób, by zasłonić kanapę, na której przed chwilą leżała pani Kesselbach, a na kanapę tę rzucił kilka sukien i kołdrę.

Zdawało się, że drzwi się zerwą pod naporem szturmujących.

- Jestem! Jestem! Już idę! - krzyknął Lupin. - Jesteście gotowi? Dalej naprzód, proszę! Kto z panów pierwszy?

Szybko otworzył drzwi kluczem i odciągnął zasuwkę.

Krzyki, groźby, pomruki nienawiści w obramieniu otwartych drzwi...

A jednak nikt nie ośmielał się wysunąć. Zanim się rzucą na Lupin wahali się, zdjęci trwożnym niepokojem...

On to przewidział.

Stojąc w samym środku pokoju - w pełnym świetle, z wyciągniętą ręką - trzymał w palcach plik banknotów, które

dzielił, licząc po jednym, na siedem równych części.

-Trzy tysiące franków premii - oświadczył spokojnie - dla każdego, jeżeli Lupin wyprawicie na tamten świat? Wszak prawda, tyle wam obiecano? Otóż tu jest drugie tyle!

Porozkładał banknoty paczkami na stole.

-Bajki arabskie! - ryknął Rupieciaz. - On tylko chce zyskać na czasie! Hejże na niego!

Zamierzył się, ale towarzysze go wstrzymali.

Lupin zaś ciągnął dalej:

- Samo się zresztą rozumie, że to skądinąd nie zmieni celu waszej wyprawy. Przyszlście tu najpierw, żeby porwać panią Kesselbach, a przy tym, ażeby się obłowić jej klejnotami. Otóż uważałbym się za ostatniego nędznika, gdybym wam w tym podwójnym zamiarze miał przeszkadzać.

- Cóż to? Do czego on zmierza? - mruknął Rupieciaz, słuchając mimo woli.

- Ach, Rupieciazu, zaczyna cię to interesować? Wejdźcie tu, proszę... czyżbyście się bali? Sam przecież jestem!

Wsunęli się do pokoju, zaciekawieni, ale nieufni.

- Zamknij drzwi, Rupieciazu, tak nam będzie milej. Dziękuję. Ach, widzę, nawiasem, tysiączki zniknęły! To znaczy, że się zgadzacie. Jak to jednak łatwo o porozumienie pomiędzy uczciwymi ludźmi!...

- No i cóż dalej?

- Co dalej? No, skoro już jesteśmy współnikami...

- Jak to współnikami?...

- To dobre! Przecież przyjęliście pieniądze ode mnie! A więc też idziemy razem i razem też najpierw porywamy młodą osobę, a potem bierzemy klejnoty do podziału.

- Ciebie nam nie potrzeba! - roześmiał się Rupieciaz.

- Owszem, mój miły!

- Do czego?

- Do tego, że wy nie wiecie, gdzie jest kryjówka z klejnotami, a ja o tym wiem.

- Znajdziemy ją sami!

- Nie uda się to wam tak łatwo.

- A więc gadaj. Czego chcesz?

- Chcę należeć do równego działu biżuterii wdowy.

- A czemuż to wszystkiego nie wzięłaś, skoro wiesz, gdzie jest kryjówka?

- Bo sam jej otworzyć nie mogę. Jest tam jakiś sekret, którego ja nie znam. A że tu jesteście, więc chcę was użyć.

Rupieciarz wahał się.

-Dzielić się... dzielić się... Będzie tam kilka kamyczków i może trochę miedzi.

-Głupiś! To co jest warte z milion, a może i więcej!

Bandyci aż zadrżeli, takie to na nich zrobiło wrażenie.

- No, niech już będzie - mruknął Rupieciarz - ale jeżeli tymczasem Kesselbachowa czmychnie? Ona jest w drugim pokoju, nieprawdaż?

- Nie, ona jest tu!

Lupin na chwilę uchylił parawanu i ukazał kupę sukien i kołder, którą ułożył na sofie.

- Tu leży zemdlona. Ale ja jej nie wydam, dopóki podziału nie dokończymy.

- A jednak...

- Jak wam się podoba. To nic, że jestem sam. Wy wiecie, com ja wart. A zatem...

Ludzie zaczęli się naradzać.

- Gdzie jest kryjówka? - zapytał Rupieciarz.

- Pod paleniskiem kominka. Ale jeżeli się nie wie, jak ją otworzyć trzeba najpierw podnieść cały kominek, lustro, marmurowe gzymsy i wszystko to naraz, zdaje mi się. Ciężka robota!

-Ba! Siły nam nie brak. Zaraz zobaczysz. Za pięć minut...

Wydał rozkazy i zaraz też towarzysze jego zabrali się do dzieła z werwą i z wzorową karnością. Dwóch, stojąc na krzesłach, starało się unieść lustro. Czterech zabrało się do samego kominka. Rupieciarz, klęcząc, czuwał nad paleniskiem i komenderował:

- Dalej chłopcy... razem moi drodzy... Uważać... raz, dwa... O... już się rusza...

Nieruchomy poza nimi, z rękoma w kieszeniach, Lupin przyglądał się z rozczuleniem, a zarazem pysznił się w duchu

tym dowodem siły swej, wyższości i władzy nad drugimi. Jakżeż oni mogli choć przez chwilę uwierzyć w tę niestworzoną historię i oddać mu w ręce wszelkie szanse wygranej?

Dobyl z kieszeni dwa rewolwery, wyciągnął obie ręce i spokojnie wziął na cel dwóch pierwszych, których postanowił położyć.

Padły dwa strzały i zaraz potem następne dwa.

Podniósł się ryk... Czterech ludzi padło na ziemię.

-Czterech od siedmiu, pozostaje trzech - przemówił Lupin. - Czy mam dalej strzelać?

Nie spuścił rąk, lecz trzymał je wyciągnięte, nie spuszczać z celu Rupieciarza i dwóch jego towarzyszy.

- Niegodziwiec! - mruknął Rupieciarz, ręką w kieszeni szukając broni.

- Ręce w górę! - krzyknął Lupin - Inaczej strzelam... Dobrze, a teraz, wy dwaj, rozbroić go natychmiast, bo jeżeli nie...

Obaj bandyci, wystraszeni, unieruchomili swego wodza.

-Zwiążcie go!... Zwiążcie do diabła!... Co wam to szkodzi? Gdy sobie pójdę będziecie wszyscy wolni... No już? Naprzód ręce, waszymi paskami... a teraz nogi... razem... Prędszej!

Rozbrojony, zwyciężony, już się Rupieciarz nie bronił. Podczas gdy go towarzysze wiązali Lupin nachylił się nad nimi i dwa potężne ciosy ręką w wymierzył im w głowę. Padli ogłuszeni.

-Ot, dzielnie się spisałem - odetchnął Lupin - a teraz trzeba się przekonać, co się dzieje z tą biedaczką!

Podszedł do drzwi sąsiedniego pokoju i otworzył je.

- Ach! - krzyknął zdumiony i pełen wzburzenia.

Pokój był pusty.

Zbliżył się do okna i ujrzał drabinkę opartą o balkon, drabinkę stalową, składaną.

-Porwana... porwana... - szepnął. - Czyżby Ludwik Malreich? Ach, niegodziwiec...

II

Lupin zastanowił się chwilę i rozważywszy, że pani Kesselbach najprawdopodobniej nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo wybiegł na ulicę i sprowadził dwa autotaksametry. Zapewniwszy sobie dobrym napiwkami pomoc obu woźniców zapakował siedmiu bandytów do obu wehikułów, sam skoczył na kozioł i kazał jechać do więzienia Sûreté.

Gdy stanęli przed Pałacem Sprawiedliwości i przed więzieniem Lupin wyskoczył i prosto podążył do centralnego biura.

Dwóch inspektorów dyżurowało tam stale.

- Przywożę panom grubą zwierzynę - rzekł wchodząc Lupin - czy zastałem pana Webera?

- Pan Weber jest w swoim gabinecie. Czy mamy go uprzedzić?

-Zaraz. Spieszę się bardzo. Zostawię słówko do pana Webera. Siadł przed stołem i napisał:

Kochany panie Weber!

Przywożę panu siedmiu bandytów, którzy składali szajkę Altenheima. To są ci, co zamordowali Gourela i wielu innych, i mnie również pod imieniem pana Lenormand.

Pozostaje już tylko ich wódz. Zabieram się do zaaresztowania go natychmiast. Niech pan przybywa w ślad za mną. On mieszka w Neuilly, ulica Delaizement i przybrał nazwisko Leona Massier.

Szczerze pozdrowienia łączy

*Arsen Lupin
Szef bezpieczeństwa*

Pomimo całej swojej zimnej krwi i panowania nad sobą Lupin nie mógł przezwyciężyć ogarniającego go wzruszenia. Czy odnajdzie Dolores Kesselbach? Czy Ludwik Malreich zaprowadził ją do siebie, czy do szopy Rupieciarza?

Lupin zabrał Rupieciarzowi klucz od tej szopy, tak że łatwo mu przyszło dostać się do niej.

Zapalił latarnię i rozejrzał się. Nieco na uboczu - na kanapie, o której mówił Rupieciarz - dostrzegł czarną postać.

Otulona koldrą, z zakneblowanymi ustami, leżała Dolores...

Podążył ją ratować...

- Ach, pan tu... pan jest... - szeptała. - Czy nic złego nie zrobili panu?

I zaraz też, wskazując tylną ścianę magazynu, dodała:

- Tam... tam... tam poszedł... słyszałam... pewna jestem... Trzeba tam iść... proszę pana!...

- O panią mi przede wszystkim idzie...

-Nie... on przede wszystkim... idź pan... proszę... zabij go pan...

Strach tym razem, zamiast ją pognać, sił jej niezwykłych dodawał i powtarzała, pragnąc gorączkowo wydać straszego wroga, który ją dręczył:

- On przede wszystkim... Ja już żyć nie mogę... musi mnie pan uratować przed nim... koniecznie... ja żyć już nie mogę...

Rozpętał wiążące ją sznury, ułożył ją starannie na sofie i rzekł:

- Pani ma słuszność... Zresztą tu nic pani nie grozi... Niech pani czeka tu na mnie... Wróć.

Gdy już miał odchodzić chwyciła go żywo za rękę.

- Ale pan?... Gdyby ten człowiek...

Zdawało się, że lęka się o niego i że w ostatniej chwili rada by go zatrzymać.

-Dziękuję - szepnął Lupin - niech pani będzie spokojna. Czegóż się mam bać? Sam jest...

I poszedł w głąb szopy. Tak jak się tego spodziewał znalazł tam drabinkę opartą o ścianę, a doprowadzającą do małego okienka, przez które przyglądał się schodzącym się bandytom. Tą drogą Malreich wracał do domu swego przy ulicy Delaizement.

Przeszedł więc tamtędy, przeszedł do drugiej szopy i zeszedł do ogrodu. Znalazł się tym sposobem z tyłu za pawilonem, zajętym przez Malreicha.

Dziwna rzecz, ani przez chwilę nie wątpił, że Malreich tam się znajduje. Niewątpliwie musiał się z nim spotkać i straszny pojedynek, który toczyli między sobą, miał dobiec do końca.

Jeszcze kilka minut tylko...

Zdumiał się. Nacisnął klamkę - drzwi się otworzyły. Pawilon nie był nawet zamknięty.

Przeszedł przez kuchnię, korytarz, wszedł na schody; siedł dalej swobodnie, nie starając się nawet przygłuszać własnych kroków.

Na podejściu schodów przystanął. Pot spływał mu z czoła i skronie, krwią nabiegłe, tętniły.

Nie tracił jednak spokoju, panował nad sobą i świadom był każdej swej myśli.

Złożył na stopniu obydwie rewolwery.

- Pójdę bez broni - rzekł sobie - niech to wystarczy... tak będzie lepiej.

Przed sobą miał troje drzwi do wyboru. Wybrał środkowe i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bez przeszkody. Wszedł.

Nie było światła w pokoju, lecz przez otwarte okno wpływał szary mrok nocy, a w cieniu białeły prześcieradła i białe zasłony łóżka.

Było tam widać czyjąś postać.

Lupin w tym kierunku rzucił ostry błysk latarki.

To Malreich!

Żółtoblada twarz Malreicha, ponure jego oczy, trupia, zwiędła cera, wychudzona szyja a...

I wszystko takie nieruchome tuż o parę kroków... niepodobna rozeznąć, czy ta trupia twarz wyraża choć odrobinę strachu, czy choć trochę niepokoju.

Lupin postąpił naprzód o krok... potem o dwa kroki... wreszcie odważył się na trzeci...

Tamten nie poruszył się z miejsca.

Czy on widział? Czy rozumiał? Można by myśleć, że oczy jego patrzą w próżnię i że mniema, iż halucynacja jakaś go nawiedza, nie żywy człowiek.

Lupin przysunął się jeszcze.

- Będzie się bronił - pomyślał - musi się bronić...

Lupin wyciągnął rękę.

Tamten ani drgnął, ani się cofnął, powiekami nawet nie ruszył.

Zetknęli się.

I w chwili owej Lupin, wzburzony, przerażony, stracił zupełnie głowę. Przewrócił niemego człowieka, rzucił go na łóżko, zawinął w prześcieradło, w kołdrę i trzymał go, cisnąc kolanem, jak łup... pomimo że tamten ani ruchem jednym nie stawiał oporu.

- Ach, mam cię nareszcie - wołał pijany radością i nienawiścią - mam cię nareszcie, zgmiotłem cię, zwyciężyłem, ty zwierzę nieczyste!

Nagle z dołu, z ulicy Delaizement doleciał go głos dobijania się do furtki. Skoczył do okna.

- Ach to pan, panie Weber! - zawołał. - Już! Jak to dobrze! Wyłam pan furtkę i przybywaj tu!

Z najwyższym pośpiechem przetrząsnął ubranie swego więźnia, pochwycił portfel jego, papiery, które mógł znaleźć w szufladkach biurka i wszystko to wysypał na stół i przejrzał.

Krzyknął z radości; była tam paczka listów, tych sławnych listów, które obiecał cesarzowi!

Pokładł resztę papierów na swoje miejsce i pobiegł do okna.

- Wejź pan, panie Weber! Znajdziesz pan mordercę Kesselbacha na łóżku... gotów jest i związany... Do widzenia, panie Weber!

I szybko zbiegłszy po schodach pobiegł do szopy i podczas gdy Weber wchodził do pawilonu on biegł odszukać Dolores Kesselbach.

Tak więc sam jeden poskromił i zatrzymał siedmiu towarzyszy Altenheima!

I wydał w ręce sprawiedliwości wodza tajemniczej bandy, bezecnego potwora, Ludwika de Malreich...

III

Na obszernym drewnianym balkonie młody człowiek siedział przy stole i pisał.

Chwilami podnosił głowę i rozmarzonym wzrokiem spoglądał na falisty krajobraz wzgórz, wśród których jesienną

porą огоłoczone drzewa zrzuciły ostatnie liście na czerwone dachy willi i na trawniki ogrodów.

Po chwili podniósł ze stołu białą kartkę papieru i zaczął głośno czytać:

*Płynie życia nurt przezroczy
Niby rzeka na dolinie -
Rzeka fale w morze toczy,
W bezkres śmierci życie spłynie...*

- Wcale nieźle! Wcale nieźle! - odezwał się głos poza nim.

- Pan!... Pan tu! - szepnął młody człowiek przerażony.

- Tak, tak, poeto. To ja, to Arsen Lupin. Przyszedłem odwiedzić drogiego przyjaciela mojego, Piotra Leduc!

Młodzieniec zaczął drżeć, jakby nim febra zatrzęsała.

- Czy nadeszła godzina?

-Tak, mój kochany... nadeszła godzina i pora ci już porzucić to rozkoszne życie poety, które wiesz u stóp Genowefy i pani Kesselbach... pora ci odegrać rolę, którą dla ciebie w swojej sztuce wyznaczyłem. Piękna to sztuka, mogę cię zapewnić, dramacik dobrze zbudowany, wedle wszelkich zasad sztuki z tremolandem, śmiechem i zgrzytaniem zębów!... Dochodzimy do piątego aktu, zbliża się rozwiązanie, a ty, Piotrze Leduc, jesteś bohaterem! Co za zaszczyt!

Młodzieniec powstał.

- A jeżeli ja odmówię?

- Idioto!

- Tak, a jeżeli odmówię? Ostatecznie któż mnie zmusi poddać się pańskiej woli? Kto mnie zmusi przyjąć rolę, której nie znam dotąd, ale która wstrętną mi jest z góry i której się wstydzę!

- Idioto! - powtórzył Lupin.

I przymusiwszy Piotra Leduc, by usiadł, usiadł przy nim i słodkim głosem jął mu perswadować:

- Ty zdajesz się zapominać, luby młodzieńcze, że nie nazywasz się Piotr Leduc, ale Gerard Beaupré. Jeżeli zaś nosisz wspaniałe imię Piotra Leduc, to dlatego tylko, że ty, Gerard Beaupré, zamordowałeś Piotra Leduc i stan jego cywilny mu

ukradłeś!

Młodzieniec aż podskoczył, pełen oburzenia.

- Zwariowałeś pan! Wiesz przecież dobrze, że sam wszystko ułożyłeś!

- Tak, to prawda, ja wiem, ale władze sądowe wiedzieć o tym nie będą; a co powiedzą władze sądowe, jeżeli ja im dowiodę, że prawdziwy Piotr Leduc umarł śmiercią gwałtowną, a ty podstawiliś się w jego miejsce?

Młodzieniec przerażony wyjąkał:

- Ależ... temu nie uwierzą!... Dlaczegoż bym miał to zrobić? W jakim celu ostatecznie?

- Głupi jesteś! Cel tak jest widoczny, że sam Weber by go zrozumiał. Kłamiesz, jeżeli mówisz, że nie możesz przyjąć roli, której nie znasz. Tę rolę ty znasz. To ta rola, którą odegrałby sam Piotr Leduc, gdyby żył...

- Ale któż to był? Kim ja mam być? Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć, do czego mam iść!

- A jeżeli będziesz wiedział czy pójdziesz prosto tą drogą?

- Tak, jeżeli cel, o którym pan mówi będzie tego wart.

- Czyżbym ja sobie, w przeciwnym razie, zadawał tyle trudu?

- Kimże ja jestem? Jakikolwiek ma być moje przeznaczenie bądź pan pewien, że potrafię odpowiedzieć mu godnie. Ale ja chcę wiedzieć. Kimże więc jestem?

Arsen Lupin zdjął kapelusz, skłonił się i rzekł:

-Hermanem IV, wielkim księciem Dwóch Mostów-Veldeuz, księciem Berncastel, elektorem Trewiru i panem ziem przyległych.

W trzy dni później Lupin wiozł panią Kesselbach automobilem w stronę granicy. Wieczorem stanęli w małym zameczku, strojnym w pnącze i kwiaty, pod olbrzymim dachem lupkowym, wpośród pięknego ogrodu i odwiecznych drzew.

Zastali tam już Genowefę.

-Oto siedziba pani - objaśnił Lupin. - Jest to zamek Bruggen. Tu pani bezpiecznie doczeka końca tych wydarzeń. Od jutra Piotr Leduc, którego uprzedziłem, będzie gościem pani.

Sam odjechał zaraz w kierunku Veldeuz i oddał hrabiemu Waldemarowi pakiet sławnych, przez siebie odnalezionych listów.

- Hrabia zna moje warunki - mówił Lupin. - Przede wszystkim chodzi o przywrócenie praw domowi Dwóch Mostów-Veldeuz i o przywrócenie na tron księcia Hermana IV.

- Zaraz dziś zacznę pertraktacje z Radą Regentów. O ile wiem, rzecz będzie łatwa. Ale ten wielki książę Herman...

- Jego Wysokość przebywa obecnie pod nazwiskiem Piotra Leduc, w zamku Bruggen. Dostarczę wszelkich potrzebnych dowodów i papierów dotyczących jego osoby.

Tegoż samego wieczora jeszcze Lupin wracał do Paryża, chcąc czynnie poprzeć proces Malreicha i siedmiu bandytów.

Dziwny oskarżony, ten, którego sędzia śledczy badał miesiącami, w czterech ścianach swego gabinetu! Dziwna osobistość, ten człowiek zwiędły, kościsty, o twarzy szkieletu, a oczach umarłego.

Zdawał się obecny, a nieprzytomny. Zdawał się duszą przebywać gdzieś indziej. I tak skąpy w odpowiedziach!

-Nazywam się Leon Massier.

Ponad to jedno oświadczenie sędzia nic z niego wydobyć nie mógł. Nie bronił się wobec najcięższych zarzutów. Czy nie bronił się dlatego, że tłoczył go i przygnębiał materiał dowodowy, skrzętnie zebrany i dostarczony przez Lupin?

Nie buntował się. Nie poruszył się nawet. I nie przemówił.

Jak woskowa figura, zdawało się, że nie słyszy i nie widzi! Nieludzki spokój i obojętność... Widownię całą dreszcz przecho-dził. Podniecona, podrażniona wyobraźnia ludzi widziała w nim nieomal nie człowieka, ale jakąś nadprzyrodzoną istotę, złośliwego ducha legend wschodnich, któregoś z bożków indyjskich, uosobień dzikości, okrucieństwa i krwiożerczej, niszczycielskiej siły...

Na pozostałych bandytów patrzono jak na nic nie znaczących pomocników, niknących w cieniu tego przemożnego wodza.

Najbardziej wzruszające było świadectwo pani Kesselbach. Ku ogólnemu zdziwieniu, niespodzianie dla samego Lupin, Dolo-res, która na żadne z wezwań sędziego nie odpowiedziała,

której miejsca pobytu nawet nie znano, Dolores zgłosiła się, zboląła wdowa, by złożyć niezaprzeczone świadectwo przeciw mordercy męża.

Oświadczyła po prostu, przypatrzwszy mu się długo:

- To ten sam człowiek, który wkraść się do mojego domu przy ulicy des Vignes, który mnie uniósł i zamknął w szopie Rupieciarza. Poznaję go.

- Tak pani twierdzi?

- Przysięgam wobec Boga i wobec ludzi.

Nazajutrz Ludwik Malreich, mieniący się Leonem Massier, skazany został na śmierć.

- Ludwiku de Malreich, czy przyjmujesz wyrok? - zapytał przewodniczący ławy przysięgłych.

Nie odpowiedział nawet.

Na jedno pytanie tylko Lupin nie znajdował odpowiedzi. Dlaczego Malreich popełnił te wszystkie zbrodnie? Czego chciał? Do czego zmierzał?

Niebawem miał się o tym dowiedzieć i bliskim już był dzień, gdy drżący grozą, rozpaczą zdjęty, śmiertelnie zraniony miał poznać straszliwą prawdę...

Tymczasem, choć myślą czasem zabłądził w tę dziedzinę, Lupin sprawą Malreicha już się więcej nie zajmował.

Postanowiwszy zrzucić starą skórę, jak się wyrażał, uspokojony skądinąd co do losu pani Kesselbach i Genowefy, powiadamy zresztą przez Jana Dondeville, którego wysłał do Veldeuz, o przebiegu negocjacji między dworem niemieckim a regencją Dwóch Mostów- Veldeuz - obracał wszystek swój czas na likwidowanie przeszłości i przygotowanie przyszłości.

Myśl innego zupełnie życia, które zamierzał pędzić, poruszała w nim ambicje i nieprzewidziane uczucia, wśród których płątał się obraz Dolores, więcej nawet niż sam z tego zdawał sobie sprawę.

W ciągu kilku tygodni zniszczył wszelkie dowody dla siebie kompromitujące, wszelkie ślady, mogące wskazać nań kiedykolwiek.

Dał każdemu z dawnych towarzyszy swoich należytą kwotę pieniędzy, by ich uchronić przed nędzą i pożegnał ich oświadczając, że wyjeżdża do Południowej Ameryki.

Pewnego ranka, po długich szczegółowych rozważaniach i dokładnym zbadaniu sytuacji, zawołał:

- Koniec zatem. Nie mam się czego obawiać. Stary Lupin nie żyje. - Niech żyje młody!

Przyniesiono mu depezę z Niemiec. Zawierała wiadomość o ostatecznym załatwieniu sprawy. Rada Regentów pospołu z wy-borcami oświadczyła niewzruszone przywiązanie swoje do starej dynastii Veldeuz. Hrabia Waldemar miał pospołu z trzema delegatami szlachty, armii i sądownictwa udać się do zamku Bruggen, zbadać sumiennie tożsamość wielkiego księcia Hermana IV i wysłuchać rozkazów Jego Wysokości, dotyczących triumfalnego wjazdu do ojczystej stolicy - wjazdu, który miał nastąpić w początku przyszłego miesiąca.

- Nareszcie jestem u celu - powiedział sobie Lupin. - Ziszcza się wielki projekt Kesselbacha. Jeszcze tylko trzeba, żeby ten Waldemar przełknął mojego Piotra Leduc... Ale to drobnostka!... Jutro ogłosimy zapowiedzi Genowefy i Piotra, i jako narzeczoną wielkiego księcia przedstawimy ją Waldemarowi.

Uszczęśliwiony automobilem wyruszył do zamku Bruggen.

Szoferowi swojemu, Oktawiuszowi, kazał przystanąć o kilkaset metrów od zamku, gdyż chciał ukryć swoje przybycie - rzeczy zaś i walizkę kazał złożyć w małym pawilonie na skraju parku. Tam bowiem postanowił zamieszkać. Za pierwszym zakrętem drogi ukazał mu się zamek na końcu cienistej lipowej alei. Z daleka na peronie ujrzał przechodzącą Genowefę i serce mu zabiło słodkim wzruszeniem.

- Genowefa, Genowefa... - szepnął z rozrzewnieniem - Genowefa... spełniam obietnicę, którą matce umierającej złożyłem... Genowefa będzie wielką księżną... a ja w cieniu, obok niej, czuwać będę nad jej szczęściem... i snuć będę dalej wielkie zamiary moje...

Roześmiał się, skoczył poza drzewa alei i przekradał się przez gęstwinę klombów. Tym sposobem doszedł do samego

zameczku, nie dostrzeżony z okien salonu ani werandy.

Pragnął gorąco ujrzeć Dolores, zanim ona jego ujrzy i znowu z dziwnym dla niego samego wzruszeniem powtarzał szeptem jej imię:

- Dolores... Dolores...

Chyłkiem przeszedł korytarzem i dostał się do jadalnej sali. Stamtąd w lustrze, wiszącym naprzeciw wpółotwartych drzwi, mógł widzieć połowę salonu.

Zbliżył się...

Dolores leżała na szezlongu, a Piotr Leduc, klęcząc przed nią, wpatrywał się w nią z wyrazem ekstazy...

DOLORES

I

Piotr Leduc kochał Dolores!

Lupin odczuł ból głęboki, ostry, a tak silny, że po raz pierwszy zrozumiał jasno, czym stopniowo stała się dla niego Dolores, choć on sam nie wiedział o tym.

Piotr Leduc kochał Dolores i patrzył na nią, jak się patrzy na kobietę ukochaną.

Lupin poczuł w sobie ślepy, gwałtowny instynkt morderczy. To spojrzenie miłosne, skierowane ku tej kobiecie, doprowadzało go do szału. Był pod wrażeniem wielkiego milczenia, które otaczało młodzieńca i młodą kobietę - a w milczeniu tym, w nieruchomości ich obojga drgało życiem to jedno spojrzenie miłosne, ten niewinny a rozkoszny hymn, jakim oczy wypowiadają całą namiętność, całe pragnienie, cały poryw i uwielbienie jednej istoty dla drugiej.

I widział także panią Kesselbach. Oczy jej ginęły pod spuszczonej powiekami, tymi jedwabistymi powiekami o długich, czarnych rzęsach. Ale jak ona odczuwała ten wzrok, który szukał jej spojrzenia! Jak drżała pod tą nieuchwytną pieścizną!

- Ona go kocha... ona go kocha... mówił w duchu Lupin,

szarpany zazdrością. - Ach nędznik, jeżeli poważy się ją dotknąć zabiję go!

- O jakież głupiec ze mnie! - myślał, starając się opanować wzburzenie. - Toż to zupełnie naturalne, że ona jego kocha!... Zdawało mi się, że w mej obecności odczuwała pewien niepokój, pewne wzruszenie... Głupcze jeden! Toż ty jesteś bandytą... złodziejem... a tamten księżę... a tamten młody!

Piotr nie zmieniał pozy, nieruchomy. Poruszył tylko wargami. Dolores zaś jak gdyby się ocknęła. Z cicha, z wolna podniosła powieki, obróciła nieco głowę i oczy swe zwróciła na młodzieńca takim spojrzeniem, jakim się kobieta oddaje zupełnie, całkowicie niż najgorętszym pocałunkiem.

Nagle to było, niespodziewane, jak piorun z jasnego nieba.

W trzech

skokach Lupin był już w salonie, rzucił się na młodego człowieka, rzucił go na ziemię i ugniatając kolanem pierś swego rywala, półprzytomny wołał w stronę pani Kesselbach:

- Jak to? Więc pani tego nie wie? On pani nie powiedział, ten łotr?... I pani go kocha? Jego? Więc on ma minę wielkiego księcia? To śmieszne!...

Dolores patrzyła osłupiała, on zaś urągał dalej:

-Wielki księżę!... On! Herman IV, księżę panujący!... Toż to umrzeć można ze śmiechu! Ależ on się nazywa Beaupré, Gerard Beaupré, ostatni z włóczędzów... żebrak, którego podniosłem z rynsztoka! To ja go zrobiłem wielkim księciem! Ach, jakie to śmieszne!... Gdyby pani była widziała, jak on sobie palec ucinał... trzy razy przy tym zemdlał... tchórz! Baba!... Aa! Ośmielasz się oczy zwracać do takich pań!... Poczekaj, ty wielki księżę Dwóch Mostów- Veldeuz!...

I pochwywszy go na ręce zakolysał nim chwilę i wyrzucił go przez otwarte okno.

-A nie zgnieć no róż, wielki księżę, bo róże mają kolce!

Obejrawszy się ujrzał Dolores stojącą tuż blisko. Patrzyła nań oczyma, jakich u niej nie znał - oczyma kobiety, która nienawidzi i którą gniew doprowadza do szału. Czyż to istotnie Dolores - ta słaba, chorowita Dolores?

- Co pan robi? - zawołała. - Jak pan śmie?... A on?... A więc to

prawda?... On mnie okłamał?

- Czy panią okłamał?... - krzyknął Lupin, dobrze rozumiejąc, jak cierpi jej duma kobieca. - Czy panią okłamał?... On, wielkim księciem! Pajac po prostu, którego ja za sznurek pociągałem... instrument, który stroilem, by na nim wygrywać melodie własnego pomysłu! Ach, błazen! Błazen!

Znów wściekłość nim zatargała i tupiąc jął wygrażać pięścią ku otwartemu oknu. I zaczął chodzić wzdłuż i wszerz po pokoju, i rzucał zdania gniewne, urywkowe, zdradzając najtajniejsze swe zamiary.

- Błazen! A więc on się nie domyślał, czego ja się po nim spodziewałem? Nie odgadł wielkości swej roli? Ach, ja mu to siłą w głowę wtłoczę!... W górę czoło, ty kretynie! Z mojej woli będziesz wielkim księciem! I panującym! I będziesz miał listę cywilną i poddanych, których będziesz mógł wysysać! Wielkim księciem, mówię tobie! Słomianym wielkim księciem?... To cóż? Ale wielkim księciem w każdym razie, którego mój duch ożywi. Figurantem? Manekinem? Mniejsza o to! Ale figurantem, który będzie powtarzał moje słowa, spełniał moją wolę, ziszczał moje marzenia... tak... moje marzenia.

Już nie biegał teraz, lecz stał w miejscu, jak olśniony wspaniałością swoich rojeń.

A potem przysunął się do Dolores i głucho, z jakimś mistycznym uniesieniem jął szeptać:

-Na lewo Alzacja i Lotaryngia... Na prawo Badenia, Wirtembergia, Bawaria... Niemcy Południowe... wszystkie te państwa źle spojone, gniecione uciskiem pruskim - a niespokojne, a gotowe oswobodzić się przy lada okazji... Czy pani rozumie, ile taki człowiek jak ja w podobnym środowisku obudzić może aspiracji, ile nienawiści zasiać i buntów, i gniewów?

I jeszcze ciszej ciągnął dalej:

-A na lewo Alzacja i Lotaryngia!... Rozumie pani? To mają być marzenia? Ejże! To rzeczywistość jutrzejsza!... Niech pani pomyśli - o dwa kroki od granicy alzackiej... A to ja będę panował, ja kierować będę!... Dla manekina tytuł, honory... Przy mnie władza! Ja pozostanę w cieniu. Żadnych urzędów...

nie chcę być ani ministrem, ani nawet szambelanem! Niczym. Będę jednym ze sług pałacowych, ogrodnikiem może... Tak, ogrodnikiem... Ach, ogrodnik ma przepiękne życie! Kwiaty hodować i równocześnie kartę Europy zmieniać!

Dolores wpatrywała się w niego chciwie, podbita, ujarzmiona siłą tego człowieka. I oczy jej wyrażały podziw, którego już nie starała się ukrywać.

Lupin położył obie ręce na ramionach młodej kobiety i dodał jeszcze:

- Oto takie jest moje marzenie. Wielkie jest, ale przysięgam, że czyni mu sprostają... Mam wszystkie atuty w ręku... Valenglay pójdzie ze mną... i Anglia także... Takie jest moje marzenie... Jest jeszcze drugie...

Umilkł nagle. Dolores nie spuszczała z niego oczu i wielkie wzruszenie grało na jej twarzy.

Niezmierna radość przeniknęła serce Lupin, gdy poczuł i to tak wyraźnie, że ta kobieta wzrusza się i miesza przy nim. Już nie miał wrażeń, że jest dla niej tym, czym był, złodziejem i bandytą, ale czuł, że jest mężczyzną, mężczyzną, który kocha i który miłością swoją porusza w niej struny uczuć niedopowiedzianych...

Nie mówił więc już słowami, ale wypowiedział jej oczyma całą tkliwość swą i swoje uwielbienie i jął wyobrażać sobie w myślach to życie, które mogliby wieść pospołu gdzieś w pobliżu Veldeuz, nieznani, a wszechpotężni...

Złączyło ich długie milczenie. A potem ona wstała i rozkazała łagodnym głosem:

- Niech pan już odejdzie, błagam pana, niech pan odejdzie... Piotr pojmie za żonę Genowefę, ja to panu przyrzekam. A lepiej, niech pan stąd odejdzie, niech pan tu nie będzie... Idź pan już... Piotr pojmie Genowefę za żonę...

Począł jeszcze chwilę. Byłby może pragnął usłyszeć wyraźniejsze słowa, ale nie śmiał o nie prosić. I poszedł olśniony, odurzony, a tak rad słuchać, tak rad poddać losy swoje losom jej!

Idąc ku drzwiom natrafił po drodze na niski stołeczek, który mimochodem odsunął. Czyniąc to trącił nogą jakiś przedmiot

na posadzce. Spojrzał. Było to małe lusterko kieszonkowe, w hebanowej oprawie ze złotą cyfrą.

Lupin zadrżał nagle i żywo podniósł lusterko.

Cyfra składała się z dwóch liter, związanych w monogram, wielkiego L i M.

L i M!

- Ludwik Malreich! - szepnęła drżąc i zwrócił się ku Dolores. - Skąd to lusterko? Do kogo należy? Trzeba by koniecznie wiedzieć...

Dolores pochwyciła lusterko i zaczęła je oglądać.

- Nie wiem... nigdy tego nie widziałam... może kto ze służby...

- Z pewnością ktoś ze służby, ale to dziwne... taki zbieg okoliczności...

W tejże samej chwili Genowefa weszła do salonu, a nie widząc Lupin, którego zasłaniał parawan, zawołała ze zdziwieniem:

- Ach, a więc masz swoje lusterko, Dolores!... Znalazłaś je?... A tak mi kazałaś szukać!... Gdzież ono było?

I odeszła, mówiąc jeszcze:

-To dobrze, tym lepiej!... A tak się niepokoiłaś!... Powiem zaraz, niech przestaną szukać...

Lupin stał cicho, zmieszany, daremnie starając się zrozumieć to wszystko. Dlaczego Dolores nie powiedziała prawdy? Dlaczego nie wyjaśniła od razu tej sprawy z lusterkiem?

Przebiegła mu przez głowę myśl, której dał wyraz od razu.

- Czy może знаła pani Leona Massier?

- Tak - odpowiedziała, przyglądając mu się bacznie, jak gdyby pragnęła odgadnąć myśli tłoczące mu się do głowy.

Rzucił się ku niej, wielce poruszony.

-Znała go pani? Któż to był? Kto to jest? Kto? I dlaczego nic pani nie powiedziała? Gdzie go pani poznała? Niech pani powie!... Niech pani powie, proszę!

- Nie powiem - odpowiedziała.

- A jednak trzeba... trzeba... niech pani pomyśli! Ludwik Malreich morderca! Potwór!... Dlaczego pani nic nie powiedziała?

Z kolei ona teraz położyła mu ręce na ramionach i oś-

wiadczyła głosem stanowczym:

-Proszę pamiętać, niech mnie pan nigdy nie pyta, ponieważ ja nigdy nie powiem... To tajemnica, która ze mną zejdzie do grobu... Niech się dzieje, co chce, nikt tego wiedzieć nie będzie... nikt na świecie, przysięgam.

II

Stał przed nią całych kilka minut przelękniony, z zamętem w głowie.

Przypomniawszy sobie milczenie Steinwega i przerażenie starca, gdy go zapytał o wyjawienie strasznej tajemnicy. I Dolores także wiedziała, i ona także nie chciała mówić...

Wyszedł, nie mówiąc słowa.

Przyszedł nieco do siebie na świeżym powietrzu. Wyszedł poza mury parku i błądził po polach. Mówił głośno sam do siebie:

- Co to jest? Co się dzieje? Oto już od wielu miesięcy, działając i walcząc na wszystkie strony, pociągnięciem sznurka każę tańczyć wszystkim figurkom, potrzebnym mi do ziszczenia moich zamiarów; a oto tymczasem zupełnie zapomniałem przyjrzeć im się i przekonać się, co się w ich sercu i mózgach porusza. Nie znam Piotra Leduc, nie znam Genowefy, nie znam Dolores... I traktowałem ich jak marionetki, a tymczasem są to istoty żyjące. A dziś rozbijam się o przeszkody...

Zamyślił się i tupnął nogą.

-O przeszkody, które nie istnieją! Stan duszy Genowefy albo stan duszy Piotra - co ja sobie z tego robię! Będę się nad tym zastanawiał później, w Veldeuz, gdy już ich uszczęśliwię... Ale Dolores... Ona zna Malreicha, a nic nie powiedziała!... Dlaczego? Jakie stosunki ich łączą? Czy go się boi? Czy boi się, żeby się z więzienia nie wymknął i przyszedł pomścić niedyskrecję?

Wieczorem udał się do pawilonu w głębi parku, który dla siebie zarezerwował; zły i rozdrażniony zjadł tam obiad, irytując się wciąż na Oktawiusza, który mu usługiwał.

- Dosyć już... idź sobie... same głupstwa dziś popełniasz. Albo ta kawa?... Obrzydliwa jakaś!

Rzucił o ziemię nie dopitą filiżankę i przez dwie godziny spacerował po parku, zajęty wciąż jednymi myślami. I coraz wyraźniej kształtowało się w jego umyśle przypuszczenie: Malreich uciekł z więzienia, terroryzuje panią Kesselbach, wie już od niej o wypadku z lusterkiem...

Nagle wzruszył ramionami.

-Tak... i tej nocy przyjdzie mnie straszyć! Ostatecznie brednie mi się roją. Najlepiej pójdę spać.

Wrócił do swego pokoju i położył się. Usnął zaraz, snem ciężkim, przerywanym zmorą. Dwa razy budził się i chciał zapalić świecę, i dwa razy opadł jak zmorzony snem.

Słyszał godziny, bijące na zegarze we wsi, a przynajmniej zdawało mu się, że słyszy, gdyż czuł się bezwładnym i martwym, a jednak niby przytomnym.

I sny go dręczyły, sny pełne lęków i grozy. Posłyszał wyraźnie skrzypnięcie otwieranego okna. Wyraźnie, poprzez zamknięte powieki, poprzez ciemności głębokie widział postać, która się zbliżała.

I postać ta nachyliła się nad nim.

Z nadludzką energią rozchylił nieco powieki i spojrzał. Czy to sen? Czy to jawa? Rozpaczliwie sam sobie stawiał to pytanie.

Jeszcze jakiś odgłos...

Ktoś obok niego sięgnął do pudełka z zapalkami.

- A więc zobaczę! - pomyślał uradowany.

Trzasnęła zapalka. Ktoś zapalił świecę.

Lupin poczuł, jak od stóp do głowy pot go oblewa, jak serce, pod wpływem strachu, bić mu przestaje. To tamten stał przy jego łóżku...

Czyż podobna? Nie... nie... A jednak widział go... O, ten przerażający widok!... Tamten, ten potwór, to on!

-Nie chcę... nie chcę... - starał się wyszeptać przerażony.

Tamten, ten potwór, stał nad nim, czarno ubrany, z maską na twarzy, w miękkim kapeluszu, opuszczonym na blond włosach.

- Ja śnię... ja śnię... to zmora! - myślał.

Najwyższym wysiłkiem, całym napięciem woli starał się

uczynić jeden gest, jeden jedyny, ażeby odpędzić to widmo.

Lecz nie mógł.

I nagle przypominał sobie: to ta filiżanka kawy! Smak tego napoju... podobny do smaku tej kawy, którą pił w Veldeuz...

Chciał krzyknąć - i opadł wyczerpany.

I w gorączkowym śnie tym widział, czuł, jak tamten odpina mu koszulę, obnaża szyję i podnosi rękę; i dojrzał, że ręka ta ściska rękojęść sztyletu, małego stalowego sztyletu, podobnego do tego, którym ugodzono Kesselbacha, Chapmana, Altenheima i tylu innych.

III

W kilka godzin później Lupin obudził się, zbity, złamany, z niesmakiem w ustach.

Przez kilka minut zbierał myśli i nagle, przypomniawszy sobie wszystko, zerwał się odruchowo, jakby się chciał bronić.

- Jakiż ze mnie głupiec! - zawołał, wyskakując z łóżka. To zmora była, to halucynacja. Dostyc pomyśleć nad tym. Gdyby to on był, gdyby to rzeczywiście był człowiek żywy, z ciała i kości, byłby mnie zamordował, to pewne. Tamten się nie waha. Zresztą, logicznie myśląc - dlaczego miałby mnie oszczędzać? Dla moich pięknych oczu? Nie, śniło mi się i koniec.

Pogwizdując, ubierając się, udając spokój rozglądał się jednak i szukał śladów. Nie znalazł żadnych.

Zawołał Oktawiusza.

- Gdzieś ty przygotował tę kawę, którą mi podałeś wieczorem?

- W pałacu, jak i wszystko inne. Tu nie ma kuchennego pieca.

- Piłeś sam tę kawę?

- Nie, panie.

- I wylałeś to, co zostało?

- Naturalnie mistrzu. Pan mówił, że taka obrzydliwa. Pan tylko parę łyków wypił.

- Dobrze. Przygotuj automobil. Jedziemy.

Lupin nie lubił pozostawać w niepewności. Pragnął definitywnej rozmowy z Dolores. W tym celu jednak potrzebował wpierw wyjaśnić kilka punktów, dla siebie niejasnych, i widzieć Dondeville'a, który mu z Veldeuz dość dziwaczne przysłał wieści.

Jednym tchem kazał przeto zawieźć się do Veldeuz. Tam zobaczył się z hrabią Waldemarem, którego pod jakimś pozorem uprosił, by odwłókł przyjazd delegatów regencji do Bruggen. Następnie w wiadomej sobie oberży odszukał Jana Dondeville.

Dondeville zaprowadził go do innej oberży i przedstawił mu człowieka dość biednie ubranego: pana Stockli, urzędnika przy archiwach stanu cywilnego.

Rozmawiali długo. Wyszli razem i wszyscy trzej poszli do biur magistratu.

O siódmej Lupin zjadł obiad i wyjechał. O dzie-siątej przybył do zamku Bruggen i zapytał o Genowefę, ażeby z nią razem dostać się do pani Kesselbach.

Odpowiedziano mu, że panna Evnemont depeszą babki odwołana została do Paryża.

- Trudno - rzekł - ale czy z panią Kesselbach mógłbym się zobaczyć?

- Pani poszła do siebie zaraz po obiedzie. Zapewne już śpi.

-Nie, gdyż widziałem światło w jej buduarze. Przyjmie mnie.

Nie czekał zresztą nawet na odpowiedź pani Kesselbach. Wszedł do buduaru zaraz za służącą, odprawił ją i rzekł do Dolores:

-Muszę z panią pomówić, bo sprawa nagląca... Niech pani mi wybaczy... Przyznaję, że zachowuję się jak natręt... Ale pani mnie zrozumie, pewien tego jestem...

Bardzo był wzburzony i nie miał zamiaru odkładać rozmowy, zwłaszcza że zanim wszedł zdawało mu się, iż jakiś ruch tu posłyszał.

Dolores jednak była sama. Leżała. Rzekła doń głosem zmęczonym:

- Czy nie można by... jutro...

Nie odpowiedział, uderzony nagle zapachem, który zadziwił go w tym buduarze kobiecym, zapachem tytoniu. Zaraz też wydało mu się, że mężczyzna jakiś musiał tu być w chwili, gdy wchodził i że może jest jeszcze gdzieś ukryty...

Piotr Leduc? Piotr Leduc nie palił. A więc kto?

- Skończmy prędkiej, proszę pana! - szepnęła Dolores.

Zdecydował się mówić, opanowując lekliwe zakłopotanie, które go ogarniało na myśl, że ktoś obcy może tu być obecny; zaczął więc mówić bardzo cicho, tak żeby tylko Dolores usłyszeć go mogła:

-Wie pani, dowiedziałem się jednej rzeczy... której nie rozumiem... a która mnie głęboko zaniepokoiła. Odpowie mi pani - nieprawdaż, Dolores?

Wymówił to imię bardzo słodko, chcąc opanować ją przyjacielską tkliwością głosu.

- Czegóż to mianowicie?

- W urzędzie stanu cywilnego w Veldeuz znalazłem w księgach imiona trzech ostatnich potomków rodziny Malreichów, osiadłych w Niemczech...

- Tak, już mi pan to mówił.

- Przypomina pani sobie. Otóż najpierw Raul de Malreich, lepiej znany pod przybranym nazwiskiem Altenheima, bandyta, apasz wielkoświatowy - dziś nieżyjący, zamordowany...

- Tak jest.

- Dalej Ludwik de Malreich, ten potwór, straszliwy morderca, który za parę dni ma być ścięty.

- Dalej?

- Na koniec Izilda, obłąkana. Tyle zatem wiemy, nieprawdaż?

- Tak jest.

- Ale ot co! - ciągnął Lupin dalej, pochylając się nad nią - z badań, które właśnie przedsięwziąłem wynika, że drugie z tych imion, Ludwik - a raczej ta część wiersza, na której to imię jest wpisane, została przedtem przemazana. Imię „Ludwik” wpisane jest pismem świeżym i wiele świeższym atramentem, nie zatarło to jednak całkowicie tego, co tam pod spodem było

napisane. Tak, że...

- Tak, że?... - powtórzyła pani Kesselbach cicho.

- Tak, że za pomocą dobrej lupy i innych specjalnych środków, jakimi rozporządzam, mogłem odtworzyć niektóre zatarte sylaby i z całą pewnością odczytać poprzedni napis. A więc nie Ludwik Malreich jest tam zapisany, lecz...

- O, nie mów pan... nie mów pan...

Złamana nagle nazbyt długim panowaniem nad nerwami zwinęła się teraz, kryjąc głowę w kolana i drgając kurczowo płakała.

Lupin długo przyglądał się tej istocie nieudolnej i słabej, tak budzącej litość, tak bezbronnej. Byłby rad umilkł, byłby rad przerwał to męczące badanie, którym ją dręczył!

Jednakże dla ocalenia jej działał przecieź! A chcąc ją ocalić musiał wiedzieć prawdę, jakkolwiek ta prawda była bolesna!

- Jaki jest powód tego fałszerstwa? - badał więc dalej.

- To mój mąż - szepnęła - to on to zrobił. Przy swoim majątku mógł wszystko przeprowadzić, więc też przed ślubem naszym przekupił urzędnika i ten sfalszował imię drugiego dziecka...

- Imię i płeć - dodał Lupin.

- To prawda - odpowiedziała.

- Toteż ja się nie omyliłem - oświadczył Lupin - pierwotne, prawdziwe imię zapisane w księdze było Dolores.

- Tak jest.

- Ale dlaczego mąż pani?

- Pan nie rozumie - szepnęła zapłakana, zawstydzona. - Niechżesz pan tylko pomyśli... siostrą byłąm obląkanej Izildy, siostrą Altenheima, bandyty. Mąż mój, a raczej wtedy mój narzeczony, nie chciał, bym tym pozostała. Kochał mnie. I ja go kochałam, przystałam więc. Z metryk stanu cywilnego wymazał więc Dolores de Malreich, kupił mi inne papiery, inną metrykę i wysłał za mąż w Holandii pod innym panieńskim nazwiskiem, jako Dolores Amonti.

-Tak... tak... rozumiem... Lecz w takim razie Ludwik de Malreich nie istnieje w ogóle; morderca pani męża, morderca siostry pani i brata tak się nie nazywa... Jego nazwisko...

Zerwała się żywo.

- Jego nazwisko! Tak, on się tak nazywa... tak, a jednak takie jest jego imię... Ludwik de Malreich... L. M... pamięta pan... Ach, niech pan nie dochodzi... to okropna tajemnica... A zresztą, o co chodzi? Winny jest tam... On jest winny... ja panu mówię... Czy bronił się, gdym ja mu oskarżenie rzuciła w oczy? Czy mógł się bronić pod tym, czy pod innym nazwiskiem?... To on... on... on mordował... on uderzał... sztylet... sztylet ze stali... Ach, gdyby wszystko można powiedzieć!... Ludwik de Malreich... Gdybym ja mogła...

Wiła się na otomanie miotana atakiem nerwowym, a ręka jej kurczowo ścisnęła rękę Lupin; słyszał, jak wśród niewyraźnych słów innych rzucała wyrazy:

- Niech mnie pan broni... niech mnie pan osłania... Pan jeden może... Ach, niech mnie pan nie opuszcza... ja taka jestem nieszczęśliwa... Co za męka!... Co za męka!... To piekło!

Ręką, którą miał wolną z nieskończoną tkliwością pogładził jej włosy i czoło, i ta pieszczota ukoiliła i uspokoiła ją nieco.

I znów patrzył na nią długo, długo i pytał się w duchu, co się też kryć może poza tym pięknym, jasnym czołem, jaka tajemnica tę duszę pożera? I ona także się bała. Ale kogo? Przeciwno komu pragnęła ochrony?

I znowu stanęła mu w myśli ta czarna postać, ten Ludwik Malreich, tajemniczy i niezrozumiały wróg, którego napaści musiał odpierać sam nie wiedząc, skąd mu grożą...

Że był w więzieniu, strzeżony dniem i nocą... to i cóż z tego! Czyż Lupin o tym nie wiedział najlepiej, że są tacy, dla których nie istnieje więzienie i którzy uwalniają się, gdy nadejdzie pora? A Ludwik Malreich do takich należał.

Tak, był tam ktoś w więzieniu, w celce skazanych na śmierć. Ale może to był wspólnik, może to była ofiara Malreicha... podczas gdy on snuł się po nocy jak duch niewidzialny, przenikał do pawilonu w parku i nocą wznosił sztylet nad śpiącym, bezwładnym Lupin.

I to on, Ludwik Malreich, terroryzował Dolores, groźbami ją swymi przerażał, trzymał ją w ręku za pomocą jakiejś strasznej tajemnicy i zmuszał do milczenia i do posłuszeństwa.

Lupin wyobrażał sobie plan nieprzyjaciela: rzucić przerażoną

i drżącą Dolores w ramiona Piotra Leduc, jego, Lupin, usunąć i panować tam, zamiast niego, posługując się władzą wielkiego księcia i milionami Dolores.

-Ale w takim razie dlaczegoż mnie nie zabił tej nocy w pawilonie? Zależało to tylko od jego woli, a przecież nie chciał. Jeden ruch, a byłbym trupem. Lecz tego ruchu nie uczynił. Dlaczego?

Dolores otworzyła oczy, spostrzegła go i uśmiechnęła się lekko.

- Niech pan już idzie... - rzekła.

Lupin wstał, zawahał się jednak. Czy szukać nieprzyjaciela - może on się kryje za tą firanką, może za sukniemi w tej szafie?

Ona jednak łagodnie powtórzyła:

- Niech pan już idzie... chciałabym spać...

Poszedł więc.

Wyszedszy jednak zatrzymał się pod cieniem drzew, tworzących klomb przed fasadą zameczku. Widział światło w buduarze Dolores. Potem to światło posunęło się do jej sypialnego pokoju. W parę minut później zaległy ciemności.

Czekał. Jeżeli wróg jest tam, to może wyjdzie z zamku? Czekał w ten sposób dwie godziny.

- Nie ma co - pomyślał Lupin. - Albo się ukrywa w jakim zakątku, albo też wyszedł drzwiami, których ja stąd nie widzę. Albo też może wszystko to razem jest tylko niedorzecznym przypuszczeniem moim...

Zapalił papierosa i poszedł ku pawilonowi.

Zbliżając się tam zauważył z daleka, że jakiś cień jakby się stamtąd oddalał...

Cień ten przeszedł w poprzek alei. Przy świetle księżycy wydało się Lupin, że rozpoznaje czarną sylwetkę Ludwika Malreicha.

Skoczył... Cień uciekł i zniknął.

- Oczywiście - pomyślał - jutro się to powtórzy. Ale już wtedy...

IV

Lupin wszedł do pokoju Oktawiusza, obudził go i rozkazał:

-Przygotuj automobil. Staniesz w Paryżu o szóstej rano. Zobaczysz się z Jakubem Dondeville i powiesz mu dwie rzeczy: żeby mi dostarczył wiadomości o skazanym na śmierć i żeby mi przysłał, skoro tylko pocztę otworzą, następującą depeszę.

Napisał depeszę na skrawku papierku i dodał:

- Skoro tylko spełnisz to, co ci powiedziałem wrócisz, ale wracaj tędy, wzdłuż ogrodzenia parku. No, jedź, ale niech się nikt nie domyśli, że ciebie nie ma.

Lupin wrócił do swego pokoju, nacisnął sprężynkę latarki i zaczął robić szczegółowe poszukiwania.

- Naturalnie - rzekł po chwili - on tu był tej nocy, podczas gdy ja czatowałem pod oknami. I wiadomo w jakim celu. Nie myliłem się, to zaczyna iść na gorąco... Pierwszy raz mnie oszczędzono... ale po raz drugi...

Przez ostrożność zabrał koldrę, obrał sobie w parku miejsce ustronne i zasnął pod gołym niebem.

Około jedenastej rano Oktawiusz stawił się przed nim.

- Już, mistrzu. Telegram nadany.

- To dobrze. A Ludwik Malreich, czy jest wciąż w więzie-niu?

- Jest, panie. Dondeville wczoraj przechodził koło jego celi. Właśnie stamtąd wychodził dozorca. Gadali ze sobą. Malreich zawsze ten sam, wciąż milczy jak ryba. Czeka.

- Na co?

- Na ostateczną godzinę, wiadomo! W prefekturze mówią, że egzekucja ma się odbyć pojutrze.

-To dobrze, dobrze. Nie uciekł więc, jak się pokazuje!

Lupin już się nawet nie silił zrozumieć tę zagadkę, tak pewien był, że prawda niebawem się wyda.

Powinien już tylko wykonać swój plan, a wróg niewątpliwie wpaść musi w zasadzkę.

Był bardzo wesół, bardzo swobodny i nigdy walka nie przedstawiała mu się tak pomyślnie.

Służący z zamku przyniósł mu depeszę, którą sobie kazał

przysłać z Paryża, a którą posłaniec tam oddał. Odpieczętował ją i włożył do kieszeni.

Trochę przed dwunastą spotkał w alei Piotra Leduc.

- Szukałem cię - rzekł bez dalszych wstępów. - Zachodzą poważne okoliczności. Odpowiadaj mi szczerze. Czy od czasu jak jesteś tutaj nie zauważyłeś jakiego innego mężczyzny, oprócz służących Niemców, których tu umieściłem?

- Ależ nie. Nikogo!

- Zastanów się dobrze. Nie mówię o żadnym gościu. Ale czy nie ma tu kogo, kto by się ukrywał, o czyjej obecności byś ty wiedział - mniej nawet - czyją obecność ty byś podejrzewał, na mocy jakiejś wskazówki, a choćby tylko wrażenia?

- Nie... Ale czyby pan?

- Tak. Ktoś się tu ukrywa... ktoś tu się snuje.. Gdzie?.. I kto? I w jakim celu? Nie wiem... ale wiedzieć będę. Mam już swoje przypuszczenia. Ze swej strony i ty uważaj... czuwaj... ale przede wszystkim, ani słowa o tym do pani Kesselbach... Nie trzeba jej niepokoić.

I poszedł dalej.

Piotr Leduc poruszony, wzburzony zawrócił do zamku.

Po drodze na brzeżku trawnika spostrzegł niebieski papiererek. Podniósł go. Był to telegram, nie pognieciony jak papier, który się wyrzuca, ale starannie złożony - zgubiony najwyraźniej.

Telegram zaadresowany był do pana Beauny. Pod tym imieniem Lupin znany był w Bruggen. Zawierał zaś te słowa:

Znamy całą prawdę. Listowne wyjaśnienie niemożliwe. Jadę dziś wieczornym. Bądź jutro rano ósma dworzec Bruggen.

- Doskonale! - uśmiechnął się Lupin, który spoza pobliskiego klombu obserwował Piotra Leduc. - Doskonale! Za dwie minuty ten głuptas pokaże telegram Dolores i wszystkie moje obawy jej powtórzy. Będą o tym cały dzień gadali, a tamten to posłyszysz... tamten się dowie, ponieważ wszystko wie, ponieważ żyje w cieniu Dolores, a Dolores jest w szponach jego, jak urzeczony ptak... A dziś w nocy zabierze się do działania, gdyż

będzie się bał tajemnicy, którą ja mam poznać...

Oddalił się podśpiewując.

- Dziś wieczór... dziś wieczór... to będzie bal!

U drzwi pawilonu zawołał Oktawiusza, poszedł do swego pokoju, rzucił się na łóżko i rzekł:

- Siądź sobie tu na krzesło, Oktawiuszu, i nie śpij. Twój pan musi wypocząć. Czuwaj nad nim, wierny sługo!

Przespał się zdrowo.

- Jak Napoleon przed bitwą pod Austerlitz! - rzekł, obudziwszy się.

Była to pora obiadowa. Zjadł obficie, wypalił papierosa, obejrzał broń i zmienił ładunki w obu rewolwerach.

- Suchy proch na panewce i bagnet wyostrzony! Ha... ha... Oktawiuszu!

Nadbiegł Oktawiusz.

- Idź, zjedz obiad w pałacu, ze służbą. Obwieść im, że jedziesz dziś na noc do Paryża, automobilem.

- Z panem?

- Nie, sam. I jak tylko zjesz wyjedziesz rzeczywiście; tak, żeby wszyscy widzieli. Za parkiem staniesz, na drodze, na pierwszym kilometrze. Tam czekaj na mnie. Długo będziesz czekał.

Wypalił jeszcze jednego papierosa, spacerował, przeszedł koło zamku, przekonał się, że się świeci w pokojach Dolores i wrócił do pawilonu. Czytał trochę, kręcił się, nareszcie o jedenastej poszedł do siebie.

Wychylił się jeszcze przez otwarte okno i odetchnął cichym, jasnym powietrzem nocy. Jakieś mętne wspomnienia cisnęły mu się do duszy, jakieś słowa miłosne, czytane lub też mówione niegdyś, tłoczyły mu się na usta i kilka razy cichutko, cichuteńko wyszeptał imię Dolores, nabożnie, tkliwie, jak młodzieniec, który imienia ukochanej nawet ciszy nocnej powierzyć nie śmie.

- Czas już - rzekł sam do siebie - czas się już przygotować.

Nie domknął okna, usunął stoliczek stojący na drodze i schował broń pod poduszkę. Potem zaś spokojnie, bez żadnego wzruszenia położył się ubrany do łóżka i zagasił świecę.

I zdjął go strach.

Natychmiast, zaledwie ciemności go ogarnęły, zaczął się trwożyć. Strach pełzał ku niemu w cieniu, obejmował go, szarpał...

Na zegarze wioskowym wybiła dwunasta.

Lupin rozmyślał o tym brudnym stworzeniu, które gdzieś - może o sto lub pięćdziesiąt kroków stąd - gotowało się, próbowało ostrza sztyletu...

-Niechże już przyjdzie!... Niechże już raz przyjdzie! - szeptał drżąc cały

- A rozwieją się te widma!

Wybiła pierwsza.

I ciągnęły się długie minuty, nieskończone minuty, niosąc gorączkę i lęk... Krople potu spływały mu po czole, a wydawało mu się, że to krwią zlewa się cały.

Druga godzina...

I oto gdzieś, tuż w pobliżu, odezwał się cichy szelest, szelest poruszonych liści, ale liści poruszonych nie wiatrem nocy.

Tak jak to Lupin przewidział ogarnął go od razu ogromny spokój. Zadrżała w nim radością dusza awanturnicza. Otóż i walka nareszcie!

Odezwał się inny szmer, wyraźniejszy teraz, pod oknem, ale tak słaby jeszcze, że tylko wprawne ucho Lupin dosłyszeć go mogło.

I znowu minuty całe... straszne minuty... Ciemności były zupełne. Nie rozpraszały ich ani gwiazdy, ani blask księżyca.

I nagle - choć nie usłyszał niczego - odczuł, że tamten jest w pokoju...

I że szedł ku niemu. Szedł, jak idzie duch, nie trącając powietrza, nie potrącając sprzętów. Ale całym swoim instynktem, całą mocą swoich nerwów Lupin odgadywał ruchy wroga i bieg jego myśli nawet.

Sam nie poruszał się, przyciśnięty do ściany, klęcząc prawie, gotów do skoku.

Czuł jak cień muska go, maca posłanie, chcąc sobie zdać sprawę, w które miejsce ma uderzyć. Słyszał jego oddech. Zdawało mu się nawet, że słyszy bicie serca. I z dumą

przekonywał się, że serce jego nie bije wcale mocniej, podczas gdy serce tamtego... O tak! Słyszał dobrze, jak tłucze się to serce wzburzone, to serce rozszalałe - jak serce dzwonu o spiżowe boki...

Tamten wznosił rękę... Czy bierze go na cel? Czy waha się? Czy może znowu chce oszczędzić wroga?

W tej wielkiej ciszy odezwał się głos Lupin:

- Uderz nareszcie! Czemu nie uderzasz?!

Rozległ się okrzyk wściekłości... i dziki, przeraźliwy, obłądny śmiech... śmiech, od którego temu, co słyszy włosy powstają na głowie i serce drży przed dzikim szaleństwem piekiel.

A potem jęk. I więcej nic...

Lupin ramię, które spadło jak pod naciskiem sprężyny, uchwycił w samej kostce... I wyskakując z łóżka, straszny, niezmożony, chwycił tamtego za gardło i rzucił go o ziemię.

I tyle tylko... Nie było walki. Nie mogło być. Tamten leżał na ziemi, przykuty, przygwożdżony chwytem stalowych rąk Lupin. Najsilniejszy nawet nie oparłby się tym rękoma.

Milczenie zupełne. Lupin nie odczuwał w tej chwili ani śladu radości próżnej, ani też uniesienia zwycięzcy. Pilno mu jedynie było dowiedzieć się, kto to jest... czy Malreich, ten skazaniec? Czy może kto inny? Ale kto taki?

Nie myśląc o tym, że może zadusił człowieka ścisnął mu gardło coraz, coraz mocniej.

I poczuł, że cała siła jego wroga, cała reszta jego siły uchodzi. Muskulary ramienia rozprężyły się, bezwładne. Ręka zwolniła kurczowe ujęcie i upuściła sztylet.

Wtedy odzyskawszy swobodę ruchów, trzymając życie wroga w żelaznych kleszczach swych palców Lupin drugą ręką dobył z kieszeni latarkę i nachylił ją nad wrogiem.

Nacisnął sprężynę. Suchy trzask. Światło padło na twarz potwora.

Lupin wydał ryk przerażenia.

Dolores Kesselbach!

ROZDZIAŁ X PRAWDA

I

W głowie Lupin rozszalał się jakiś huragan, jakiś orkan; było mu, jak gdyby w łoskocie grzmotu, w porywach wichury, w burzy rozpętanych żywiołów tworzyła się noc czarna chaosu.

I wielkie, krwawe błyskawice rozdzierały cienie. Przy świetle tych błyskawic Lupin przerażony, dreszczem wstrząsany, grozą przejęty patrzył - i starał się rozumieć.

Nie poruszył się z miejsca, przyczepiony do gardła wroga, jak gdyby stężale palce rozprostować się nie mogły. A zresztą, choć teraz już wiedział, nie miał niejako dokładnego wrażenia, że to jest Dolores. Był to wciąż jeszcze dla niego tamten, ten czarny, nieznany, Ludwik de Malreich, nieczysty potwór ciemności; i tego potwora trzymał, tego potwora puścić nie chciał... nie mógł...

Prawda jednakże szturmowała do jego mózgu i do jego świadomości, aż zwyciężony, udręczony szepnął:

- O Dolores!... Dolores...

Od razu ujrzał wytłumaczenie... od razu uniewinnienie. Toż to był obłąd. Obłąkana była. Siostra Altenheima i Izildy, córka ostatnich Malreichów, matki wariatki i ojca pijaka, i ona sama była obłąkaną. Dziwną obłąkaną, obłąkaną z wszystkimi pozorami zdrowego rozumu, ale jednak obłąkaną, bez równowagi moralnej, chorą, zwyrodniałą, prawdziwie potworną istotą.

Zrozumiał to z całą pewnością. Był u niej obłąd zbrodniczy. Pod hipnozą celu, do którego zmierzała automatycznie, mordowała, chciwa krwi, nieświadoma, a piekielna...

Zabijała, bo czegoś chciała, zabijała w obronie własnej, zabijała, by ukryć, że zabijała...

Ale zabijała także, a nawet przede wszystkim, dla zabijania. Morderstwo nasycalo w niej nagłe i nieodparte zachcenia. W

pewnych chwilach życia, w pewnych okolicznościach, wobec niektórych osób, które w danej chwili stawały się wrogiem, ręka jej musiała zadawać śmiertelne ciosy.

I zadawała je, pijana szalem, z dziką zapalczywością.

Dziwna obłąkana, nieodpowiedzialna za swoje mordy, a jednak tak trzeźwa w swym zaślepieniu, tak logiczna w swym pomieszanim jestestwie i tak inteligentna w obłądziej. Jakież wyrachowania, jakie kombinacje wstrętne zarazem i wspaniałe snuć umiała!

I Lupin w nagłym widzeniu, niezwykłą bystrością wzroku przejrzał cały ciąg tych przygód krwawych, odgadł tajemnicze ścieżki, którymi kroczyła Dolores.

Widział ją - urzeczoną i opętaną projektem męża, projektem, który oczywiście częściowo tylko znała. Widział, jak poszukuje tego Piotra Leduc, którego i mąż gonił, jak go poszukuje, by zostać jego żoną i wrócić jako księżna panująca do Veldeuz, skąd ród jej sromotnie wygnano.

I widział ją w Palace-Hotelu, w pokoju brata Altenheima, wtedy gdy sądzono, że jest w Monte Carlo. Widział ją, całymi dniami szpiegującą męża, posuwającą się wzdłuż ścian, niknącą w ciemnościach, niewidzialną, niedostrzegalną w cieniu.

A oto pewnej nocy zastała Kesselbacha skrępowanego i zadała cios...

Rankiem zaś, gdy groziło jej, że kelner ją wyda, uderzyła znowu.

I w godzinę później, wobec tego, że Chapman mógł ją zadenuncjować, wciągnęła go do pokoju brata i także go zabiła.

A za każdym razem bez litości, dziko, z szatańską zręcznością...

I z tą samą zręcznością znosiła się przez telefon ze swymi dwiema służącymi, z Gertrudą i Zuzanną, które przybyły z Monte Carlo, gdzie jedna z nich odgrywała rolę swojej pani. I Dolores, przywdziawszy swoje kobiece suknie, odrzuciwszy jasną perukę, która ją do niepoznania zmieniała, zeszła na dół, złączyła się z Gertrudą i udała, że i ona też dopiero przybyła, nie wiedząc nic o zaszłym nieszczęściu.

Komediantka niezrównana, odgrywała rolę niepokieszanej

małżonki. Litowano się nad nią. Płakano nad nią. Któż by ją podejrzał?

I wtedy zaczęła się ta wojna z nim, ta barbarzyńska, niesłychana wojna, którą z kolei prowadziła przeciw panu Lenormand i przeciw księciu Sernin - leżąc dniami całymi na szezlongu, chora i mdlejąca, za to nocami goniąc tajemniczymi drogami, niezmordowana, straszna...

I te piekielne intrygi i machinacje... Gertruda i Zuzanna, współniczki sterroryzowane, niewolniczo poddane... Porwanie starego Steinwega... A za tym cały szereg zbrodni. Utopienie Gourela. Zabójstwo Gertrudy. Altenheim, brat własny, zaszytletowany. O! Ta nieubłagana walka w podziemiach willi „Pod Glicyniami”, niewidoczna praca potwora w ciemnościach, jakżeż to wszystko jasne się teraz stawało!

To ona zdarła mu maskę księcia, ona go denuncjowała, ona go do więzienia wtrąciła, ona krzyżowała jego plany, wydając miliony dla wygrania bitwy.

I dalsze wypadki... nikt nie Zuzanna, zabita Gertruda. Steinweg zamordowany! Izilda, rodzona siostra, zamordowana!

- O okropności! O zgrozo! - szeptał Lupin w przypiływie obrzydzenia i nienawiści.

Nienawidził tej wstrętnej istoty. Chciałby ją zmiażdżyć, zniszczyć... I gniotąc ją nienawistnym uściskiem stalowych kleszczy swych palców, nieruchomy, zmartwiały, nie widział, że słaby brzask świtu miesza się już z cieniami nocy.

-Dolores... Dolores... - szeptał z rozpaczą.

Nagle odskoczył, dyszący z trwogi. Oczy mu stanęły słupem. Co to? Co to jest?... Co znaczy to wstrętne uczucie zimna, które zmroziło mu palce?

-Oktawiuszu! Oktawiuszu! - wołał, niepomny nieobecności szofera.

Pomocy! Pragnął pomocy, pragnął, by go kto uspokoił, by mu dopomógł. Trząsł się ze strachu. Ach, ten chłód, ten chłód, ten chłód śmiertelny, który poczuł... Czy to być może?... A więc w tym tragicznym momencie on sam, własnymi zaciśniętymi palcami...

Najwyższym wysiłkiem zadał sobie przymus i spojrzął. Dolores leżała nieruchoma.

Padł na kolana i przyciągnął ją ku sobie. Nie żyła.

Pozostał czas jakiś w odrętwieniu i już jakby nie czuł bólu. Nie cierpiał. Nie było już w nim ani gniewu, ani nienawiści, ani żadnego w ogóle uczucia. Było tylko jakieś tępe osłupienie; uczucie człowieka, którego ogłuszono uderzeniem maczugi i który sam nie wie, czy żyje jeszcze, czy myśli, czy też jest igraszką sennej zmory.

A poprzez to wszystko miał wrażenie, że stał się jakiś akt sprawiedliwości i ani przez mgnienie oka nie przyszła mu myśl, że to on zabił...

Nie, to nie on... To było coś poza nim i poza jego wolą. To los, to nieubłagane przeznaczenie spełniło dzieło sprawiedliwości, zniszczyło istotę szkodliwą.

W ogrodzie, za oknami śpiewały już ptaki. Życie budziło się wśród starych drzew, które wiosna rozwijała. I Lupin, budząc się z odrętwienia, poczuł powstającą w duszy nieokreśloną, niedorzeczną litość nad tą nieszczęsną kobietą - ohydną, to prawda, zbrodniczą, to prawda - lecz taką młodą jeszcze, a wydartą życiu.

I pomyślał nad tym, jakie ona męki znosić musiała w chwilach przytomnych, gdy - wracając do rozumu - miewała wizję swych okropnych czynów...

- Niech mnie pan broni! Niech mnie pan osłania! Jaka jestem nieszczęśliwa! - błagała.

Przeciwko samej sobie prosiła, by ją bronił, przeciwko tym instynktom drapieżnego zwierza, przeciw temu potworowi, który w niej mieszkał i kazał zabijać, wciąż, zawsze, zabijać...

- Czy zawsze? - stawiał sobie Lupin pytanie.

I przypomniał sobie ów wieczór przedwczorajszy, gdy nad wrogiem swoim nieubłaganym, niezmordowanym stała z podniesionym sztyletem, a jednak go nie zabiła... Nie, nie zabiła go, ulegając tym razem uczuciom silniejszym niż przyrodzone okrucieństwo, niejasnym uczuciom sympatii i podziwu dla tego, który tak często ją opanowywał.

Nie, nie zabiła go tym razem. A oto z niezrozumiałego

wyroku przeznaczenia to on właśnie zabił ją!

- Zabiłem - powtarzał sobie, drżąc od stóp do głów - ręce moje zgładziły żyjącą istotę, a tą istotą żyjącą jest Dolores!... Dolores... Dolores...

Biały dzień zaskoczył go siedzącego przy umarłej, tonącego we wspomnieniach i w zadumie, podczas gdy wargi od czasu do czasu szeptały rozpaczliwie to jedno imię: Dolores...

Trzeba jednak było działać, a w rozterce myśli nie wiedział, jak działać, od czego zaczynać...

- Przede wszystkim zamknę jej oczy – pomyślał.

Szklane, pełne nicości, piękne te złotawe oczy miały i teraz jeszcze ów wyraz melancholijnej słodyczy, który im tyle uroku dodawał. I te oczy - miałyż być one oczyma potwora? Mimo woli, nawet wobec nieubłaganej rzeczywistości, Lupin nie mógł połączyć w jedno dwóch istot, których obraz dla niego był czymś tak różnym...

Szybko pochylił się nad nią, zamknął te powieki o długich, jedwabistych rzęsach i nakrył zasłoną biedną, wykrzywioną twarz.

I wtedy wydało mu się, że Dolores stała się dalsza, nieobecna i że teraz tamten, ten czarny, nieznany, leżał tu przed nim w ciemnym swym ubraniu, w szacie mordercy.

Ośmielił się ruszyć go, dotknąć jego ubrania.

W wewnętrznej kieszeni znalazł dwa portfele. Wziął jeden z nich i otworzył.

Znalazł najpierw list z podpisem Steinwega. List ten zawierał te słowa:

Jeżeli umrę, zanim będę mógł odkryć straszną tajemnicę, proszę to wiedzieć, że morderczynią mojego przyjaciela Kesselbacha jest jego żona, prawdziwego nazwiska Dolores de Malreich, siostra Altenheima i siostra Izylidy.

Litery L. M. odnoszą się do niej. Kesselbach nigdy poufale nie nazywał żony swej Dolores, bo to imię oznacza ból i żalobę, ale Letycją, gdyż to oznacza radość. L. M. - Letycja de Malreich - to były litery, którymi znaczył wszystkie podarki, jakimi ją darzył, i tak papierośnicę, znalezioną w Palace-

Hotel, własność pani Kesselbach. W podróżach bowiem swoich nauczyła się palić.

Letycja! Była ona istotnie radością jego przez ciąg lat czterech, czterech lat kłamstwa i obłudy, w czasie których obmyślała śmierć tego, co kochał ją z taką dobrocią i zaufaniem.

Może powinienem był odezwać się wcześniej. Brakło mi odwagi, przez pamięć na starego przyjaciela mego Kesselbacha, którego imię ona nosiła.

A zresztą bałem się... W dniu, w którym zrozumiałem prawdę, w Pałacu Sprawiedliwości, wyczytałem w jej oczach wyrok śmierci na siebie.

Czy mnie słabość moja ocali?

-Więc i on także! - pomyślał Lupin - i on także... i jego też ona zabiła!... Ale bo też, dalebóg, wiedział za wiele!... Pierwsze litery... to imię Letycja... potajemny zwyczaj palenia...

I przypomniał sobie ostatni wieczór, ten zapach tytoniu w pokoju...

Zaczął dalej przeglądać zawartość portfela.

Były tam urywki listów, cyfrowanym pismem, oddane prawdopodobnie Dolores przez jej współników podczas spotkań o zmroku...

Były tam także adresy na karteczkach, adresy szwaczek i modystek, ale też i adresy nor jakichś i wątpliwych hoteli... I różne imiona, wśród tych dziwaczne, jak Hektor Rzeźnik, Armand de Grenelle, Chorowity...

Nagle natrafił na jakąś fotografię. Spojrzał na nią... I jak sprężyną tknięty, puszczając portfel wypadł z pokoju, wypadł z pawilonu i wybiegł z parku.

Poznał portret Ludwika Malreicha, więźnia z Santé.

I wtedy dopiero, dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że stracenie odbyć się miało nazajutrz...

A skoro tamtym, tym mordercą była Dolores, przeto Ludwik Malreich nazywał się rzeczywiście Leon Massier i był niewinny.

Niewinny? A te dowody, znalezione przy nim, listy cesarza i wszystek obciążający go materiał dowodowy?

Lupin przystanął na chwilę. Paliło mu się w głowie.

-O! - zawołał. - Ja sam zaczynam od zmysłów odchodzić... Ale tu działać trzeba... jego jutro stracą... jutro... jutro nad ranem...

Wyjął zegarek.

-Dziesiąta... Ileż mi godzin potrzeba, by stanąć w Paryżu?... Tak, prędko... prędko muszę tam być... A dziś wieczór jeszcze muszę tak wszystko urządzić, ażeby powstrzymać... Ale co ja zrobić mogę? Jak dowiodę niewinności?... Jak powstrzymam wykonanie wyroku?... Mniejsza o to! Już na miejscu znajdę sposób... Dalej! Dalej!

Pędem wbiegł do pałacu i wołał od progu:

- Piotrze! Gdzie jest pan Piotr Leduc? Ach, jesteś... Słuchaj...

Zaciągnął go na bok i głosem urywanym, rozkazującym mówił:

- Słuchaj, Dolores tu już nie ma... Tak, pilny wyjazd... wyjechała dziś w nocy moim automobilem... I ja także wyjeżdżam... Bądźiesz cicho... nie ma chwili do stracenia... Odpraw, bez żadnych tłumaczeń, wszelką służbę... Tu masz pieniądze. Trzeba, żeby za pół godziny zamek był opróżniony. I żeby nikt tu nie wracał, zanim ja nie wrócę! Ani ty nawet!... Nie wolno ci wracać. Później ci to wytłumaczę... ważne powody... Masz, zatrzymaj klucz, czekaj na mnie we wsi...

I nie czekając dłużej wybiegł.

W dziesięć minut później odnalazł Oktawiusza.

Wskoczył do automobilu.

-Do Paryża! - rozkazał.

II

Podróż była jedną karkołomną, śmiertelną, piekielną jazdą na łeb, na szyję.

Lupin sam powoził. Za nim siedział drżący, posiniały ze strachu Oktawiusz.

- Zdążę, bo zdążyć muszę - powtarzał Lupin. - Niech się co chce dzieje.

I myślał o tym człowieku, który zginie, jeśli on nie zdąży; o

tajemniczym Ludwiku Malreich, tak zagadkowym ze swym upartym milczeniem i nic nie wyrażającą, martwą twarzą. I wśród turkotu drogi, wśród szumu gałęzi drzew, które huczały jak wzburzone fale, Lupin starał się znaleźć wyjaśnienie tych zagadek. I wytłumaczenie krystalizowało się z wolna w jego umyśle, logiczne, prawdopodobne, pewne - mówił sobie - od czasu, gdy poznał okropną prawdę i gdy zaczynał pojmować sposoby, cele i zamiary tej strasznej obłąkanej.

- Tak, tak, to ona uknuła przeciw Malreichowi najokropniejszą intrygę. Czego ona chciała? Chciała zaślubić Piotra Leduc, którego miłość zdobyła, chciała panować w państewku, z którego wyszła wygnanką. Cel był dostępny, mogła go osiągnąć. Istniała tylko jedna przeszkoda... ja - ja, który od tygodni i tygodni bezustannie stawałem jej na drodze; ja, którego odnajdywała po każdej spełnionej zbrodni; ja, którego przenikliwości się bała; ja, który bym nie ustał, dopóki bym nie odkrył winnego i skradzionych listów cesarskich.

Więc dobrze, skoro trzeba winnego, niechże tym winnym będzie Ludwik Malreich, a raczej Leon Massier...

Kto to taki ten Leon Massier? Czy znała go przed ślubem? Czy go kochała? Możliwe... ale tego zapewne nikt nigdy się nie dowie. To pewna, że musiało ją uderzyć pewne podobieństwo wzrostu i figury, jakie mogła osiągnąć przebierając się tak, jak on zawsze chodził, w czarne męskie ubranie i jasną perukę... Może nawet w przewidywaniu tego rodzaju potrzeby skłoniła męża do wymazania z ksiąg metrykalnych imienia Dolores, a wpisania w to miejsce imienia Ludwik. Ludwik Malreich - Leon Massier... Te same pierwsze litery...

A może tylko posłużyła się tym zbiegiem okoliczności? Kto dziś może wiedzieć?

Dość, że nadeszła pora działania, a ona intrygę, z dawna uknutą, wprowadza w czyn.

Leon Massier mieszka przy ulicy Delaizement. Każe więc współnikom swoim zamieszkać na równoległej. I sama mi podaje adres kelnera Dominika i podsuwa trop siedmiu bandytów, bo dobrze wie, że ja, raz trop pochwyciwszy, nie spocznę, aż dojdę do końca, to znaczy aż poza nich, aż do ich

wodza - do tego, który nimi kieruje, do owego czarnego nieznajomego, do Leona Massier, do Ludwika Malreicha...

I w istocie, odnajduję najpierw siedmiu bandytów. A wtedy co? Albo zostanę zwyciężony, albo wymordujemy się wzajemnie; tego się spodziewała owego wieczora przy ulicy des Vignes, dokąd mnie ściągnęła. W każdym jednak razie uwolniłaby się ode mnie.

Tymczasem dzieje się odwrotnie; to ja biorę w niewolę siedmiu bandytów. Dolores ucieka z ulicy des Vignes. Odnajduję ją w szopie Rupieciarza.

Sama wtedy skierowuje mnie ku Leonowi Massier, czyli Ludwikowi Malreich. Znajduję przy nim listy cesarza, które sama tam umieściła, i wydaję go w ręce sprawiedliwości; zdradzam tajemne połączenie, które ona sama zrobić kazała pomiędzy dwiema szopami i przedstawiam wszystkie dowody, które ona sama przygotowała.

I Ludwik de Malreich umrze...

A Dolores, bezpieczna już teraz, skoro znaleziono winnego, oswobodzona od nieczej i zbrodniczej przeszłości swojej, ponieważ nie żyją mąż, brat, siostra, obie służące, Steinweg - pozbywszy się przeze mnie współników - Dolores zwycięska, bogata, kochana przez Piotra Leduc, Dolores osiadzie na tronie...

Czyż nie tak rozumował ten chory, zwyrodniały mózg?

- Ach nie! - zawołał Lupin - ten człowiek nie umrze! Na Boga!

Ten człowiek umrzeć nie powinien! Nie, po tysiąc razy nie! Tego ja nie mogę mieć na sumieniu! Byłem igraszką tej kobiety... spowodowałem jego uwięzienie... przeze mnie został skazany na śmierć... do stóp szafotu go doprowadziłem... Moją rzeczą go ocalić...

Przed Ministerstwem Spraw Wewnętrznych.

Lupin spiesznie przebiegł podwórze i wbiegł na główne schody. W poczekalni tłoczyli się ludzie. Zapisał na arkuszu nazwisko: *ksiązę Sernin* i zaciągnąwszy do kąta jednego z woźnych szepnął mu do ucha:

-To ja, Lupin. Poznajesz mnie, nieprawdaż? Ja tobie wyrobiłem to miejsce, pamiętasz? Dobre miejsce, co? Ale ty mnie musisz wprowadzić natychmiast. Idź i podaj moje imię. Tyle tylko mi potrzeba. Prezydent ci podziękuje, możesz tego być pewien... I ja także... Ależ idźże już... Pan Valenglay mnie oczekuje!

W dziesięć sekund później sam Valenglay wysunął głowę poza próg swego biura i rzekł:

-Proszę wprowadzić „księcia”.

Lupin poskoczył, żywo zamknął drzwi za sobą i nim prezydent zdołał się odezwać przemówił:

-Nie traćmy słów na darmo, nie zaaresztuj mnie pan... Zgubiłby się pan sam i skompromitowałby cesarza... Nie... tu nie w tym rzecz. O co innego chodzi. Malreich jest niewinny. Odkryłem prawdziwie winnego... To Dolores Kesselbach! Ona nie żyje. Trup jej jest tam, w Bruggen. Mam nieomyślne dowody. Nie ma wątpliwości. To ona...

Przerwał. Zdawało się, że Valenglay nie rozumie.

-Ależ proszę, panie prezydencie, trzeba ocalić Malreicha... Niech pan pomyśli... pomyłka sądowa... miałaby spaść głowa niewinnego?!... Niechże pan wyda rozkazy... dodatkowe informacje... sprostowania... czy ja wiem?... Ale prędko... czas nagli...

Valenglay spojrział uważnie na Lupin, zbliżył się do stołu, wziął w rękę dziennik i podał mu go, wskazując palcem artykuł.

Lupin rzucił okiem na tytuł i czytał:

Stracenie potwora

Dziś rano Ludwik de Malreich poniósł karę śmierci

Nie dokończył. Rozbity, przygnieciony, padł na fotel z jękiem rozpaczny.

Jak długo trwał w tym stanie? Znalazłszy się na ulicy sam tego nie wiedział. Pamiętał tylko jakieś wielkie milczenie i przypomniał sobie, że Valenglay, pochylony nad nim, skrapiał

mu twarz zimną wodą i szeptał stłumionym głosem:

- Słuchaj pan... nie trzeba o tym nic mówić, nieprawdaż? Niewinny... być może... nie przeczę... Ale na co to wyjawiać? Wywoływać skandal? Pomyłka sądowa może mieć poważne następstwa. Czy warto? Rehabilitacja? Na co? Nie został nawet skazany pod własnym nazwiskiem. To nazwisko Malreich zniesławione jest i zniesławione ogólnie... właściwe, prawdziwe nazwisko winnej... A więc?...

I z wolna, łagodnie popychając Lupin ku drzwiom, mówił jeszcze do niego te słowa:

-Idź pan... Wracaj tam... Ukryj pan te zwłoki... I niech nie zostanie żaden ślad, dobrze?... Zaden ślad całej tej historii... Liczę na pana... mogę liczyć, wszak prawda?

I Lupin wracał tam. Wracał jak automat, ponieważ mu tak kazano, a on nie miał własnej woli.

Godziny całe przeczekał na dworcu. Wreszcie kupił bilet i usadowił się w przedziale.

Starał się spać, ale zrywał się wciąż. Chciał, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego się Massier nie bronił.

- To był wariat... na pewno... półwariat... Znał ją niegdyś... zatrąła mu życie... to mu pomieszało w głowie... więc obojętne mu było, żyć czy umierać... Czego się miał bronić?

To wytłumaczenie zadowoliło go tylko połowicznie; obiecywał sobie, że jeszcze kiedyś rozwiąże tę zagadkę i dowie się tego, jaką rolę Massier mógł grać w życiu Dolores. Ale mniejsza o to na razie! Jeden fakt tylko widział jasno - fakt, że Massier był wariatem. Powtarzał tedy z uporem:

- To był wariat... ten Massier był na pewno wariatem...

Ostatecznie mieszało mu się wszystko, mąciło mu się w głowie.

Wysiadając jednak na stacji w Bruggen, na świeżym rannym powietrzu, poczuł znów wyrzut sumienia. Nagle jednak przedstawiły mu się rzeczy z zupełnie innej strony:

-Trudna rada, ostatecznie! Powinien był zaprzeczyć... Ja za nic odpowiedzialny nie jestem... on sam śmierć na siebie ściągnął... Był tylko podrzędną figurą w całej tej sprawie... Padł... Bardzo go żałuję... Ale cóż robić!...

Pragnienie czynu upoiło go znowu. I choć udęczony w poczuciu zbrodni - której się, bądź co bądź, czuł sprawcą - z otuchą spoglądał w przyszłość.

- Są to ofiary wojny. Nie myślmy o tym. Nie ma nic straconego. Przeciwnie! Dolores była szkopułem, ponieważ Piotr Leduc kochał Dolores. Dolores nie żyje. Zatem Piotr Leduc do mnie należy i ożeni się z Genowefą, tak jak to postanowiłem! I będzie panował! A ja będę panem i ziszczę moje zamysły!

Radował się, rozweselony, pełen nagle otuchy, rozgorączkowany...

W wiosce Bruggen rozpytał się i powiedziano mu, że Piotr Leduc poprzedniego dnia jadł tam w oberży śniadanie. Odtąd go nie widziano.

- Jak to? - zdziwił się Lupin. - Nie nocował tutaj?

- Nie.

- A dokądże się udał po śniadaniu?

- Poszedł drogą ku zamkowi.

Lupin, zdziwiony bardzo, poszedł również w tę stronę. A przecież zalecił młodzieńcowi, by drzwi pozamykał i nie wracał po odejściu służby.

Zaraz na wstępie miał dowód, że Piotr go nie usłuchał: brama była otwarta.

Wszedł, obiegł cały zamek, wołał... Nie było żadnej odpowiedzi.

Nagle przyszedł mu na myśl pawilon. Kto wie! Może Piotr Leduc, stęskniony za ukochaną i intuicją wiedziony, poszedł szukać w tamtej stronie. A przecież tam leżały zwłoki Dolores!

Bardzo już niespokojny zaczął biec.

W pierwszej chwili wydało mu się, że w pawilonie nie ma nikogo.

- Piotrze! Piotrze! - wołał.

Nie słysząc najmniejszego szmeru wszedł do przedpokoju i do zajmowanego przez siebie pokoju.

Jak wryty stanął na progu.

Ponad zwłokami Dolores wisiał na sznurze Piotr Leduc, już martwy...

III

Lupin stęzał cały od stóp aż do głowy. Nie chciał się oddawać rozpacz, nie chciał wymówić ani jednego słowa. Po okrutnych ciosach, jakimi miażdżył go los, po zbrodniach i śmierci Dolores, po straceniu Leona Massier, po tylu wstrząśnieniach i klęskach czuł konieczność trzymania się na wodzy. W przeciwnym razie odbiegłby go rozum...

- Idioto! - szepnął tylko, wygrażając pięścią w stronę Piotra Leduc - o ty, po stokroć idioto! Nie mogłeś to poczekać? Za dziesięć lat bylibyśmy odzyskali Alzację i Lotaryngię!

I nachyliwszy się dotknął ręką twarzy zmarłej, zachwiał się i padł bezprzytomny.

Podniósł się po upływie godziny, już spokojniejszy - poważny i milczący, i rozejrzał się w położeniu.

Czuł, że nadeszła chwila nieodwołalnych postanowień. W przeciągu paru dni pod naporem klęsk nieprzewidzianych zwichnął się jego los i to w chwili właśnie, gdy pewien był zwycięstwa. Co miał robić? Rozpocząć od nowa? Znowu budować od fundamentów? Nie miał na to odwagi. Więc cóż?

Błądził przez cały ranek po parku; tragiczny to był spacer; chodząc tam i z powrotem rozglądał się we wszystkich szczegółach sytuacji i śmierć tylko widział jako jedyne wyjście.

Jednakże, czy przyjdzie śmierć wybrać, czy życie, widział to jasno, że ma jeszcze pewne czyny do spełnienia. Nagle uspokojony mózg rozumiał ich konieczność.

Zbliżał się wieczór. Zegar kościelny zadzwonił na Anioł Pański.

-Do dzieła - szepnął - odważnie!

Wrócił do pawilonu spokojny bardzo, wszedł do swego pokoju, stanął na krzeselku i odciął sznur, na którym wisiał Piotr.

- Biedaku! - szepnął. - Już ci tak widać było sądzone, abyś

skończył z konopnym krawatem na szyi!... Niestety! Nie urodziłeś ty się na dostojnika... Powinienem był to przewidzieć i nie budować losów swoich na wierszoklecie.

Ułożył obydwa ciała jedno obok drugiego, nakrył je wspólną zasłoną, siadł przed stołem i napisał:

Zwycięzcą byłem, lecz jestem zwyciężony. Dochodzę do celu, lecz padam. Los silniejszy jest nade mnie. A ta, którą kochałem, nie żyje. Ja także umieram.

Arsen Lupin.

Zapieczerował list, włożył go do butelki i wyrzucił przez okno na miękką ziemię kwiatowej grządki.

Następnie ułożył na podłodze wielki stos ze starych gazet, słomy i polan drzewnych, które przyniósł z kuchni.

Wszystko to oblał naftą i zapaliwszy świecę rzucił ją na ten stos.

Ogień chwycił od razu, zaraz też z hukiem i trzaskiem buchnęły płomienie.

Lupin dobiegł do bramy, a odwróciwszy się ujrzał pożarem objęty pawilon drewniany...

EPILOG: SAMOBÓJSTWO

-To ty!

W małym saloniku willi w Garches stała pani Evnemont, drżąca, przerażona, pobladła, szeroko otwartymi oczami patrząc na stojące przed nią zjawisko.

To on! To Lupin!

-Ty! - wyjąkała. - Ty!... A przecież w dziennikach pisano...

Uśmiechnął się smutno.

- Tak jest, ja nie żyję.

- Jak to?... Jak to?... - zapytała naiwnie.

- Chcesz powiedzieć, że skoro nie żyję jestem tutaj niepotrzebny. Wierzaj mi, Wiktorio, że jeżeli tu jestem, to dla ważnego powodu.

- Jak ty się zmieniłeś! - rzekła współczująco.

- Miałem trochę zawodów w życiu. Ale to już minęło. Słuchaj, czy Genowefą jest tu?

Skoczyła ku niemu nagle rozgniewana.

-Dasz ty jej wreszcie spokój? Genowefa! Zobaczyć Genowefę! Zabrać ją znowu! Aa! Ale tym razem już ja jej nie dam... Wróciła zmęczona, taka blada, niespokojna, a teraz zaledwie odzyskuje rumieńce. Zaklinam cię, daj jej spokój!

Lupin oparł z siłą ręce na ramionach staruszki.

- Ja chcę... rozumiesz... ja chcę z nią mówić.

- Nie pozwolę na to.

- Będę z nią mówił!

- Nie!

Chciał ją odepchnąć. Stała przed nim i skrzyżowała ręce:

- Po moim ciele chyba przejdiesz. Szczęście tej małej tu jest, a nie gdzie indziej... Ze wszystkimi swoimi pojęciami o pieniądzach i o dostojnościach ty byś ją unieszczęśliwił... A tego to ja nie chcę. Co to ten twój Piotr Leduc albo to twoje Veldeuz? Genowefa księżną panującą!? Zwariowałeś! To nie dla niej życie. W gruncie rzeczy, widzisz, toś ty w tym wszystkim tylko o sobie myślał. Władzy dla siebie, znaczenia

dla siebie szukałeś. Co ty sobie robisz z tego dziewczątka? Czyś ty się choć zastanowił, czy ona go kocha, tego urwipolcia, twojego księcia? Czyś ty się zapytał choćby, czy ona kogo kocha? Nie, ty sobie szedłeś do swojego celu, a nawet nie pomyślałeś o tym, że może ranisz Genowefę, że może unieszczęśliwisz ją na resztę życia... Otóż ja tego nie chcę.

Jej potrzeba spokojnego życia, prostego, uczciwego, jasnego - a takiego ty jej dać nie możesz. Więc czegoż właściwie tu chcesz?

Zdawało się, że zachwiał się przed tym rozumowaniem, głosem jednakże cichym i bardzo smutnym szepnął:

- To niepodobna, żebym ja już nigdy nie miał jej zobaczyć. To niepodobna, żebym już nigdy nie miał mówić do niej...

- Ona myśli, że ty nie żyjesz...

- A ja właśnie tego nie chcę! Ja chcę, żeby ona знаła prawdę. To męka wyobrażać sobie, że ona o mnie myśli jak o kimś, co już nie żyje. Przeprowadź ją do mnie, Wiktorio!

Mówił tak łagodnie, z taką boleścią w głosie, że staruszka, wzruszona, spytała:

- Widzisz... ja przede wszystkim wiedzieć muszę... Zależy to od tego, co ty jej chcesz powiedzieć... Bądź szczery, mój mały... Czego ty chcesz od niej? Czego chcesz od Genowefy?

Odpowiedział jej bardzo poważnie:

- Chcę jej powiedzieć tyle: Genowefo, ja matce twojej przyrzekłem, że dam ci majątek, znaczenie, życie jak z bajki. A wtedy, gdybym był dopiął tego celu, byłbym cię prosił o mały kącik dla siebie, gdzieś w swoim pobliżu. Bogata i szczęśliwa zapomniałabyś - tak, jestem tego pewien - zapomniałabyś o tym, czym ja jestem, a raczej czym byłem... Na nieszczęście los silniejszy był ode mnie. Nie przynoszę ci ani majątku, ani znaczenia. Nie przynoszę ci nic. Przeciwnie, to ja potrzebuję ciebie, Genowefo... czy chcesz mi dopomóc?

- Do czego? - zapytała z lękiem starowina.

- Do życia...

- Ach... - rzekła - na to ci przyszło, mój biedny mały!...

- Tak - odpowiedział po prostu - tak... na to mi zeszło. Trzy istoty zginęły, które ja zabiłem... własnymi rękoma zabiłem.

Ciężar tych wspomnień nazbyt gorzko gniecie. Sam jestem. Po raz pierwszy w życiu pomocy mi potrzeba. Mam prawo o tę pomoc prosić Genowefy. A jej obowiązkiem jest dać mi ją... jeżeli nie...

- Jeżeli nie?

- Jeżeli nie, koniec będzie wszystkiemu...

Staruszka zamilkła, blada i drżąca. Odzywało się w niej całe przywiązanie dla tego, którego mlekiem swym wykarmiła, i który zawsze i pomimo wszystko pozostał jej „małym”...

- Co ty z nią chcesz zrobić? - zapytała cicho.

- Będziemy podróżowali. Z tobą, jeżeli zechcesz...

- Ale ty zapominasz... ty zapominasz...

- O czym?

- O swej przeszłości zapominasz...

- I ona o niej zapomni. Ona zrozumie, że ja już tym nie jestem, że ja już tym być nie mogę, czym byłem.

- Więc ty rzeczywiście chcesz, chcesz, żeby ona podzielała życie Lupin?

- Życie człowieka, którym ja odtąd będę; człowieka, który chce pracować, byleby ona była szczęśliwą, byleby mogła wyjść za mąż wedle swej woli. Zamieszkamy gdzieś w jakimś odległym zakątku świata. Razem walczyć będziemy i razem pracować... A ty wiesz przecież, co ja potrafię.

Powtórzyła z wolna, nie spuszczaając z niego oczu:

-Więc ty rzeczywiście chcesz tego - chcesz, żeby ona dzieliła życie Lupin?

Zawahał się chwilę, krótką chwilę zaledwie, i oświadczył dobitnie:

- Tak, ja chcę tego, mam do tego prawo.

- Chcesz, by porzuciła wszystkie te dzieci, do których się przywiązała, całe to życie pracy, które kocha i które jej szczęście daje?

- Tak, ja chcę tego, to jej obowiązek!

Staruszka otworzyła okno i rzekła:

- Skoro tak, zawołaj ją.

Genowefa siedziała w ogródku, na ławeczce pod drzewem. Cztery dziewczynki cisnęły się dokoła niej - inne bawiły się i

biegały.

Widział ją dobrze. Widział oczy jej, uśmiechnięte a poważne. Trzymała w ręku kwiat i oskubując listki tłumaczyła coś dzieciom - uważnym, zaciekawionym. A potem je wypytywała. A za każdą odpowiedź dzieciaki w nagrodę otrzymywały całusa.

Lupin patrzył na nią długo i z niewymownym wzruszeniem. Wrzały w nim jakieś nieznane dotąd uczucia. Pragnął przytulić do serca to piękne młode dziewczę, pragnął uścisnąć ją, pragnął wypowiedzieć, jak bardzo kocha ją i szanuje. Stawało mu w myśli wspomnienie jej matki, tej co to umarła w wioseczce Aspremont, a umarła ze zmartwienia.

-Zawołajże ją! - upomniała Wiktoria.

Opadł na fotel i wyjąkał cicho:

-Nie mogę... nie mogę... ja nie mam prawa... To być nie może... Niech ona myśli, że ja umarłem... Tak będzie lepiej...

Płakał, łkanie wstrząsało nim całym, zalewała go niezmierna rozpacz, serce wzbierało jakąś tkliwością nieznaną, rodzącą się jak te spóźnione kwiaty, które giną w dniu, w którym zakwitły.

Staruszka ukłękła przy nim i drżącym głosem szepnęła:

- To córka twoja, nieprawdaż?...

- Tak, to moja córka.

- O, biedne dziecko - zalała się łzami. - Biedny ty mój mały...

Minęło chwil sporo... Staruszka, gładząc jego rękę, łzami zalanyimi oczyma patrzyła z ogromną litością na twarz tę, tak drogą i mimo wszystko kochaną.

Nareszcie Lupin skrzepił się w sobie. Powstał.


Ujął twarz jej w obie ręce i wycisnął na niej serdeczny pocałunek.

- Żegnaj, Wiktorio!... Już mnie nie zobaczysz!

- Co z tobą będzie?... Dokąd ty teraz?... - szepnęła trwoźnie.

- Jadę do Afryki... wstąpię pod obcym nazwiskiem do Legii Cudzoziemskiej... Mnie życie na nic - może ojczyźnie przyda się moja śmierć!

KONIEC



Maurice Leblanc (1864—1941) znany pisarz francuski zasłynął przede wszystkim jako autor powieści i opowiadań o Arsenie Lupin. Debiutował w roku 1907 opowiadaniem *Arsen Lupin: gentleman-włamywacz* i odtąd popularność jego bohatera rosła. Zawdzięczał ją sympatii czytelnika do włamywacza-dżentelmena przeciwstawionego odrażającemu bogaczowi-ofierze napadu lub głupiemu policjantowi.

U Leblanca rzadko mamy do czynienia z morderstwem, a motywem kradzieży dokonywanych przez Lupin nigdy nie jest chęć zysku. Arsen Lupin kradnie obraz, żeby go podziwiać, a piękną kobietę uwodzi po to, żeby zapobiec jej małżeństwu z niewłaściwym mężczyzną. W Polsce Leblanc był pisarzem znanym i popularnym już od początku stulecia — w 1908 roku został wydany *Arsen Lupin: gentleman-włamywacz*, a w następnych latach ukazało się około trzydziestu tytułów.

lesiojot

ISBN 83-7001-392-9